

Dariusz Jarosiński
„WARSZYC”, „SATYR”
I PAN SAMOCHODZIK

Piotr Lisiewicz
KRÓL PIŁKARZY, KTÓRY ZNAŁ
NA PAMIĘĆ „PANA TADEUSZA”

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PANSTWO

ŚWIATOWE
STANDARDY
DEPRAWACJI



for: FOTOLIA

Światowe standardy deprawacji / 6

Spis treści

▶ TEMAT NUMERU

Grzegorz Wierzchołowski	6
Światowe standardy deprawacji	
Z prof. Rafałem Chwedorukiem rozmawia Jan Przemyski	
Obecna konstytucja może być ostatnią, która chroni tradycyjne wartości	10
Ryszard Czarnecki	
LGBT, czyli „od rzemyczka do koziczka”	13
Maciej Kożuszek	
Trująca ampułka nowej lewicy	14

▶ IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski	
Homoideologia. Prawdziwa historia. Część II	18
Małgorzata Matuszak	
LGBT na sportowych arenach	23
Ewa Polak-Palkiewicz	
Nieokresany język naszych ojców	26

▶ HISTORIA

Piotr Lisiewicz	
Król piłkarzy, który znał na pamięć „Pana Tadeusza”	30
Dariusz Jarosiński	
„Warszyc”, „Satyr” i Pan Samochodzik	36
Magdalena Złotnicka	
Nadzieja dla szczerolapa	42
Agnieszka Kowalczyk	
Z ziemi krzyży i mogił	48
Ferdynand Goetel	
Zachód i Katyń	54
Karol Zbyszewski	
Najslawniejsi naszych czasów	56

▶ KULTURA

Z Jackiem Mycielskim rozmawia Ewa Polak-Palkiewicz	
Bóg, honor, ojczyzna – te wartości są siłą narodu	58
Krzysztof Karnkowski	
Wojna i sukces w (byłej) Jugostawii	62

▶ ŚWIAT

Antoni Rybczyński	
Wojna o Bajkał, czyli chińska ekspansja na Rosyjskim Dalekim Wschodzie	68
Z prof. Davidem Engelsem rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk	
Przeprowadzka do Polski jak powrót do Europy	74
Hanna Shen	
Szczyt Trump-Kim. I co dalej?	80
Stefan Czerniecki	
Pomimo wszystko wciąż bezpieczna wyspa	84
Hanna Shen	
Tak minął miesiąc w Azji	94
tłum i oprac. Antoni Rybczyński	
Rocznicą otrucia Skripalów: rozwiązanie jest blisko?	96

Stale rubryki

	Katarzyna Gójska	
Smoleńsk – pamiętamy		
NA POCZĄTEK		3
	Marcin Wolski	
Strach i niedza tolerancji		
PAPKULTURA		17
	Małgorzata Matuszak	
Czym jest... grzech		
KATECHIZM INTELIGENTA		29
	Marek Kalinowski	
Ku dojrzałości		
DO GRAJĄCEJ SZAFY...		65
	Krzysztof Budka	
Nie dzielmy przedsiębiorców!		
SŁOWEM O GOSPODARCE		66
	Ryszard Czarnecki	
Polska szansa		
CZARNECKO TO WIDZĘ		67
	Olga Doleśniak-Harczuk	
Spokojnie, to tylko słowa. Tyle że puste		
Z GLOBALNEGO TYGŁA		92
	Tomasz Sakiewicz	
Gdzie wspierać gospodarkę		
OSTATNIE SŁOWO		99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA



miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelną), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razwarkow
KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



for: Piotr Galant/Gazeta Polska

Homoideologia. Prawdziwa historia. Część II / 18



for: N.C.

Król piłkarzy, który znał na pamięć „Pana Tadeusza” / 30



for: Archiwum rodzinne

Bóg, honor, ojczyzna – te wartości są siłą narodu / 58



for: Kosińskow Stanisław / W. W. W. W. W.

Wojna o Bajkał, czyli chińska ekspansja... / 68



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Smoleńsk – pamiętamy

Dziewięć lat. Czasami trudno w to uwierzyć. Z perspektywy minionego czasu lepiej widać pełnię dramatu smoleńskiego.

Na początku były szok i ogromne emocje. Dziś patrzymy na tę tragedię ciągle smutnym, lecz już nieco spokojniejszym okiem. Nie ulega wątpliwości, iż śmierć polskiej delegacji z prezydentem Lechem Kaczyńskim ciągle jest głęboką raną w tkance społecznej. Z jednej strony to normalne – wszak doszło do niewyobrażalnej tragedii, nie tylko w wymiarze państwowym, lecz przede wszystkim ludzkim. Jednak z tym Polska z czasem by sobie poradziła – przeszlibyśmy żałobę i jako wspólnota pamiętalibyśmy o tych, którzy zginęli. Ale jest i druga strona doświadczenia, z którym musieliśmy się zmierzyć rankiem 10 kwietnia 2010 roku. To kłamstwo i pogarda. Straszliwy finał lotu polskiej delegacji i pierwsze pytania o przyczynę tragedii uwolniły zdziczenie, którego w Polsce na taką skalę nie widziano od czasów głębokiego komunizmu. Zupełnie bezduszne seanse nienawiści wobec zmarłych i pragnących ich wspominać. Brutalne



OŚWIADCZENIE

Słowo Niezależne sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie, wydawca „Nowego Państwa”, w związku z artykułem Piotra Lisiewicza pod tytułem „Zarabiają u Putina, bronią Polski przed Kaczyńskim” opublikowanym w numerze 10(140)/2017, a także w internetowej wersji czasopisma na stronie www.panstwo.net, który ilustrowało zdjęcie przedstawiające Pana Mateusza Damięckiego oraz inne osoby na tle Władimira Putina z podpisem „Ambasadorowie Putina w polskim show biznesie” oświadcza, iż nie jest prawdą, by w jakichkolwiek wypowiedziach publicznych Pan Mateusz Damięcki popierał politykę rosyjskiego rządu. Jeśli treść artykułu oraz ilustracja wywarły na niektórych Czytelnikach takie właśnie wrażenie, wydawca przeprasza i wyraża ubolewanie z tego powodu.

próby walki z pamięcią. W końcu także ukrywanie faktów dotyczących wszelkich aspektów podróży głowy państwa wraz z towarzyszącą delegacją do Katynia. Upływający czas zniekształca pamięć – ale niepodobna zapomnieć, iż w ten proceder zaangażowane były wszystkie uczestniczące w sprawie instytucje państwa. Zupełnie tak, jakby informacje, fakty miały stanowić dla nich zagrożenie. Rządząca wówczas siła polityczna i wspierające ją media uznały, że wyjaśnienie Smoleńska jest dla nich śmiertelnie niebezpieczne, a jedynym ratunkiem jest mactwo. Wciąż nie znamy odpowiedzi na pytanie o powody takiej oceny własnego położenia. Na zdrowy rozum – działanie powinno być odwrotne – tylko pełna transparentność pozwoli komuś niewinnemu odsunąć od siebie podejrzenia. Proszę zobaczyć, iż paradoksalnie to obóz wówczas rządzący, dziś pozostający w opozycji, targany jest silniejszymi emocjami dotyczącymi

polityczną odpowiedzialność za śmierć polskiej delegacji. Argumenty w stylu: gdyby PiS nie „sprywatyzował” sprawy tragedii, gdyby nie oskarżał, gdyby nie uznał siebie za jedynego poszkodowanego itp. – nie mają w sobie nic ponad manipulację. Środowisko Prawa i Sprawiedliwości nie zawłaszczyło prawa do upamiętnienia ofiar. Wzięło na siebie ten obowiązek – przy ogromnym wsparciu społecznym – bowiem instytucje państwa zainteresowane były walką z pamięcią o tych, którzy zginęli.

Domaganie się wyjaśnienia, rzetelnego i profesjonalnego śledztwa jest naturalnym oczekiwaniem w państwie demokratycznym. Skoro najwyżsi ówczesni przedstawiciele Rzeczypospolitej zawierzyli w tej sprawie skrajnie niewiarygodnym urzędowi Federacji Rosyjskiej, nie korzystali z należnych Polsce praw, pozbawiali naszą prokuraturę możliwości kontaktu z dowodami (sprawa nastawienia samych śled-

STRASZLIWY FINAŁ LOTU POLSKIEJ DELEGACJI I PIERWSZE PYTANIA O PRZYCYNĘ TRAGEDII UWOLNIŁY ZDZICZENIE, KTÓREGO W POLSCE NA TAKĄ SKALĘ NIE WIDZIANO OD CZASÓW GŁĘBOKIEGO KOMUNIZMU. ZUPEŁNIE BEZDUSZNE SEANSE NIENAWIŚCI WOBEC ZMARŁYCH I PRAGNĄCYCH ICH WSPOMINAĆ. BRUTALNE PRÓBY WALKI Z PAMIĘCIĄ.

10 kwietnia 2010 roku. Dramat smoleński znacznie rzadziej pojawia się na czołówkach gazet. Coraz więcej emocji skierowanych jest na przypominanie ofiar niż publiczne dyskusje o przyczynach ich śmierci.

Jednak w tych, którzy sprawowali władzę, gdy doszło do tragedii, nadal buzuje agresja wobec wspomniania, upamiętniania, dochodzenia do prawdy. Kampania samorządowa w Warszawie rozpoczęła się od postulatu rozbioru pomnika tych, którzy zginęli w drodze do Katynia. Wmurowanie tablicy, upamiętnienie poprzez nadanie imienia ulicy czy nawet pochód pamięci wywoływały i wywołują takie poruszenie i niechęć, jakby były zbrodnią. Nadal obecna jest także pogarda. Zarówno wobec poległych, jak i ich bliskich. Zupełnie tak, jakby nietykalskość dramatu smoleńskiego – ochrona przed jego wyjaśnieniem – dotyczyła spraw zupełnie podstawowych dla dzisiejszej opozycji. Jakiegoś ich być lub nie być. Jeśli określimy wszystko, co wydarzyło się po 10 kwietnia 2010 roku jako „katastrofa posmoleńska”, możemy wówczas powiedzieć, że była ona i jest do tej pory jedną z największych dewastacji w i tak kruchej wspólnocie polskiego społeczeństwa. Wina za ten stan leży wyłącznie po stronie tych, którzy ponoszą

czych to odrębna kwestia), to musieli i muszą liczyć się z krytyką. Także tą bardzo ostrą. Poza wszystkim nikt nigdy nie blokował środowisku Platformy czy jakimkolwiek innemu prawa do upamiętniania jego reprezentantów, którzy zginęli podczas lotu na uroczystości katyńskie. Wyciszenie tematu zamiast pamięci było ich suwerennym i jasno wskazanym wyborem.

Co w sprawie smoleńskiej zmieniło się od ostatnich wyborów? Przede wszystkim instytucje państwa (poza stołecznym ratuszem) nie rozbijają wspólnoty tych, którzy dostrzegają wielki sens w godnym upamiętnieniu tragicznie zmarłej delegacji RP i poszczególnych jej przedstawicieli z panem prezydentem Lechem Kaczyńskim na czele. W prestiżowym miejscu Warszawy stanęły dwa pomniki. Są nie tylko znakiem hołdu i pamięci, lecz także symbolem ogromnej determinacji setek tysięcy Polaków, którzy od dziewięciu lat widzą w dramacie z 10 kwietnia jedno z najważniejszych wydarzeń w naszej najnowszej historii. Może warto, by po tylu latach politycy PO, wspierające ich media czy inne osoby rozpoznawalne uznały prawo tych ludzi do obecności w przestrzeni publicznej. ■

WOLNE MEDIA - WOLNA POLSKA!

STOP CENZURZE W INTERNECIE

Celem działania naszej Fundacji jest walka o wolną Polskę poprzez wspieranie niezależnych mediów.

Dzięki pomocy ludzi, dla których ważna jest Polska
- niezależni dziennikarze mogą pisać prawdę.

DANE DO PRZELEWU W POLSCE

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA, ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Bank Pekao SA, Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM: DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa, POLAND
Bank Pekao SA, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa
NUMER KONTA - PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT CODE - PKOP PL PW
TYTUŁEM: AS A DONATION FOR „FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA”



Wspomóż
naszą Fundację
nawet skromnym
datkiem



FUNDACJA
NIEZALEŻNE
MEDIA



Grzegorz Wierchołowski

Tabelki z wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) w sprawie edukacji seksualnej krążą w mediach społecznościowych już od kilku tygodni. Znacznie mniej znana, choć równie bulwersująca, jest jednak opisowa część programu, który ma być aplikowany warszawskim dzieciom. Jak sprawdziło „Nowe Państwo” – za owymi zaleceniami stoją znani europejscy aborcjoniści.

ŚWIATOWE STANDARDY DEPRAWACJI



W podpisanej przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego deklaracji LGBT+ wyraźnie zapowiedziano wprowadzenie w każdej szkole edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej, uwzględniającej kwestie tożsamości psychoseksualnej i identyfikacji płciowej, zgodnej ze standardami oraz wytycznymi Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

W 2012 roku Biuro Regionalne WHO dla Europy wraz z Federalnym Biurem ds. Edukacji Zdrowotnej w Kolonii (BZgA) wydało owe zalecenia w publikacji pt. „Standardy edukacji seksualnej w Europie. Podstawowe zalecenia dla decydentów oraz specjalistów zajmujących się edukacją i zdrowiem”. Warto przeanalizować ten dokument w całości – zarówno część opisową, jak i tzw. matrycę, czyli tabelki z podziałem na wiek maluchów i na informacje, jakie mają im być w ramach seksedukacji przekazywane.

► Polska i USA zacofane

Autorzy opracowania WHO nie ukrywają, że za prawdziwą edukację seksualną uważają jedynie jej najbardziej postępową i lewicową wersję (tzw. typ 3). A więc wprost zaznajamiającą dzieci i młodzież z technikami seksualnymi oraz promującą dewiacje seksualne oraz tzw. prawa reprodukcyjne, czyli aborcję.

W publikacji czytamy: „W krajach Europy Środkowej i Wschodniej wprowadzanie edukacji seksualnej, w formie, w jakiej jest ona rozumiana i praktykowana w większości krajów, rozpoczęło się 20–30 lat później niż w krajach Europy Zachodniej. Tylko w niektórych państwach, przede wszystkim w Republice Czeskiej i Estonii wprowadzono edukację seksualną w nowym stylu, różnym od przygotowania do życia w rodzinie. W wielu innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej rozwój edukacji seksualnej uległ spowolnieniu spowodowanemu konserwatyzmem pojawiającym się w różnych sferach życia publicznego, w tym politycznego, kulturalnego i religijnego”.

Do grupy „zacofanych” państw autorzy zaliczają też Stany Zjednoczone: „Programy dotyczące edukacji seksualnej można podzielić na trzy grupy. Typ 1 – programy, które przede wszystkim lub wyłącznie ukierunkowane są na zachowanie abstynencji seksualnej przed zawarciem związku małżeńskiego, określane hasłem »jak powiedzieć nie« albo »tylko abstynencja seksualna«. Typ 2 – programy, w których zwraca się uwagę na abstynencję seksualną jako zachowanie opcjonalne, ale także przedstawiane są zasady antykoncepcji i bezpiecznego seksu. [...] Niestety, w USA prowadzone są prawie wyłącznie programy typu 1. i 2., natomiast w krajach Europy Zachodniej dominują programy przede wszystkim typu 3”.

Ekspertki WHO nie ukrywają przy tym, że marzy im się, by tzw. typ 3 edukacji seksualnej był w szkołach obowiązkowy, nawet jeśli protestować przeciwko temu będą rodzice: „W ostatnich dziesięcioleciach panuje w całej Europie tendencja do wprowadzania edukacji seksualnej jako przedmiotu obowiązkowego, bez prawnych możliwości czy wypisywania się dzieci z tych zajęć, w sytuacjach gdy rodzice mają zastrzeżenia dotyczące programu nauczania [...] Doprowadzenie do sytuacji, w której edukacja w dziedzinie seksualności i edukacja dotycząca związków międzyludzkich stanie się przedmiotem obowiązkowym w programach nauczania, ma niezwykle istotne znaczenie, ponieważ – jak pokazuje doświadczenie niektórych krajów – uwaga poświęcana edukacji seksualnej z dużym prawdopodobieństwem ulega zmniejszeniu w sytuacji, kiedy staje się ona przedmiotem nieobowiązkowym”.

Nie dość, że obowiązkowo, to jeszcze jak najwcześniej. Jeden z rozdziałów opracowania nosi wiele mówiący tytuł „Dlaczego edukację seksualną należy rozpocząć przed czwartym rokiem życia?”.

Odpowiedź, jaką dają autorzy, jest jednoznaczna: „dzieci powinny przekonać się, iż zagadnienia związane z seksualnością mają pozytywny charakter i są przyjemne”.

► Edukacja dla niemowląt

Sprawa postawiona jest jasno. „W przypadku tego dokumentu autorzy celowo orędowni za tym, by edukacja seksualna rozpoczynała się w momencie narodzin. Od momentu urodzenia dzieci uczą się wartości i przyjemności wynikających z kontaktów cielesnych, ciepła i bliskości” – czytamy. Jak precyzują eksperci: „Dzieci mają uczucia seksualne nawet we wczesnym okresie niemowlęcym. Między 2. a 3. rokiem życia odkrywają fizyczne różnice między mężczyznami i kobietami. W tym czasie zaczynają odkrywać własne ciało (masturbacja we wczesnym dzieciństwie, autostymulacja)”. Specjaliści z WHO stwierdzają również, że edukacja seksualna tak małych dzieci powinna zawierać również aspekty feministyczne. „Na przykład w grupie wiekowej 0–4 lata dzieci powinny nabyć umiejętność »szanowania równości płci«. Wydaje się to zadaniem »na wyrost« w przypadku tej grupy wiekowej, ale celem jest nauczanie się postawy, że chłopcy i dziewczynki są sobie równi”. Bardziej szczegółowe zalecenia znajdujemy we wspomnianej wcześniej „matrycy”. Wynika z niej, że dzieci w wieku 0–4 lat mają mieć „przekazywane informacje na temat radości i przyjemności z dotykania własnego ciała, masturbacji w okresie wczesnego dzieciństwa”. Wytyczne WHO mówią też

jednoznacznie: dzieciom mającym 0–4 lat należy „przekazać informacje na temat” „prawa do badania tożsamości płciowych” oraz „prawa do badania nagości i ciała”.

Z kolei 4-, 5- i 6-latkowie powinni mieć – według Światowej Organizacji Zdrowia – dostarczane informacje na temat „stosownego języka seksualnego” i „uczuć seksualnych (bliskość, przyjemność, podniecenie)”, „związków osób tej samej płci” oraz „różnych koncepcji rodziny”. „Pomóż dziecku rozwijać szacunek dla różnych norm związanych z seksualnością” – głoszą też wytyczne WHO dla 4–6-latków.

Natomiast uczniowie w wieku 6–9 lat mają być uczeni na temat „różnych metod antykoncepcji”, „zadowolenia i przyjemności z dotykania własnego ciała (masturbacji/autostymulacji)”, „przyjaźni i miłości w stosunku do osób tej samej płci” oraz „pozytywnego wpływu seksualności na zdrowie i dobre samopoczucie”. A także „wyborów dotyczących rodzicielstwa i ciąży, bezpłodności, adopcji”.

9–12-latkowie powinni zaś poznać „prawa seksualne zdefiniowane przez IPPF (Międzynarodowa Federacja Świadomego Rodzicielstwa)”. Wśród nich jest – jak łatwo można sprawdzić – „prawo do bezpiecznej aborcji”. Ponadto, dodają autorzy, dziecko w tym wieku powinno „umieć działać zgodnie z tymi [IPPF] prawami i zobowiązaniami”.

Co zostało dla 12–15-latków? Oprócz nauki o „przyjemności, masturbacji, orgazmie” przewidziano także lekcje o ciąży – to nie pomyłka! – „w związkach między osobami tej samej płci”. A uczniowie w wieku 15 lat i więcej mają, zgodnie z wytycznymi WHO, nauczyć się „krytycznego podejścia do norm kulturowych/religijnych w odniesieniu do ciąży, rodzicielstwa itp.”, jak również przezwyciężyć „zmianę możliwych negatywnych odczuć, odrazy i nienawiści wobec homoseksualizmu na akceptację różnych seksualnych”.

► Dzieło aborcjonistów

Czy obecne polskie społeczeństwo, jak i w zaskakująco wszystkie poprzednie pokolenia żyjące na Ziemi, są „chore seksualnie”? Taki wniosek można wysnuć z twierdzeń ekspertów WHO. Piszą oni bowiem, że „zdrowie seksualne może zostać osiągnięte jedynie w sytuacji, kiedy wszyscy ludzie, łącznie z osobami w wieku młodzieńczym, będą mieć dostęp do uniwersalnej edukacji seksualnej, informacji dotyczących zdrowia seksualnego [...]”.

Warto przy tym zaznaczyć, że wymieniając kilkanaście celów, jakim służyć ma „uniwersalna” edukacja seksualna, specjaliści WHO na pierwszych dwóch pozycjach umieszczają wartości związane z lewicową

ideologią. Aby nie być gołosłownym, zacytujmy: „Edukacja seksualna ma na celu uzyskanie następujących rezultatów: 1. Stworzenie społecznego klimatu tolerancji, otwartości i szacunku w odniesieniu do seksualności, różnych stylów życia, postaw i wartości. 2. Respektowanie różnorodności seksualnych, różnorodności związanych z płcią i świadomości dotyczącej tożsamości seksualnej i ról przypisywanych płciom”.

Takie wartościowanie nie dziwi, gdy spojrzymy na nazwiska autorów opracowania WHO. To m.in. znana holenderska aborcjonistka Doortje Braeken, która w 2013 roku na łamach „Guardiana” opublikowała artykuł pt. „Młodzi ludzie zasługują na lepszą edukację na temat aborcji”. Narzekała w nim, że nawet w krajach, w których tzw. przerwianie ciąży jest legalne, dostęp do tego „zabiegu” jest „ograniczony”. „Strach, uprzedzenie, niewiedza i nietolerancja – cztery rzeczy, które razem w potężny, niszczący, katastrofalny i nieraz zgubny sposób stygmatyzują aborcję” – pisała Braeken.

Inną współautorką jest dziecięca psychiatra z Finlandii, Raisa Cacciatore. Zasygnęła ona apelami, by pigułki „po” (postkoleitalne) były dostępne na żądanie dla dziewczynek poniżej 15. roku życia.

Pod publikacją WHO podpisał się również Peter Decat, specjalista z Belgii, autor licznych „naukowych” tekstów proaborcyjnych. W streszczeniu jednego z nich można przeczytać: „Podjęcie decyzji, czy i jak przerwać ciążę, stanowi dylemat dla młodych kobiet doświadczających niechcianej ciąży. Kobiety te zależne są od socjokulturowych i ekonomicznych barier, które ograniczają ich autonomię i narażają je na naciski wpływające na błąd wymuszające decyzje w sprawie aborcji”. Kolejny autor to Evert Ketting, były pracownik Holenderskiej Fundacji Bezpiecznej Aborcji.

Gdyby ktoś jednak jeszcze łudził się co do wiarygodności i fachowości „publikacji opracowanej wspólnie przez: Federalne Biuro ds. Edukacji Zdrowotnej (BZgA), Biuro Regionalne Światowej Organizacji Zdrowia dla Europy (WHO) oraz międzynarodową grupę ekspertów i ekspertek”, powinien zajrzeć na ostatnią stronę dokumentu. Niewielkim drukiem zaznaczono tam: „WHO, BZgA i UNDP nie ponoszą odpowiedzialności za szkody powstałe w wyniku wykorzystania tych informacji. Poglądy wyrażone w publikacji należą do autorów i autorek, i niekoniecznie reprezentują oficjalne stanowisko Biura Regionalnego Światowej Organizacji Zdrowia dla Europy (WHO), Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP), ich zarządów ani krajów członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych”.



Obecna konstytucja może być ostatnią, która chroni tradycyjne wartości

Prawo i Sprawiedliwość pierwsze rozpoczęło dyskusję o nowej konstytucji. Tymczasem schemat działań środowisk LGBT może doprowadzić do tego, że to właśnie ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego będzie zmuszone zająć pozycję obrońcy treści obecnej ustawy zasadniczej, która m.in. definiuje instytucje małżeństwa jako związek kobiety i mężczyzny – z prof. RAFAŁEM CHWEDORUKIEM, politologiem, rozmawia JAN PRZEMYŃSKI.

► **Po podpisaniu karty LGBT+ przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego, w całej Polsce wybuchła żywiołowa dyskusja na temat praw mniejszości seksualnych. Z ust niektórych polityków słyszymy również, że ta deklaracja to dopiero pierwszy etap rewolucji kulturowej, zaplanowanej dla naszego kraju. Czy uważa Pan, że w najbliższych latach polskie społeczeństwo będzie zmuszone do udziału w tego typu sporze ideologicznym?**

Po pierwsze trzeba podkreślić, że prezydent Warszawy, jak każdy polityk po wygranych wyborach, musiał spłacać długi wyborcze wobec środowisk, które go w jakiś sposób wspierały. Podpisanie deklaracji LGBT+ jest pokłosiem m.in. sojuszu zawartego przed wyborami z Nowoczesną i Pawłem Rabiejem, który także chciał ubiegać się o urząd prezydenta stolicy. Tutaj warto również zwrócić uwagę na pewien paradoks – mianowicie olbrzymia część elit opiniotwórczych funkcjonujących w Polsce uważa, że temat mniejszości seksualnych jest niezwykle istotny wyborczo. Te osoby oczekują od polityków jasnych deklaracji, zdecydowanego opowiedzenia się po którejś ze stron – tak jak to miało miejsce w Warszawie. Tymczasem zdecydowana większość obywateli żąda od parlamentarzystów czy samorządowców, by w pierwszej kolejności zajmowali się sprawami ekonomicznymi, zapewnieniem bezpieczeństwa, polityką społeczną, inwestycjami budowlanymi itd.

► **Powiedział Pan, że Rafał Trzaskowski musiał spłacić dług wobec pewnych środowisk, jednak czy nie odbyło się to kosztem utraty poparcia tej konserwatywnej części jego elektoratu?**

Myszę, że jeśli chodzi o Warszawę, to konserwatywnych wyborców Platformy Obywatelskiej jest proporcjonalnie mniej w strukturze elektoratu niż w innych miastach. Tutaj mamy do czynienia z innymi procesami, które tworzą tło dla kursu obranego przez część polityków z ugrupowania Grzegorza Schetny. Pierwszy to pojawienie się konkurencji na scenie politycznej w postaci Wiosny Roberta Biedronia, który ze względu na swoją aktywność w przeszłości będzie się silnie kojarzył z konfliktami kulturowymi. Może on odebrać wyborców w skali masowej wyłącznie Platformie. Stąd też zwiększyło się przyzwolenie lidera PO na obecność wokół jego ugrupowania polityków związanych z liberalnym podejściem do kwestii kulturowych.

► **Przykładem może być tu sojusz z Barbarą Nowacką?**

Dokładnie tak. Jej środowisko polityczne nie odgrywało wcześniej żadnej roli, a w Koalicji Europej-

skiej otrzymało wyraźną funkcję. Chodzi o to, aby Grzegorz Schetyna w zależności od sytuacji politycznej mógł prezentować różnym segmentom elektoratu polityków o zróżnicowanych poglądach – od liberałów obyczajowych po umiarkowanych konserwatywistów.

► **Jednak czy nie uważa Pan, że ci politycy i głoszone przez nich postulaty mogą być swojego rodzaju ciężarem dla bardziej konserwatywnego skrzydła Koalicji Europejskiej, na przykład PSL-u?**

Myszę, że może to być ciężarem dla samej Platformy. Pamiętajmy, że w Polsce wybory wygrywa się w centrum sceny politycznej. PO nigdy nie próbowała budować swojej siły poprzez liberalizm kulturowy, wiedząc, że jest to coś, co starczyłoby na stworzenie partii z maksymalnie kilkunastoprocentowym poparciem, bez szans na zwycięstwo. Dlatego skrajnie liberalne deklaracje związane z LGBT niektórych sojuszników Grzegorza Schetny nie sprzyjają rozwojowi Koalicji Europejskiej. Szczególnie kasus PSL-u jest tu istotny, gdyż to jest elektorat, o który walka między PiS a Koalicją Europejską będzie się toczyła do samego końca.

► **Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy, w jednym z wywiadów przyznał, że środowiska LGBT najpierw będą chciały doprowadzić do zalegalizowania związków partnerskich, a na końcu do legalizacji adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Czy tego typu wypowiedzi mogą rodzić konflikty wewnątrz Koalicji Europejskiej?**

Dla PO publiczna dyskusja o takich skrajnych kwestiach jak adopcja dzieci przez pary homoseksualne jest, najdelikatniej mówiąc, trudna. Ten temat automatycznie czyni dany podmiot polityczny radykalnym. Kto w polityce jest zepchnięty pod ścianę, ten nie wygrywa wyborów. Platforma od początku była utożsamiana z centrum polskiej sceny politycznej. Natomiast liberalny zwrot kulturowy, szczególnie widoczny w czasach Ewy Kopacz, wiązał się jednocześnie z największą klęską tej partii. Oczywiście to nie był główny powód, ale istotny. Musimy pamiętać również, że Grzegorz Schetyna ma inne poważne zmartwienia, a mianowicie w PO cały czas toczy się walka o władzę. Środowisko Donalda Tuska konsekwentnie jest marginalizowane i zastępowane współpracownikami obecnego lidera. Mało kto już pamięta, że w Warszawie czy Gdańsku w wyborach samorządowych mieliśmy takie sytuacje, gdzie kandydat ze środowiska bliskiego Donaldowi Tuskowi występował przeciwko kandydatowi z Platformy. Teraz natomiast widzimy, jak niektórzy dotychczasowi europosłowie dystansują się od PO, dlatego że nie

dostali miejsc na listach wyborczych do Parlamentu Europejskiego, gwarantujących reelekcję. To są realne problemy, z którymi Grzegorz Schetyna musi sobie radzić.

► **Pozostaniemy przy kwestii adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Uważa Pan, że biorąc na sztandary ten postulat, Wiosna Roberta Biedronia mogłaby zyskać kilka punktów procentowych kosztem Koalicji Europejskiej?**

Moim zdaniem właśnie kwestia adopcji jest granicą liberalizmu obyczajowego w polskim społeczeństwie. Chciałbym zwrócić uwagę, że po wejściu Polski do Unii Europejskiej nastąpiła swego rodzaju prywatyzacja świadomości, jeśli chodzi o kwestie

w Polsce stworzyły konstytucję, która w wielu aspektach pokazuje granice kulturowe. Przykładem jest tu wspomniana wcześniej ochrona małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. PiS już jakiś czas temu rozpoczęło dyskusję konstytucyjną, jednak patrząc na schemat działań środowisk LGBT, to właśnie ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego prędzej czy później zajmie pozycję obrońcy treści obecnej konstytucji. W dobie laicyzacji społeczeństwa, przemian demograficznych, każda następna ustawa zasadnicza w mniejszym stopniu odnosiłaby się do tradycyjnych wartości niż ta stworzona notabene także przez polityków lewicowych.

POLACY NIE ŻYCZĄ SOBIE, BY PAŃSTWO, BEZ WZGLĘDU NA TO, CZY BĘDZIE BARDZIEJ LIBERALNE CZY KONSERWATYWNE, INGEROWAŁO W KWESTIE ŚWIATOPOGŁADOWE, BY DEFINIOWAŁO ZA OBYWATEŁA PODSTAWOWE WARTOŚCI. W PRZYPADKU ADOPCJI DZIECI PRZEZ PARY HOMOSEKSUALNE Z TAKIM ZJAWISKIEM MAMY DO CZYNNIENIA.

kulturowe. Polacy nie życzą sobie, żeby państwo, bez względu na to, czy będzie bardziej liberalne czy konserwatywne, ingerowało w kwestie światopoglądowe, żeby definiowało za obywatela podstawowe wartości. W przypadku adopcji dzieci przez pary homoseksualne z takim zjawiskiem mamy do czynienia. Zresztą widzimy granicę liberalizmu nawet w temacie aborcji. Znamienne, że idee liberalizacji, ale także zaostżenia dotychczasowego ustawodawstwa, nie cieszą się poparciem wyraźnej większości. Paradoksalnie istotnym czynnikiem zarysującym granicę zmian w wymiarze prawnym, blokującym w naszym kraju rewolucję kulturową, jaką byłoby małżeństwa homoseksualne i adopcja dzieci przez ludzi tej samej płci, jest konstytucja.

► **No właśnie, przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej podczas protestów przeciwko rządowi Zjednoczonej Prawicy ochoczo powoływali się na konstytucję oraz zarzucali jej łamanie obozowi władzy. Tymczasem to właśnie ustawa zasadnicza definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, a także gwarantuje szczególną ochronę jednostce, jaką jest rodzina.**

Tutaj możemy mieć do czynienia z niebywałym paradoksem. W drugiej połowie lat 90. prawie wszystkie nieprawicowe siły polityczne

► **Chciałem spytać jeszcze o hasło, które bez wątpienia jest jednym z najpopularniejszych wśród aktywistów LGBT. Kiedy pani Zofia Klepacka, brązowa medalistka olimpijska w windsurfingu, skrytykowała dokument podpisany przez Rafała Trzaskowskiego, wówczas wyłała się na nią fala krytyki. Postulowano nawet, aby odebrać jej medale wywalzione na Olimpiadzie w Londynie. Czy według Pana pojęcie nietolerancji nie zostało zawłaszczone przez jedną grupę społeczną i używane jest jedynie wobec ludzi nieprzychylnych ideologii LGBT?**

Musimy pamiętać, że istnieją różne środowiska LGBT. Nie można generalizować. Wszystkie wojny kulturowe są wojnami skrajności. W tych konfliktach główne argumenty są kreowane przez radykałów. Przykład warszawskiej karty LGBT+ pokazał, jak łatwo uruchomić tych najbardziej zagorzałych aktywistów, z jednej czy drugiej strony. Polaryzacja opinii w kwestiach obyczajowych w istotnym stopniu przyczynia się do delegitymizacji polityki w ogóle, angażowania się polityków i znaczących partii w dyskusje postrzegane przez większość obywateli jako tematy zastępcze, przyczynia się także do radykalizacji i osłabia w ten sposób i tak słabnącą w dobie globalizacji, a niezbędną dla funkcjonowania demokracji polityczną wspólnotę obywateli. ■



Ryszard Czarnecki

LGBT, czyli „od rzemyczka do koziczka”

Polska jest krajem tolerancyjnym, a Polacy są tolerancyjnym narodem. Mówienie, że jest inaczej, świadczy o skrajnie złej woli albo o kompletnej zaściankowości.

Ktoś, kto porównuje praktyczny poziom tolerancji u nas oraz w Europie Zachodniej z jednej strony i Europie Wschodniej (dawny Związek Sowiecki) z drugiej, może jednoznacznie ocenić, że to inni mogą się od nas uczyć tolerancji, a nie nas pouczać. Chodzi tutaj choćby o stosunek do Żydów i narastający antysemityzm. Na Zachodzie wiąże się to z istotnym wzrostem liczby muzułmanów w państwach UE. Co zaś do Wschodu – to trudno zapomnieć antysemickie transparenty i hasła podczas kijowskiego Majdanu. A także późniejsze, uderzające w prezydenta Poroszenkę i premiera Hrojsmana.

Ale ta polska tolerancja – której istnienia nie uświadczysz na łamach „Gazety Wyborczej” czy „Newsweeka” – dotyczy również mniejszości homoseksualnej. Trzeba stanowczo powiedzieć, że dotyczy to zarówno reakcji społecznych, jak i kwestii formalnoprawnych. Domaganie się przez orędowników mniejszości seksualnych „związków partnerskich” – jako wstępu do homoseksualnych „małżeństw” – pod pretekstem zapewnienia możliwości dziedziczenia czy informacji o stanie zdrowia „partnera” w szpitalu – jest czystym szalbierstwem. Polskie prawo bez żadnej legalizacji „związków partnerskich” gwarantuje jedno i drugie. Zatem nie chodzi tu o uzyskanie tolerancji – bo ona istnieje – lecz wejście na drogę „etapowości”, która przećwiczona była już przez dekady w USA i Europie Zachodniej. Można by to określić starym polskim powiedzeniem: „od rzemyczka do koziczka”. Najpierw zaczyna się od „oswajania” tematu, a potem się licytuje. Na początku uprzywilejowanie finansowe organizacji homoseksualnych na poziomie samorządów dużych miast – to dzieje się w stolicy rządzonej od 13 lat przez PO – potem żądanie zalegalizowania „związków partnerskich”, wreszcie formalizowanie „małżeństw” homoseksualnych, a na koniec adopcja dzieci.

W tym procesie rewolucji obyczajowej od taktyki jest Rafał Trzaskowski, od strategii – Paweł Rabiej. Jeden proponuje robić może nie kroczyki, lecz kroki, drugi pokazuje cel i perspektywę już nie tyle tolerancji, ile totalnej afirmacji tych środowisk.

Tutaj wszystkie chwytły są dozwolone. Działacz partii Wiosna, partner Roberta Biedronia, czyli Krzysztof Śmieszek, w debacie radiowej ze mną w Programie I Polskiego Radia powołał się na jakieś, rzekomo naukowe, dane mó-

wiące, że już 50 tys. dzieci w Polsce wychowywać się ma w „związkach” osób tej samej płci. Manipulowanie takimi danymi ma wywołać wrażenie: skoro jest to tak powszechne, to należy fakt ten zaakceptować z dobrodziejstwem inwentarza. Tymczasem jest to kłamstwo analogiczne do tych, którymi posługiwali się działacze proaborcyjni, „pro-choice” w USA. Ujawnił to jeden z nawróconych amerykańskich lekarzy ginekologów Bernard Nathanson.

**STRATEGIA OPEROWANIA
KŁAMSTWEM O 50 TYS. POLSKICH
DZIECI WYCHOWYWANYCH PRZEZ
PARY HOMOSEKSUALNE MA SŁUŻYĆ
OTWARCIU DRZWI NA TO, CZEGO POLSKIE
SPOŁECZEŃSTWO WYRAŹNIE NIE CHCE.**

Analogiczna strategia operowania kłamstwem o 50 tys. polskich dzieci wychowywanych przez pary homoseksualne ma służyć otwarciu drzwi, a może i wrót całych na to, czego polskie społeczeństwo – niezależnie od podziałów politycznych – wyraźnie nie chce. Ta strategia tworzenia „faktów dokonanych” w tej sferze może przynieść efekt, jeśli nie spotka się z wyraźnym oporem nie tylko prawicowych polityków, lecz także prawicowej czy – szerzej – zdroworozsądkowej części polskiej opinii publicznej.

W 1992 roku w USA głośna była dyskusja o możliwości służby homoseksualistów w amerykańskiej armii. Przyjęto wtedy salomonową zasadę „nie pytaj – nie mów”, czyli uznano, że jest to sfera czysto prywatna, choć budziło to sprzeciw amerykańskiego dowództwa na różnych szczeblach. Minęło ćwierć wieku. Teraz w tychże USA toczy się debata, czy transseksualiści mogą służyć w US Army, czy też nie... Gdy o tym komuś powiedziałem, mój rozmówca skwitował tę sytuację starym polskim powiedzeniem: „Dasz diabłu palec – to weźmie całą rękę”...

Maciej Kożuszek



Trująca amputacja nowej lewicy

Niezależnie od tego, czy chodzi o walkę z rasizmem, prawa kobiet czy osób LGBT, ideologowie lewicy zawsze obiecują walkę z cierpieniem i prześladowaniem. Jednak coraz częściej widać, że efekt wszystkich tych działań jest odwrotny do zamierzonego, a sposób myślenia narzucony przez nową lewicę przynosi opłakane skutki nie tylko rzekomym prześladowcom, lecz także tym, których uznaje się za ofiary.

Gdy na prawicy myślimy o zagrożeniach związanych z lewicowymi ideologiami LGBT, gender czy „polityką tożsamości” odwołującą się do uciśnionych grup, zwykle widzimy w nich zagrożenie dla tradycyjnych instytucji takich jak rodzina czy państwo narodowe. Autorzy książki „The Coddling of The American Mind”, która opowiada głównie o tym, jak pomysły radykalnej lewicy wpływają na życie na amerykańskich uniwersytetach, pokazują zupełnie nową perspektywę. Psycholog Jonathan Haidt i prawnik zajmujący się wolnością słowa Greg Lukianoff zwracają uwagę, że lewicowa ideologia w praktyce jest ogromnym zagrożeniem dla liberalnych wolności. Co więcej, skutki jej oddziaływania na zdrowie psychiczne młodych ludzi są katastrofalne, co obrazuje radykalny wzrost przypadków depresji i zaburzeń lękowych wśród studentów uniwersytetów. Rady lewicowej ideologii – zwracają uwagę Haidt i Lukianoff – są dokładną odwrotnością tego, co radziłby dobry terapeuta osobie z problemami psychicznymi.

► **Tolerancja kontra polityka tożsamości**

Wielu liberalnych myślicieli, takich jak Francis Fukuyama czy Mark Lila, zauważa, że ideologia nowej lewicy chociaż obiecuje emancypację, w praktycznym zastosowaniu staje się często zaprzeczeniem wolności. Mówiąc w uproszczeniu: celem tradycyjnego liberalizmu było zapewnienie takich samych praw wszystkim, niezależnie od pochodzenia, koloru skóry, płci czy orientacji seksualnej. Przekonanie było takie, że niezależnie od swoich różnic mogą uczestniczyć w życiu społecznym na takich samych zasadach. Innymi słowy: godność osoby ludzkiej była ważniejsza niż drugorzędne charakterystyki, które tradycyjnie pojmowana liberalna tolerancja wręcz nakazywała lekceważyć, co widoczne było w takich wyrażeniach jak „color blindness” (niezwracanie uwagi na kolor skóry).

Ale myśliciele nowej lewicy kulturowej zaczęli z podejrzliwością patrzeć na tę tradycyjnie pojętą równość. Kto ostatecznie wykoncypował te zasady regulujące współżycie pomiędzy różnymi grupami? Martwi biali mężczyźni! Byli właściciele niewolników, sprawcy kolonialnych zbrodni, zakuwający kobiety w kajdany patriarchy, a osoby LGBT w jarzmo heteronormatywności. To oni mają czelność zapraszać prześladowanych do wspólnego stołu, stawiając wszystkim warunek przestrzegania stworzonych przez siebie zasad. W ten sposób równość staje się tylko inną formą opresji i „tolerancji represywnej”, zgodnie z określeniem stwo-

rzonym przez guru lewicy kulturowej Herberta Marcuse’a.

Różnicę pomiędzy tradycyjnie pojętą liberalną tolerancją a polityką tożsamości nowej lewicy doskonale pokazała dyskusja wokół oscarowego filmu „The Green Book”. Dostępną w kinie fabułę filmu opiera się na starym jak świat motywie wspólnej podróży, podczas której dwójka bohaterów nie tylko poznaje siebie nawzajem, lecz także dostrzega, że dzielące ich różnice nie są tak wielkie, jak mogłoby się wydawać na początku. W filmie grany przez Viggo Mortensena Włoch z Bronksu zostaje zatrudniony przez czarnoskórego muzyka jako szofer. Bohater przechodzi drogę od bezrefleksyjnego rasizmu do bliskiej przyjaźni z muzykiem, który oprócz tego, że ma inny kolor skóry, to w dodatku jest homoseksualistą.

Film nie spodobał się jednak wielu zwolennikom polityki tożsamości. Według nich bohater grany przez Mortensena został potraktowany zbyt łagodnie, zbyt łatwo pozwolono mu na ucieczkę z roli prześladowcy. Rasizm został pokazany jako coś, co można przekroczyć dzięki wzajemnemu zrozumieniu, a nie jako coś, co jest wręcz genetycznym dziedzictwem białej rasy. Zgodnie z myśleniem nowej lewicy biali pozostanie zawsze prześladowcą, a czarni – prześladowanym. Twierdzenie, że ten pierwszy może zrozumieć doświadczenie tego drugiego, jest po prostu obraźliwe.

► **Arystokracja opresji**

Polityka tożsamości odrzuca równość, stwierdzając, że każda grupa ma swoje niezrozumiałe dla innych doświadczenia, a także specyficzne prawa. Choć tradycyjny program uniwersyteckiej krytyki się za to, że zawierał tylko dzieła „martwych, białych, heteroseksualnych mężczyzn”, jednocześnie za uzasadnione uznaje się tworzenie list lektur, których kryterium doboru jest płeć, rasa lub orientacja seksualna autora. Tworzenie „black studies”, „women studies” czy „gay studies” to swoisty rodzaj równościowego apartheidu i w istocie rozpoczęcie procesu regettoizacji. Studenci na amerykańskich uczelniach coraz częściej domagają się tworzenia specjalnych stołówek lub „bezpiecznych miejsc”, do których dostęp mogą mieć tylko przedstawiciele danej mniejszości etnicznej czy seksualnej.

Lukianoff i Haidt rozróżniają dwa podstawowe typy polityki tożsamości. Pierwszy oparty na „idei wspólnego człowieczeństwa” był propagowany na przykład przez Martina Luthera Kinga i opierał się na założeniu, że biali właśnie dlatego, że są ludźmi, będą w stanie zrozumieć, że czarni zasługują na ta-

kie same prawa jak oni. Drugi typ, propagowany przez nową lewicę i dużo bardziej szkodliwy, opiera się na „idei wspólnego wroga”. Jako przykład przywołują sytuację, która miała miejsce na Texas State University w 2017 roku. Latynoski student opublikował w uniwersyteckiej gazecie artykuł pt. „Twoje DNA jest obrzydliwością”, w którym pisze, że spośród wszystkich białych ludzi, których spotkał w życiu, nie więcej niż tuzin określiłby mianem „przyzwoitych”. Autor argumentuje, że „białość” jest „konstruktem używanym do rozpowszechniania rasistowskiej władzy” i że tylko dekonstrukcja „białości” może zapewnić zwycięstwo. Esej kończył się zawołaniem „biała śmierć będzie oznaczała wyzwolenie dla wszystkich (...)”. Do tego czasu zapamiętajcie jedno: nienawidzę was, bo nie powinniście istnieć. Jesteście jednocześnie dominującym aparatem na planecie i pustką, w której inne kultury, w wyniku spotkania z wami, umierają”.

Autor został potępiony z lewa i z prawa, jego eseje nazwano nazistowskim. Jednak, jak zwracają uwagę Lukianoff i Haidt, myślenie autora eseju wynikało bezpośrednio z obowiązującej na wielu uniwersytetach ideologii. Marcuse uważał na przykład, że tolerancja, która wszystkich traktuje równo, jest niesprawiedliwa, dlatego potrzebna była „tolerancja, która dyskryminuje”. Faworyzować należało więc grupy prześladowane, a blokować i dyskryminować te, które cieszyły się wcześniej uprzywilejowaną pozycją. Jak pisał Marcuse: „Wyzwolenie przeklętych tej ziemi wymaga osłabienia nie tylko starych, lecz także aktualnych panów”.

Te teorie – argumentują Haidt i Lukianoff – każą postrzegać świat w „bipolarnych wymiarach przywileju i opresji”. Ta wizja z jednej strony daje prześladowanym (którzy często doświadczenie to tylko odziedziczyli) prawo do zamykania ust domniemanym prześladowcom i satysfakcję z bycia na szczycie „hierarchii opresji”. Z drugiej strony wytwarza w nich szkodliwe przekonanie, że cały świat jest przeciwko nim, a każda porażka może być wytłumaczona jako efekt odwiecznego cyklu dyskryminacji. Ofiary w ten sposób zostają pozbawione podmiotowości i zyskują przekonanie, że cokolwiek by w życiu zrobiły, zawsze będą ofiarami.

► Jest dokładnie tak, jak myślisz, a nawet gorzej

Pacjenci cierpiący na zaburzenia lękowe lub depresyjne często wpadają w schematy myślowe nazywane „rozumowaniem emocjonalnym” i „kastrofizowaniem”. Proces terapii polega często na uświadamianiu sobie przez pacjenta, że poczucie braku własnej wartości, przekonanie, że inni nas

nienawidzą, czy lęk przed wychodzeniem z domu są przede wszystkim sposobami postrzegania przez niego rzeczywistości, a nie rzeczywistością samą w sobie. Gdy na przykład pacjent mówi, że jest kompletnie beznadziejny i wszystko, czego się dotknął w życiu, okazało się porażką, terapeuta zadaje po kolei pytania o życie pacjenta, jego pracę zawodową, relacje z bliskimi. Konfrontacja z faktami ma pokazać, że rzeczywistość nie jest tak straszna i w konsekwencji nauczyć pacjenta radzenia sobie z zaburzonymi sposobami myślenia. Nie jest to łatwy proces, ale jak podkreślają Lukianoff i Haidt, celem terapii nie jest wzmacnianie wykrzywionego obrazu rzeczywistości, lecz kwestionowanie go. Jeśli pacjent mówi: „Boję się wychodzić z domu, bo mam przekonanie, że wtedy wydarzy się coś strasznego”, ostatnią rzeczą, jaką powinien zrobić terapeuta, jest stwierdzenie: „Masz absolutną rację! Świat to okropne miejsce! Pomyśmy teraz, co moglibyśmy zrobić, żebyś nigdy nie musiał wychodzić z domu”.

Lewicowa ideologia stawia tę zasadę na głowie, nie tylko wzmacniając przekonanie opresji i prześladowania, lecz wręcz nakazując jej aktywne poszukiwanie, nawet tam, gdzie nie dostrzegał jej sam zainteresowany. Wyraża się to na przykład w tym, jak zmieniło się rozumienie tego, co uznać można za „obraźliwe” (ang. offensive). Z definicji tego pojęcia zniknął jakikolwiek walor obiektywności, obraźliwe jest to wszystko, co sprawia takie wrażenie dla osoby urażonej. Idealnie obrazuje to sytuacja na Uniwersytecie Pensylwanii, gdzie jedna z wykładowczyń zamieściła na swoim profilu na Facebooku zdjęcie, na którym wykonuje ćwiczenia fizyczne w spodniach do jogi i T-shirtcie z cytatem ze znanego serialu „Gra o tron”, który brzmiał: „Wezmę to, co należy do mnie, ogniem i krwią”. Zażalenie do władz uczelni złożył pracownik administracji uniwersytetu, który stwierdził, że zdjęcie jest groźbą skierowaną wprost do niego. Jakiś czas wcześniej wykładowczyni wysłała do administracji pismo, w którym skarżyła się na to, że pominięto ją przy przydzielaniu urlopów. Był to wyjątkowy pokaz urzędowej zgody na zastosowanie „emocjonalnego rozumowania”, przyjęto bowiem argumentację administratora, który stwierdził, że groźba była skierowana do niego, bo otrzymał powiadomienie na Facebooku (podobnie jak wszyscy inni znajomi autorki zdjęcia). Podczas postępowania pracownik odpowiedzialny za bezpieczeństwo na uniwersytecie stwierdził, że urażony administrator miał prawo pomyśleć, że za słowem „ogień” na konsultce kryje się „odniesienie do karabinu AK47”. ■



Marcin Wolski

Strach i nędza tolerancji

Nie lubię słowa tolerancja! Stało się ono bowiem uniwersalnym kluczem, wytrychem lub łomem. Istnieje w końcu wiele innych wyrażen przydatnych w określaniu relacji międzyludzkich – wyrozumiałość, pobłażanie, empatia, litość, miłosierdzie. W odróżnieniu od wyżej wymienionych tolerancja przekroczyła niestety swój pierwotny sens, gdy znaczyła tyle co znoszenie czegoś, i stała się równoznaczna z afirmacją, w dodatku obowiązkową. Zawsze bliskie mi było podejście „nie podzielam, ale znoszę”. Nic nie zmusi mnie do zachwytów nad seksem uprawianym przez osoby jednej płci, co jednak nie znaczy, bym pochwalał ich

nii od Robespierre’a po Stalina. W dodatku tzw. tolerancja od dawna jest wybiórcza. Niechęć do Murzyń, a nawet samo użycie słowa „Murzyn” jest rasizmem. Ta sama niechęć wobec białego nie ma w sobie nic nagannego. Można powiedzieć, że dyskryminacja to sytuacja, gdy większość nie toleruje mniejszości. Ale przecież w RPA przemoc czarnych wobec białych jest usprawiedliwiona, a antypolonizm w Izraelu też rzadko spotyka się z potępieniem. Na tej samej zasadzie ochrona praw nawet najbardziej wynaturzonych dewiantów nie dotyczy chrześcijaństwa, nawet gdy jego przedstawiciele są dyskryminowani i represjonowani.

PARANOJA WSPÓŁCZESNYCH CZASÓW, KTÓREJ OBJAWEM JEST POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA, POLEGA NA TYM, ŻE NEUTRALNA OBOJĘTNOŚĆ WOBEC ODMIENNOŚCI JUŻ NIE WYSTARCZA. TRZEBA JĄ LUBIĆ, CENIĆ, SZANOWAĆ, INACZEJ GROZI ŁATKA HOMOFOBA.

dyskryminację czy wykluczenie, nie mówiąc już o penalizacji, co jeszcze wiek temu było normą na całym świecie, czy tym bardziej fizycznej eliminacji, do czego przystąpili – skądinąd niekonsekwentnie – hitlerowcy.

Żeby było jasne, będąc przeciwnikiem dyskryminacji, nie uważam, że właściwe jest dopuszczanie aktywnych pederastów do wychowywania dzieci (również ministrantów). To tak jak z niedostępnością zawodu pilota dla daltonistów – nie jest to pozbawianiem ich praw człowieka, lecz jedynie ostrożnością.

Paranoja współczesnych czasów, której objawem jest poprawność polityczna, polega na tym, że neutralna obojętność wobec odmienności już nie wystarcza. Trzeba ją lubić, cenić, szanować, inaczej grozi łatka homofoba, a z czasem represje karne. Tolerancja, która wzięła się rzekomo z umiłowania wolności, dziś staje się tej wolności głównym przeciwnikiem. Sukces hasła „nie ma wolności dla wrogów wolności” stał się podstawą wszystkich nowożytnych tyra-

Skądinąd w neomarksistowskim świecie, którym stał się Zachód, znów mamy do czynienia z jedną słuszną ideą (w dodatku naukową!), reszta jest jedynie ciemnotą i zabobonem. Mało kto zauważa, jak w skali całego rozwiniętego świata zanika coś takiego jak debata, dyskurs, wymiana opinii. – Z pewnymi poglądami i ludźmi się nie dyskutuje – twierdzą nasi „celebryci totalni”. Naukowiec, który zechce dyskutować o przyczynach homoseksualizmu i możliwościach jego leczenia, zostanie werbalnie ukrzyżowany, zanim otworzy usta, podobnie jak ryzykuje cywilną śmierć ktoś, kto spróbuje na serio dyskutować o Żydach.

Nic nie poradzę, ale bliższy mi jest świat wolnych ludzi i swobodnych opinii, w którym mogą publiczne żartować z Cyganów, lesbijek, łysych, lewaków i filatelistów, ba, przyznawać się, że ich nie lubię, ale wrodzona kultura nie pozwoli mi nigdy ciskać w nich kamieniami, a gdy zajdzie potrzeba, podzielę się z nimi kromką chleba i ostatnią koszulą. ■



Jakub Augustyn Maciejewski



Homoideologia. Prawdziwa historia

CZĘŚĆ II

Mija sto lat, odkąd w Berlinie ówcześni pionierscy homoaktywiści, Magnus Hirschfeld i Arthur Kronfeld, założyli w luksusowej willi w dzielnicy Tiergarten swój Instytut Seksuologiczny. Z XIX-wiecznych publicystów i na wpół tajnych organizacji promotorzy homoseksualizmu przebrali się w szaty naukowców i rozpoczęli długi marsz ku przebudowie społeczeństwa.

Instytut wydawał się profesjonalną placówką badawczą, zważywszy na to, że wcześniejsze organizacje homoseksualne swoją działalnością zakrawały o śmieszność. Wydawca pierwszej homoseksualnej gazety (założona w 1896 r.) Adolf Brand (1874–1945) założył w 1902 roku z przyjaciółmi „Wspólnotę Specjalnych”, którzy uważali się za inkarnację starożytnych Ateńczyków i Spartan, a zwłaszcza ich obcujących z młodymi mężczyznami przedstawicieli. Ale oprócz tej okultystycznej czy też reinkarnacyjnej podstawy Brand twierdził, że najważniejsze jest uznanie „samoposiadania się”, czyli prawa do decydowania o swoim ciele na wszelkie sposoby. To założenie pobrzmiewa w dzisiejszych demonstracjach aborcjonistów skandujących hasła: „Mój brzuch, moja sprawa”. Przekonanie o „samoposiadaniu się” nie oznaczało tylko tego, że człowiek może robić ze swoim ciałem, co chce – przecież wolność osobista istniała od dekad, a niewolnictwo zniesiono w 1815 roku. Brand uważał, że człowiekowi wolno w swoje ciało dowolnie ingerować, co później przełożyło się w przekonanie o możliwości zmiany płci. Aktywista zachęcał też młodych mężczyzn czy nawet nieletnich chłopców do nudyzmu, eksperymentowania ze swoją seksualnością, w myśl swojego założenia, że każdy mężczyzna jest przynajmniej po trochu biseksualny i zdolny do obcowania z innymi mężczyznami. Stawiał pogaństwo ze swoim kultem ciała naprzeciw „stuleciom chrześcijańskiego barbarzyństwa”, a na łamach jego pisma publikowano zdjęcia pornograficzne – nagich chłopców.

Brand należał do krytyków Hirschfelda i jego otoczenia, bowiem sam był raczej propagatorem i praktykiem homoseksualizmu, gdy zaś działacze Instytutu Seksuologicznego w Berlinie chcieli swoim przekonaniom dać intelektualny fundament. Ale różnica polegała jeszcze na podejściu do samych homoseksualistów – zwolennicy Branda uważali ich za prawdziwych mężczyzn, rodem z antycznych mitów o umięśnionych herosach i żołnierzach Hellady, gdy zaś Hirschfeld i jego ludzie widzieli w homoseksualnych mężczyznach pierwiastek kobiecości. To zresztą stało się dość charakterystyczne dla ruchów LGBT, które wewnątrz własnego grona prowadzą wiele sporów, by na zewnątrz wspólnym głosem domagać się realizacji jasno określonych postulatów: akceptacji, legalizowania związków i adopcji dzieci – co oczywiście ma się odbywać etapami.

Podobnie w łonie ruchu socjalistycznego i komunistycznego przełomu XIX i XX wieku trwał spór na temat poparcia dla homoseksualistów.

Czołowi działacze II Międzynarodówki, tacy jak Karl Kautsky i Eduard Bernstein, podpisali w 1897 roku petycję do niemieckiego parlamentu, apelującą o zniesienie przepisów penalizujących stosunki homoseksualne. Byli to co prawda krytycy totalitarnego skrzydła europejskiej lewicy, takiego jak Lenin, ale stanowczy wrogowie chrześcijaństwa czy uznawania narodów za samodzielny byt.

► Eksport niemieckiej patologii

Kiedy więc Brand i jego zwolennicy promowali seksualną opiekę starszych mężczyzn nad młodszymi, organizowali orgie seksualne i podrywali swoich chłopięcych sekretarzy, Hirschfeld i jego akademicy opracowywali koncepcję trzeciej płci (por. I część tekstu „Homoidologia” z poprzedniego numeru „Nowego Państwa”). I to ci ostatni nadali ton dyskusji o seksualnych preferencjach. To z jego założeń wzięły się współczesne dowody osobiste, w których wolno zapisać swoją płeć jako „nieokreśloną”. Niemcy jako pierwsze wprowadziły taką formułę – a było to w listopadzie 2013 roku, zaś później dołączyły do nich takie kraje, jak Kanada, Australia czy Nowa Zelandia. Skoro dyskusje teoretyczne o homoseksualizmie zaistniały już jako „nauka” i pojawiły się w publicystyce (Brand polemizował z Hirschfeldem na łamach prasy), to oznaczało, że został już położony fundament pod szerszy ruch społeczny, który nie byłby tak groteskowy jak „Wspólnota Specjalnych”. Pewnym przełomem było założenie w 1919 roku przez Hansa Kahnera „Stowarzyszenia dla praw człowieka”, które pod tą szlachetną przykrywką zrzeszało homoseksualistów i promowało ich skłonności. Choć w latach 20. struktury Kahnera zdominowały w Niemczech dyskusje o tej tematyce, to jednak do propagowania współżycia między mężczyznami przyczyniło się w inny sposób. Akurat w latach 1923–1925 w Niemczech przebywał Henry Gerber, który odbywał właśnie służbę w amerykańskim wojsku, stacjonującym w Republice Weimarskiej na mocy traktatów międzynarodowych. Gerber był niemieckim emigrantem, który urodził się w Bawarii jako Henry Dittmar, ale zmienił nazwisko po przeniesieniu się do USA. Już w Stanach czynnie praktykował seks z mężczyznami, próbując zresztą wykręcić się od służby wojskowej w czasie I wojny światowej. Pobyt w Niemczech był dla niego odkrywczym, bo natknął się nie tylko na prasę Branda i Hirschfelda, lecz także przebywał w Berlinie, korzystając z rozwijałości środowisk homoseksualnych. Zafascynowany działalnością niemieckich aktywistów skopiował ich model funkcjonowania,

zakładając w Chicago swoją organizację i pismo, publikujące m.in. pornograficzne ilustracje. W ten sposób niemieckie homoseksualne know-how stało się wzorcem dla homoaktywistów na całym świecie.

► 10 wytycznych homoaktywizmu

Od pierwszych nieśmiałych broszur i polemik na temat promowania homoseksualizmu w początkach XIX wieku, przyszło w pierwszych dekadach aktywistom zinstytucjonalizować swoje działania. Do tego czasu wykształciły się metody i granice dyskusji homolobbystów, którym warto się przyjrzeć, bo służą walce społecznej i dziś.

1. Propagowanie homoseksualizmu zawsze wiąże się z promowaniem erotyki, a zazwyczaj także i pornografii. Widać to po historii ichniejszych czasopism, później filmów, a współcześnie stron internetowych.

sualnych, lecz jako opowieść o ich dyskryminacji i cierpieniu.

7. Urabianie opinii społecznej jest prowadzone w dwóch różnych tempach – z jednej strony mamy stopniową akcję propagandową – literatura, prasa, spotkania, petycje, a z drugiej strony zdarzają się gwałtowne przyspieszenia i rewolucje – jak 1968 rok w zachodniej Europie i w Stanach Zjednoczonych lub próba przyspieszenia w Polsce w 2019 roku.

8. Fundamentem praw do promowania homoseksualizmu jest założenie, że skłonności są wrodzone. Tej tezy działacze bronią jako najważniejszego punktu – na przykład poprzez „badania naukowców”. Badacze jednak nigdy nie wskazali ani genu rzekomo odpowiedzialnego za odmienny pociąg seksualny, ani układu genów, który miałby powodować homoseksualizm. Jeśli bowiem okaże się, że homoseksualizm jest nabyty na przykład

CZOŁOWI DZIAŁACZE II MIĘDZYNARODÓWKI, TACY JAK KARL KAUTSKY I EDUARD BERNSTEIN, PODPISALI W 1897 ROKU PETYJCĘ DO NIEMIECKIEGO PARLAMENTU, APELUJĄCĄ O ZNIESIENIE PRZEPISÓW PENALIZUJĄCYCH STOSUNKI HOMOSEKSUALNE.

2. Dyskutowanie o specjalnych prawach dla homoseksualistów było zawsze okazją do spotkań osób o skłonnościach homoseksualnych, czyli także przypadkowych aktów seksualnych. Można pokusić się o stwierdzenie, że dysputy teoretyczne były często przykrywką i okazją do kolejnych aktów seksualnych.

3. Ruchy homoaktywistów wyrosły głównie z działalności mężczyzn o skłonnościach homoseksualnych do innych mężczyzn. Tendencje lesbijskie są zupełnie innym zjawiskiem, a dopiero w II połowie XX wieku uznano, że wszystkie „mniejszości seksualne” są jedną prześladowaną grupą.

4. Homoaktywiści sprzymierzali się ze wszystkimi ruchami o charakterze antykatolickim i antytradycyjnym, jak na przykład z sowiecką agenturą na terenie USA: Komunistyczną Partią Ameryki (o tym w dalszej części tekstu).

5. Ruchy LGBT eksponują swoją seksualność, ale ukrywają najciemniejsze jej aspekty – przemoc, inne zbrocenia, promiskuityzm (często zmienianie partnerów), które występowały już u pierwszych homoaktywistów.

6. Historia homoseksualizmu jest przedstawiana nie jako dzieje osób o skłonnościach homosek-

w w dzieciństwie poprzez zaburzone relacje w rodzinie lub niewłaściwe kontakty seksualne, tym samym promowanie homoseksualizmu pod płaszczykiem „tolerancji” straciłoby rację bytu.

9. Homoideologia, opierając się na pomysłach Hirschfelda czy nawet wcześniejszych ideach Ulrichsa (por. artykuł z poprzedniego numeru), zakłada, że płeć biologiczna jest niezależna, istniejąca o tak sobie, bo ważniejsza jest płeć kulturowa – określana dowolnie przez człowieka.

10. Homoideologia zacerpnęła z neomarksistowskich dzieł Antonia Gramsciego i tzw. Szkoły Frankfurckiej pomysł kwestionowania obecnego ładu społecznego poprzez edukację. Gramsci zresztą przekonywał, że „nowy typ człowieka, jakiego wymaga racjonalizacja produkcji i pracy, nie może się rozwinąć, dopóki życie płciowe nie zostanie odpowiednio uregulowane, dopóki i to także nie będzie »zracjonalizowane«”.

► Przyspieszenie współczesności

Przykładem działania stopniowego (por. punkt 7) był Henry Hay (1912–2002), zwany „założycielem współczesnego ruchu gejowskiego”.

W jego życiorysie mieszczą się główne patologie nowoczesności – wyznawca marksizmu, członek prosowieckiej Komunistycznej Partii Ameryki (i to w latach 30., w czasie największych ludobójstw ZSRSS), radykalny zwolennik Freuda, propagator New Age, neopoganin, rozbijacz małżeństw dla swoich homoseksualnych romanсів, a także demoralizator młodzieży – m.in. zwolennik jej współżycia ze starszymi mężczyznami. Jednym z jego postulatów było przekonywanie społeczeństwa o rzekomych ogromnych różnicach między osobami homoseksualnymi a heteroseksualnymi. Była to pochodna idei o „trzeciej płci”, więc skoro kobiety i mężczyźni różnią się między sobą i w sprawach zasadniczych (rola w wychowaniu dziecka), i wizualnie (styl ubierania się), to dlaczego by homoseksualiści nie musieli wyglądać inaczej? Długowieczność Haya sprawiła, że próbował on różnych metod rozszerzania gejowskiej propagandy – tworzył homoseksualne wspólnoty, wspierał Hollywoodzkie filmy przedstawiające niewinność tak wyobrażonej tolerancji, a także eksperymentując ze skrajnymi formami uprawiania seksu. Całość tych aberracji została nazwana „prawami człowieka” i prawem od odmienności. Do tych rozważań pseudonaukowego wsparcia dostarczył Alfred Kinsey, którego „Raport” z 1948 roku stwierdzał, że 10 proc. mężczyzn preferuje seks z innymi mężczyznami. Ten mit leży u wielu wyobrażeń o społeczeństwie, przebił się do publicznej debaty, ale jego weryfikacje już nie. A tymczasem dopiero po latach wyszło na jaw, że Kinsey swoje badania prowadził wśród... amerykańskich więźniów, którzy żadną miarą nie mogą odzwierciedlać całego społeczeństwa. Badacz, będący zresztą zoologiem i entomologiem, przekonywał także, że seks z dużo młodszymi partnerami jest naturalny, a wszystkich ludzi można sklasyfikować w siedmiostopniowej skali skłonności homoseksualnych. W ten sposób oprócz rzekomych 10 proc. wszystkich mężczyzn uprawiających seks z mężczyznami, można było włączyć większą część społeczeństwa do swoich preferencji, przyznając im status o częściowym pociągu do osób tej samej płci.

Rewolucją, która przełamała sprzeciw konserwatystów wobec takich patologicznych aktywności, były wydarzenia z końca czerwca 1969 roku... To wtedy miały miejsce zamieszki w nowojorskim klubie gejowskim „Stonewall”, miejscu anonimowego seksu, dealowania narkotyków i spotkań. Gdy podczas policyjnej kontroli goście lokalu zaatakowali funkcjonariuszy, przerodziło

się to w dwudniowe zamieszki, pożary i dewastację okolicy. Awanturze sprzyjała atmosfera rewolucji 1968, w której lewacy aktywiści wzywali do obalania państwa, instytucji i rodziny, na fali popularności maoistycznej i trockistowskiej wersji komunizmu. Wydarzenia w Stonewall stały się jednym z fundamentalnych mitów ruchów LGBT. Według tej narracji biali heteroseksualni policjanci na polecenie konserwatywnych chrześcijańskich polityków chcieli zastosować przemoc wobec odmiennych seksualnie młodych ludzi. Ci ostatni mieli się zbuntować, po raz pierwszy sprzeciwić się represjom i w imię wolności walczyć o prawo do miłości. Od tamtego czasu powstały na ten temat dwa filmy fabularne, kilka filmów dokumentalnych, książki, a samo wydarzenie jest często wspominane w popkulturze (w serialach, piosenkach) jako pierwsze zwycięstwo z nietolerancyjnym reżimem.

Fala uderzeniowa propagandy i akcji homoaktywistów była tak silna, że w grudniu 1973 roku skreślono homoseksualizm z listy chorób psychicznych. Ten precedens, który później rozlał się na cały świat, zmieniając określenie homoseksualizmu z choroby na „zwykłą postawę psychoseksualną”, był poprzedzony kilkuletnią agitacją – na wykładach psychiatrów oraz na sesjach terapeutycznych działacze organizacji ówczesnego LGBT, zwłaszcza członkowie grup Henry’ego Haya, przerywali spotkania, domagając się uznania ich za „normalnych ludzi”. Ta forma szantażu emocjonalnego się sprawdziła – rok 1973 był zwycięską bitwą homoaktywistów, którzy odmieniła postrzeganie płci, chorób psychicznych i homoseksualizmu w ogóle.

Jaki będzie świat 50 lat po uznaniu homoseksualizmu za normalną postawę? Dziś 26 krajów w pełni uznaje związki homoseksualne potwierdzone przez sąd za równorzędne małżeństwu kobiety i mężczyźni. Zaczęło się od Holandii w 2001 roku i od tamtego czasu co roku przybywa nowych państw dopuszczających takie „małżeństwa” i przyznających im stopniowo prawo do adopcji dzieci. Obecnie w Polsce około 54 proc. społeczeństwa opowiada się przeciw legalizacji związków, ale czy nie z trudniejszymi sytuacjami radził sobie prężny i zorganizowany ruch LGBT, zarządzany przez doświadczonych aktywistów? Sto lat temu mężczyźni uprawiający razem seks mogli skończyć w więzieniu – a dziś w niektórych krajach w więzieniu mogą wylądować ci, którzy na seks między mężczyznami reagują grymasem obrzydzenia...

LGBT na sportowych arenach

Małgorzata Matuszak



21 marca tego roku Rada Praw Człowieka ONZ przyjęła rezolucję, której pomysłodawcą była RPA, wzywającą rządy do zapewnienia, by organizacje sportowe nie wywierały presji na transseksualnych zawodniczkach w celu zatarcia różnic między nimi a pozostałymi sportsmenkami. Spotkało się to z ostrym sprzeciwem ze strony środowisk sportowych.

Sport dostarcza rozrywki ogromnej liczbie ludzi na całym świecie. Śledzenie różnego rodzaju wydarzeń sportowych jest dziś zdecydowanie łatwiejsze niż kiedykolwiek wcześniej, a niektóre wspólczesne gwiazdy sportu przrównać można do ikon popkultury, gwiazd medialnych czy topowych celebrytów. W dzisiejszych czasach sportowiec stał się produktem marketingowym, podobnie jak sam sport, a także sposobem przekazywania ludziom różnego rodzaju treści niekoniecznie z tą dziedziną związanych. Rzec by można – zmienia się świat, ewoluuje w nim również sport. Czy jednak niektóre przemiany nie sąsiadują na miano absurdalnych?

► Czy Caster Semenya jest kobietą?

Odpowiedź na to pytanie wciąż pozostaje nieoczywista. Pamiętamy, jak wielkie wzburzenie wywołał bieg na 800 metrów kobiet podczas Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 roku. Polka, Joanna Jóźwik, która wtedy była piątą, po starcie o swoich sportowych rywalkach powiedziała: „Koleżanki mają bardzo wysoki poziom testosteronu, zbliżony do męskiego, stąd ich wygląd i wyniki. Caster Semenya jest w tym sezonie nie do pobicia i jeżeli władze światowej federacji lekkoatletycznej nic z tym nie zrobią, nie przywrócą dopuszczalnego limitu testosteronu we krwi, to wciąż będzie nie do pokonania”. Stwierdziła też: „W drodze na stadion przede mną szła Wambui, która jest trzy razy większa ode mnie. Jak ja mam się czuć? Ona ma wielką łydke, wielką stopę, zrobi jeden krok, a ja trzy. Dla takich zawodniczek jak ja czy Kanadyjka Melissa Bishop to trochę krzywdzące”. Dodała również, że czuje się srebrną medalistką tych igrzysk.

Działaczki Fundacji Feminoteka w ten sposób odpowiedziały Joannie Jóźwik i innym osobom w pełni ją popierającym: „Odwrócenie status quo powoduje wzburzenie, gdyż jedna z najtrwalszych posad patriarchalnego systemu kapitalistycznego – porządek płciowy – zostaje zachwiana przez biegaczkę z RPA. Ów porządek to nic innego, jak normy i wzorce płciowe, które są tak nierealistyczne, że wręcz niemożliwe do osiągnięcia”. Podział na płę męską i żeńską to zatem wymysł patriarchy, nieprzystający do feministycznej wizji świata, realistycznej, postępowej i jedynie słusznej, bo odpowiadającej na współczesne wyzwania, przed jakimi staje dzisiaj problematyka płci. Feministki wzięły w obronę biegaczkę z RPA, zapominając o tych, którym przychodzi się z nią mierzyć, nie dostrzegając tego, że to one właśnie są w tej sytuacji dyskryminowane.

Od igrzysk w Rio minęło dwa i pół roku. W tym czasie Caster Semenya wygrywa kolejne zawody, bije następne rekordy. Werdryk Sportowego Trybunału Arbitrażowego w jej sprawie jest wciąż odwlekany. Caster Semenya nie zgadza się na obniżanie poziomu testoste-

ronu w jej organizmie, o co postuluje IAAF (Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych). 21 marca tego roku Rada Praw Człowieka ONZ przyjęła zaś rezolucję, której pomysłodawcą była RPA, wzywającą rządy do zapewnienia, by organizacje sportowe nie wywierały presji na transseksualnych zawodniczkach w celu zatarcia różnic między nimi a pozostałymi sportsmenkami. Spotkało się to z ostrym sprzeciwem ze strony środowisk sportowych.

► Kobieta vs kobieta

Rezolucja ONZ spotkała się z ostrym sprzeciwem ze strony środowisk sportowych. Problem Caster Semenya jest palący, ale niejedyny dotyczący LGBT, z jakim mamy do czynienia we współczesnym sporcie. Kolejnym są osoby transpłciowe, które po procesie zmiany płci uczestniczą w rozgrywkach sportowych zgodnie z nową tożsamością. Dochodzi w ten sposób do sytuacji kontrowersyjnych, przynajmniej dla zdecydowanej większości osób.

Przeciętny sztangista Gavin Hubbard po operacji zmiany płci przyjął imię Laurel Hubbard. W nowej tożsamości Laurel została wicemistrzynią świata w podnoszeniu ciężarów. Tim Swords, trener reprezentacji USA, powiedział wtedy: „Ta cała sprawa to jeden wielki skandal. Jej występy są po prostu nie fair. Liczę na to, że Międzynarodowy Komitet Olimpijski coś z tym zrobi, bo to może zaszkodzić naszej dyscyplinie sportu”. MKOL zezwala jednak na starty osób transpłciowych od 2004 roku i nic nie wskazuje na to, by sytuacja ta uległa zmianie. Callum Mouncey z kolei był w latach 2012–2016 reprezentantem Australii w piłce ręcznej. Po operacji zmiany płci stał się Hannah Mouncey i w 2018 roku reprezentował barwy Australii w kobiecej piłce ręcznej. Nie trzeba chyba dodawać, że jako kobieta radzi sobie w tym sporcie znacznie lepiej... Nawet w kobiecych walkach MMA bierze udział zawodniczka, która była kiedyś mężczyzną, Fallon Fox. Wiele osób, przede wszystkim inne zawodniczki, uważa, że to niesprawiedliwe, że pomimo kuracji hormonalnych, zabiegów i operacji, Fox wciąż ma przewagę fizyczną nad rywalkami, bo urodziła się w męskim ciele. W środowisku siatkarskim głośno zaś jest ostatnio o Brazylijce Tiffany Abreu, która po operacji zmiany płci z przeciętnej siatkarki stała się nieprzeciętną siatkarką. Rozważano nawet jej powołanie do reprezentacji Brazylii, ale FIVB póki co nie wyraziła na to zgody. Katarzyna Skowrońska, nasza wybitna reprezentantka w siatkówce, obecnie grająca w Brazylii, ma zdecydowane zdanie na temat Abreu: „Jeżeli ktoś zamierza się zmieniać, nawet radykalnie, nie mam z tym problemu. Ale jeżeli ktoś stał się kobietą, to wciąż ma w sobie wiele cech typowo męskich i Tiffany zawsze będzie ode mnie silniejsza czy skoczniejsza, choć mam za sobą wiele lat treningu. Ja

w piątym secie muszę odnaleźć w sobie naprawdę wiele siły, by dociągnąć spotkanie do końca na dobrym poziomie, a ona dzięki większej pojemności płuc jest w stanie grać dłużej. Gdzie tu sprawiedliwość?”. Dodała, że nie chciałaby, aby zawodowy sport podążył w tym kierunku.

► Agresywna propaganda

Najsłynniejszą chyba osobą transpłciową jest Rachel McKinnon, mistrzyni świata kobiet w sprincie w kategorii 35–39 lat. McKinnon jest także wykładowczynią filozofii na Uniwersytecie Charleston i działaczką na rzecz praw człowieka w sporcie. Prowadzi m.in. kampanię na rzecz tego, by nie sprawdzać poziomu testosteronu u sportsmenek, bo dyskryminuje to, jej zdaniem, osoby zmiennopłciowe i narusza ich prawa człowieka. W rozmowie z „USA Today” swą postawę tłumaczy następująco: „Tu chodzi o coś więcej niż sport. Tu chodzi o prawa człowieka. Przyjmując punkt widzenia osób cisplciowych – cisgender godzimy się na dyskryminację osób zmiennopłciowych. Dlaczego mielibyśmy pytać większość w sprawie przyznania praw człowieka jakiejś mniejszości? Zależy się, że biali ludzie byli wkurzeni, kiedy w sporcie zniesliśmy podziały rasowe i dopuściliśmy murzynów”.

McKinnon twierdzi ponadto: „Nie można uznawać w społeczeństwie zmiennopłciowca za kobietę i jednocześnie nie uznawać jej w sporcie. Wyniki sportowe nie mają tu nic do rzeczy, bo my mówimy o kwestii praw. Nie należy się więc obawiać, że zmiennopłciowi wystartują na Igrzyskach Olimpijskich. Przede wszystkim należy myśleć o prawach człowieka”. Trudno się jednak z nią zgodzić. Tutaj nie chodzi o to, czy osoby transpłciowe mają prawo istnieć. Mają, to nie ulega wątpliwości. Przedmiotem sporu jest to, jak daleko może się posunąć agresywna propaganda LGBT, tym bardziej w sporcie, który powinien być wolny od polityki i ideologii, a przede wszystkim szanować zasady fair play, które w tym momencie są jawnie łamane. Niszczone jest tym samym piękno sportu, piękno i sens rywalizacji. Trzeba też odróżniać tolerancję od promocji.

Na obecność w sportowej rywalizacji kobiet, które stały się nimi w wyniku zmiany płci, przyzwolenia nie daje nawet Martina Navratilova. W swym niedawnym felietonie dla „The Sunday Times” napisała, że starty transpłciowych zawodniczek nie są fair dla innych kobiet. Stwierdziła dobitnie: „Mężczyzna może zdecydować się na to, by zostać kobietą, brać hormony i, jeśli to dozwolone przez jakąkolwiek organizację sportową, wygrać wszystkie trofea i zarobić fortunę, by później zmienić zdanie i wrócić do płodzenia dzieci, jeśli tylko tego zechce. To szaleństwo i oszustwo! Z chęcią będę się zwracać do transpłciowej kobiety tak jak jej to odpowiada, ale nie chciałabym z taką konkurować w sporcie”.

Tymi słowami naraziła się środowisku LGBT. Organizacja „Athlete Ally” („Zwycięstwo przez jedność”), wspierająca sportowców z kręgu LGBT, uznała ją za osobę homofobiczną, której poglądy prowadzą do „ataków na osoby transpłciowe” i za „promowanie homofobii i transfobii” oraz „sianie dezinformacji i dyskryminacji” wyrzuciła Navratilovą ze swoich struktur. Dziwi to tym bardziej, że znana tenisistka jest zdeklarowaną lesbijką, walczącą o prawa osób homoseksualnych.

► Absurd goni absurd

Władze hiszpańskiej Walencji postanowiły niedawno pójść jeszcze dalej. Uznały podział na płeć za archaiczny i postanowiły połączyć kobiece i męskie zespoły w koszykarskich rozgrywkach młodzieżowych w wieku 16–18 lat w jedną ligę. Co z tego wyszło? „Dramat, absolutne rozczarowanie” – powiedział dla *levantemv.com* Victor Mut, trener dziewczęcego zespołu CB Benimaclet. „Łączenie rywalizacji w tym wieku to najbardziej szalona rzecz, z jaką się spotkałem. Pracujemy i ciężko trenujemy, ale nasza frustracja tylko się powiększa” – dodał. Najlepsza kobieca drużyna 17-latek została pokonana przez przeciwny męski zespół 4:50... Urzędnicy byli zachwyceni swym pomysłem, jednak tylko oni. Miejskowa gazeta cytuje jednego z trenerów 18-latek, który pragnie pozostać anonimowy: „Wszyscy wiedzą, że to kompletne szaleństwo. Większość boi się jednak odezwać głośno, żeby nie zostać poświadczonym, że jest przeciwny równości płci. Na parkiecie to jednak się nie sprawdza. To niesprawiedliwe, żeby dziewczyny rywalizowały z chłopakami, którzy biologicznie są dużo masywniej zbudowani”. Jak można było dopuścić do rywalizacji wysokich wprawdzie, bo mierzących 180 cm wzrostu, dziewczyn z niemal dwumetrowymi i prawie stukilogramowymi chłopakami? Czy kogoś dziwi, że dziewczęta po kilku minutach odmówiły dalszej gry? Jak podaje gazeta, pomysł ten wyszedł od środowisk transpłciowych, które chcą zniesienia tradycyjnego podziału na płeć. Miała być równość, ale co z niej wyszło? Coś zupełnie odwrotnego. Radni starali się wycofać ze swej decyzji, ale było już za późno. Ustalono jednak, że „tradycyjny” podział powróci w przyszłym sezonie.

Do czego to wszystko prowadzi? Dlaczego niektórzy pragną uczynić ze sportu narzędzie ideologii, w dodatku szkodliwej społecznie? Czy mówienie wprost o niesprawiedliwości, o niezgodzie na propagandowe posunięcia ruchów LGBT, istotnie świadczy o zaściankowości i nienowoczesności? Przykro jest wciąż czytać i słyszeć o zacofaniu Polaków, najpierw technologicznym, teraz mentalnym. Trzeba zadawać sobie nieustannie pytania: czy demokracja zmierza naprawdę w dobrą stronę? Czy Zachód jest dla nas naprawdę jedynie słusznym kulturowym wzorem? Ideologia LGBT zabija piękno sportu. Czy wolno się na to godzić? ■



Ewa Polak-Pałkiewicz

NIEOKRZESANY JĘZYK NASZYCH OJCÓW

Czy Żołnierze Wyklęci, zwani dziś Niezłomnymi, byli romantycznymi rycerzami, czy też ludźmi nadzwyczaj statecznymi, głęboko, realistycznie myślącymi?

Mieli oni pewną istotną, a zwykle mniej docenianą i dość rzadko występującą dziś cechę: całkowitą odporność na ideologiczne projekty, propagandowe utopie. O czymś takim tylko marzyć mogliby ich rówieśnicy z Francji, Belgii czy Holandii, w latach 40. i 50. ubiegłego wieku, już nie mówiąc o Rosjanach, Niemcach czy współczesnych Europejczykach. Wiedzieli, że wymysłony za biurkiem ustrój („najlepszy z ustrojów”) nie będzie nigdy niczym innym jak negacją rzeczywistości. Wiedzieli o tym nie dlatego, że naczytali się książek, które wykazywały, że komunizm nie stworzy niczego poza iluzją (na jaką nabrać się może tylko motłoch) i bezkresnym obszarem nędzy i cierpienia, lecz dlatego, że rozumieli, czym jest odebranie człowiekowi własności i zapędzenie go, wbrew jego woli, do fabryk, hut i kopalń. Do więzień i gulagów – gdy będzie stawiał opór.

Komuniści i ich spadkobiercy ideowi – można ich różnie nazywać, ale nadal są pośród nas – wprost wyłazili ze skóry, by stworzyć na użytek szerokich mas wizerunek żołnierza antykomunistycznego podziemia jako człowieka nieokiełznanych namiętności, szarpanego uczuciami niemal histerycznymi, z których na czoło wysuwała się oczywiście „nienawiść”. Tymczasem w postawie Żołnierza Wykłętego największą rolę odgrywały rozum i wola.

To paradoks, ale w poświęceniu się dla ojczyzny odgrywają one o wiele większą rolę niż uczucia, najbardziej nawet gorące. Żołnierze antykomunistycznego podziemia po prostu rozpoznali wolnym umysłem, że wolność, niepodległość, sprawiedliwość są tymi dobrami, których trzeba bronić, za które warto i należy poświęcać młodość, a nawet życie. Bo one niejako gwarantują, że życie człowieka osiągnie swój cel. Taka jest zasada cywilizacji łacińskiej. Taka jest chrześcijańska tradycja. Taka jest również powinność mężczyzny. Oparta na prawdziwej mądrości, nie na sentymentalizmie.

► Zdobyć twierdzę zdrowego rozsądku

Komuniści nie mogli ich ścierpieć, bo wiedzieli, że dopóki istnieją obok nich na tym samym terytorium – mówią, wydają odezwy, spotykają się z innymi Polakami, walczą, sprawują rządy w wyzwolonych miasteczkach czy gminach – dopóty ta najniebezpieczniejsza w ich oczach choroba, jaką jest zdrowy rozsądek, rozum oraz niezłomna wola, nie zostanie pokonana. A zatem sam fundament, na którym oparta jest chrześcijańska cywilizacja, nie zostanie skruszony. Rozum i wola pozwalały zająć stanowisko sprzeciwu wobec bolszewickiego „porządku”, który negował, że człowiekowi jako istocie stworzonej przez Boga właściwa jest pewna godność i świętość. I dlatego ma on prawo do tworzenia takiego społeczeństwa, jakie zapewni mu uszanowanie tej godności. Tylko w ten sposób rozu-

miane prawa człowieka mają sens. Bolszewicka „równość” całkowicie tej idei zaprzecza. Jedyną prawdziwą równość jest równością niewidzialną i mistyczną, równością przed Bogiem. Żołnierze Wykłęci byli obrońcami Bożego porządku na ziemi.

Zdrowy rozsądek zaś podpowiadał, że ten porządek oparty być musi na suwerennych rządach i prywatnej własności. Tylko człowiek wyposażony choćby w najdrobniejszą własność potrafi rozstrzygać o własnym losie. Taki człowiek jest rzeczywiście zewnętrznie i wewnętrznie wolny. To nie przypadek, że Żołnierzom Wykłętym pomagali, z narażeniem własnego życia, polscy chłopci, drobni właściciele ziemscy.

Takich ludzi opisywał G. K. Chesterton, jeden z nielicznych Europejczyków, którzy kochali Polaków właśnie z powodu silnie zaznaczonych owych cech. „Mentalność takich ludzi ma swoje typowe wady, ale przynajmniej nie trzeba ich nigdy nakłaniać ani przymuszać, by sami rozstrzygali o własnym losie. Ktoś, kto niepodzielnie panuje na własnej ziemi, nie ma oporów, by przybyć na zjazd królów. Jego wyobrażenia o ludzkiej godności nie są stamszone przez świadomość, że on sam stanowi tylko maleńki trybik w gigantycznej maszynie masowej produkcji. Nie przytłacza go poczucie, że jest całkowicie zależny od przerastających go okoliczności, o których decydują bogatsi niż on. Ma oczywiście własne kłopoty z pracą czy pogodą, i musi sobie radzić samodzielnie i niezależnie; samodzielne, niezależne decyzyje nie są dla niego czymś niepojętym. I nie lepiej nie oddaje jego nastawienia niż słowa, które padają, kiedy razem z sąsiadami szykuje się do bitwy przeciw najeźdźcy. Król mówi do szeregow: »Z Bożą pomocą, bohaterowie!«. Oni zaś odpowiadają: »Z Bożą pomocą!«.”

To pamięć, jakże realistyczna, o tej nadzwyczajnej, jeśli idzie o rozmach, o skalę poświęcenia i ryzyka – choć przecież całkowicie naturalnej – solidarności tysięcy Polaków, rolników, z żołnierzami podziemia antykomunistycznego, pomogła, a wręcz nakazała Władysławowi Gomułce w 1956 roku zachować wobec „towarzyszy sowieckich” przytomny opór, zupełnie nieprzystający do postawy partyjnego aparatczyka. I nie dopuścić w rezultacie do interwencji zbrojnej na terenie Polski. Gomułka wiedział dobrze, że Podziemie, które wrzało w latach 40., może się w Polsce w każdej chwili odrodzić¹. To w istocie oni, Wykłęci i ich opiekunowie z wio-

¹ Mówi o tym m.in. świadek tamtych wydarzeń, Jan Olszewski, w mojej książce, wywiadzie-rzecz, pt. „Prosto w oczy”: „Myślę, że Chruszczow się cofnął w momencie uświadomienia sobie konsekwencji doprowadzenia interwencji do końca. W czasie ich rozmowy czołgi jechały już na Warszawę. Wszystko wskazuje na to, że Gomułka zagrał *va banque* – jeżeli się nie godzicie, nikt nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności za to, co się stanie. Tak jak w przypadku Węgier Rosjanie nie cofnęli się przed interwencją, w przypadku Polski – nie zdecydowali się na nią” (Rozdział „Gomułka”, s. 87–88).

sek, przysiółków, leśniczówek, miasteczek obronili nas wtedy przed terrorem – takim samym jak ten, który Sowieci zaprowadzili na Węgrzech.

Dlatego komuniści dosłownie rwali sobie włosy z głowy, co by tu wymyślić, jaki scenariusz wyprodukować, by obrzydzić Polakom pamięć o naszych niezłomnych braciach. Do dziś w niejednej chorej wyobraźni przetrwał jakiś mroczny obraz zakrwawionego, dyszącego zemstą szaleńca tułającego się z bronią po bezdrożach i leśnych ostępach jak bezpański pies. To ten, którego rzekomo „wypłuło”, „wyrzekło się” „społeczeństwo socjalistyczne”, bo jego „świadomość” była na „wyższym poziomie”. Nawet dziś nie brakuje usługowych piór, które na każde zamówienie gorliwie przyczernią wizerunek Żołnierzy Niezłomnych, tak jak kiedyś oblewały smołą prawdziwe portrety Powstańców warszawskich. A coraz liczniej ujawniane fakty, zdjęcia, dokumenty pokazują rzekome „bandy” jako świetnie zorganizowane ugrupowania młodych ludzi. Porządnie umundurowanych, schludnych, dbających o elegancję, gdy warunki na to pozwalały, kurtuazyjnych wobec kobiet. Kultura osobista, sztuka wojskowa, horyzonty intelektualne sytuują ich wśród prawdziwych elit.

To nie młodzieńcze namiętności, uczuciowy zryw i bunt dostarczały im głównych motywacji, lecz lojalność i poczucie obowiązku, które jako ludzie rozumni, stateczni i wolni traktowali jako swoją powinność wobec wspólnoty. Wszyscy ludzie normalni takie postawy uznają za przyzwoitość i bohaterstwo; wszyscy szaleńcy lub półszaleńcy – za pomyłkę, śmieszna naiwność, niebezpieczną anarchię, wreszcie – zagrożenie.

► Ułdzona fikcja, czyli igraszki ze słowem

W języku, który niewolę nazywa „wolnością”, gwałt „sprawiedliwością”, bezprawie „prawem”, nie ma innych nazw dla bohaterstwa, wierności, patriotyzmu i odwagi. Najnowsze fabryki zbitków słownych produkują wiele szeleszczących kłamstw w tym nowym języku, byle tylko zadrwić z przyzwoitości, wykpić odwagę, ukryć zbrodnię, usprawiedliwić kolejną przerażającą herezję lub wylansować nową, wariacką, infantylną utopię.

Gdy przestajemy używać rozumu, nowa moralność, która jest zwykłą niemoralnością, ma się dobrze. Stajemy się zależni od eufemizmów, które krok po kroku, aż do skutku, wmawiają nam, że czarne jest białe. Ilekroć ogłasza się którąś z tych „prerażających herezji”, jak mawiał Chesterton, wymyśla się dla niej nową nazwę. Nazwę „starannie dobraną tak, aby była przyjemna dla ucha; na tej zasadzie Furie nazwano Eumenidami. Są to zawsze nazwy pochlebne – i zawsze

bdurze. Na przykład termin »kontrola urodzin« to kompletny nonsens. Od początku świata ludzie stosowali kontrolę urodzeń – także wtedy, gdy byli takimi dziwakami, że pozwalali, by cały proces kończył się urodzeniem. Metody tej kontroli były znane od niepamiętnych czasów, nawet gdy przybierały postać tak dzisiaj niepojętą i szokującą jak samokontrola. Ludziom współczesnym chodzi w gruncie rzeczy nie o kontrolę urodzeń, lecz o zapobieganie urodzeniom”. Tak samo jest z eutanazją, rzekomą „dobrą śmiercią”, i z setkami innych fałszerstw, które dostarczają rozleniwionym umysłom ułdzonej fikcji. Usprawiedliwia się wszystko i propaguje się każda dewiacja, byle tylko nazwa była odpowiednio łagodna, chwytliwa, miła, a nawet wzruszająca. „Polonez równości” jest jednym z najlepszych tego przykładów, to istny semantyczny majstersztyk.

W JĘZYKU, KTÓRY NIEWOLĘ NAZYWA „WOLNOŚCIĄ”, GWAŁT „SPRAWIEDLIWOŚCIĄ”, BEZPRAWIE „PRAWEM”, NIE MA INNYCH NAZW DLA BOHATERSTWA, WIERNOŚCI, PATRIOTYZMU I ODWAGI. NAJNOWSZE FABRYKI ZBITEK SŁOWNYCH PRODUKUJĄ WIELE SZELESZCZĄCYCH KŁAMSTW W TYM NOWYM JĘZYKU, BYLE TYLKO ZADRWIĆ Z PRYZWOITOŚCI.

Nasze czasy, jak stwierdzał z goryczą Chesterton, są czasami nie odwagi, lecz reklamy. Uprawia się ją publicznie, lecz nie w publicznym interesie. Jest to nic innego jak sztuka pochlebstw wobec ruchów ideologicznych czy bogatych firm, które na każdej ludzkiej słabości, na każdej moralnej chorobie czy psychicznym odchyleniu usiłują zarobić. Spece od reklamy zawsze wymyślą jakąś „przyjemną nazwę dla nieprzyjemnych spraw”.

Chesterton powtarzał, że od tych siłących się na atrakcyjność, przymilnych, czasem luksusowo opakowanych kłamstw, które wciskają się w nasz codzienny język i które wtłoczyć nas próbują w nierzeczywistość, a które są niczym innym jak prostacką reklamą złej moralności, sto razy wolni „nieokrzesany język naszych ojców”. Ideologia zwycięża, gdy nie nazywa się rzeczy właściwym jej imieniem. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... grzech

Grzeszyć możemy „myślą, mową, uczynkiem i zaniechaniem”, popełnić grzech lekki (powszedni) albo ciężki (śmiertelny). Wśród tych śmiertelnych teologia moralna, opierając się na Biblii, wyróżnia cztery naruszające w szczególności sposób porządek społeczny, których wołanie dociera przed oblicze samego Boga – grzechy wołające o pomstę do nieba. Możemy zgrzeszyć przeciw Duchowi Świętemu, przed czym szczególnie ostrzegał Pan Jezus. Możemy również mówić o grzechach zewnętrznych, popełnianych w wyniku aktu woli skierowanego ku światu zewnętrznemu, i tych wewnętrznych, pozostających we wnętrzu człowieka. Możemy też nie popełnić zła wprost, lecz współdziałać z kimś, czyli popełnić grzech cudzy. Istnieje wiele grzechów, wiele sposobów ich katalogowania i podziału. Jak jednak pisał święty Ignacy Loyola, ważniejsze od ich liczenia i ważenia jest odpowiedzenie sobie na pytanie, czego Bóg ode mnie oczekiwał, do czego zapraszał, co proponował i co ja z Jego inicjatywą zrobiłem.

Z definicji grzech to przekroczenie przykazania bożego lub kościelnego. Trzeba spojrzeć nań szerzej, bardziej osobowo – to powiedzenie „nie” Panu Bogu, to brak miłości. Zło grzechu wynika nie tyle z nieprzestrzegania prawa, ile z działania uderzającego w godność ludzką, której prawo jest instrumentem zabezpieczającym. Według świętego Tomasza z Akwinu grzech to „powiedzenie, uczynienie lub pożądanie czegoś przeciwnego prawu wiecznemu”, które strzeże podstawowego sensu życia człowieka. Przekraczając to prawo, czyli popełniając grzech, niszczy człowiek swoje życie, jego godność i znaczenie.

Polskie znaczenie słowa „grzech” pochodzi od łacińskiego peccatum, oznaczającego „przewinienie, wykroczenie, działanie obciążone winą”. W grece, języku Nowego Testamentu, pod słowem „grzech” kryje się przede wszystkim termin *hamartia* (dlatego naukę o grzechu nazwano hamartiologią). Słowo to pierwotnie oznaczało „błąd na mecie, chybienie celu” i odnosiło się głównie do wojownika, który nie trafiał do celu, strzelając z łuku. To słowo bardzo również znaczące w greckiej tragedii. Oznacza błąd wynikający z ograniczonych możliwości poznawczych albo – znacznie częściej – winę polegającą na świadomym wykroczeniu przeciw bóstwu i normom religijnym lub przeciw normom panującym w społeczności rodowej, państwie czy

rodzinie. W języku hebrajskim zaś słowem używanym powszechnie do określenia tego, co tłumaczymy jako „grzech”, jest *jattá'th*, oznaczające również „chybić, puścić”, używane w kontekście nie trafienia do celu, punktu docelowego, zboczenia z wyznaczonej drogi.

Dziś słowo „grzech” niewiele znaczy. Stało się przejawem infantylności, zabobonem, symbolem dawno nieaktualnej wiary. Grzech się zbanalizował, przestał być postrzegany jako coś indywidualnego i personalnego, został wpisany w sposób powszechnego, popularnego postępowania. Stał się dziś tak zwanym grzechem strukturalnym, tłumaczonym

DZIŚ SŁOWO „GRZECH” NIEWIELE ZNACZY.

STAŁO SIĘ PRZEJAWEM INFANTYLIZMU,

ZABOBONEM, SYMBOLEM DAWNO

NIEAKTUALNEJ WIARY. GRZECH SIĘ

ZBANALIZOWAŁ.

przez Jana Pawła II jako zagrożenie wynikające z działania zła, którego zasadniczą strategią jest to, „aby rośło z samego człowieka”. Powszechność grzechu, powszechność związanego z nim zła, ma stanowić dlań wystarczające usprawiedliwienie.

Grzech to zbłądzenie, wybór i podążanie niewłaściwą drogą. Wtedy wszystko, co robi człowiek, jest chybione, oddala bowiem od właściwego celu. Właściwie każdy nasz dzień jest takim konkursem strzelniczym, po którym powinniśmy odpowiedzieć sobie na pytania: czy przybliżył mnie do Boga, do siebie tym samym i swojego szczęścia, czy mnie od niego oddalił? Czy stałem się bardziej sobą, naładłem sobie właściwy kierunek, czy też może rozminąłem się ze sobą? Nawet jeśli zbłądziłem, zawsze istnieje nadzieja powrotu na właściwy kurs. Musimy o tym pamiętać, szczególnie teraz, zanurzeni w tajemnicy Wielkiej Nocy, w Bożym miłosierdziu i tajemnicy Krzyża. Zawsze mamy możliwość powstania z upadku, zawrócenia z niewłaściwej drogi. Musimy tylko szczerze i z ufnością wyznaczyć naszą winę. ■



Fotografia grupowa piłkarzy Cracovii, zdobywców pierwszego mistrzostwa Polski w piłce nożnej. Stoją od lewej: Stefan Popiel, Stanisław Cikowski, Zdzisław Styczeń, Ludwik Gintel, Józef Kałuża, Leon Sperling, Stanisław Mielech, Adam Kogut, trener Imre Pozsonyi. Siedzą: Stefan Fryc, Bolesław Kotapka, Tadeusz Synowiec.



Piotr Lisiewicz

Drewniana bramka Cracovii, a w niej Józef Piłsudski wśród zawodników. Obok brygadiera stoją Edward Rydz-Śmigły i Józef Kałuża. To zdjęcie fotograf zrobił w 1917 roku, na krótko przed aresztowaniem Piłsudskiego przez Niemców i umieszczeniem w twierdzy w Magdeburgu, gdy legionowe drużyny piłkarskie grały z Cracovią. Dziś stadion Cracovii im. Józefa Piłsudskiego mieści się przy ulicy Józefa Kałuży. Ale fakt, że Kałuża był jedną z największych legend polskiej piłki i trenerem reprezentacji, który odniósł największe sukcesy przed Kazimierzem Górskim, nie jest powszechnie obecny w polskiej świadomości.

Król piłkarzy, który znał na pamięć „Pana Tadeusza”



Józef Kałuża – legenda nie umiera nigdy” – głosi jednak z flag kibiców Cracovii. „Napoleon polskiego piłkarstwa”, „Krakowski Messi” – ten stary i nowy przydomek Józefa Kałuży wymieniały jednym tchem media, gdy w 2017 roku z inicjatywy kibiców stanął w Krakowie jego pomnik.

Zarówno od Napoleona, jak i Messiego był trzy centymetry... niższy – mierzył zaledwie 166 centymetrów. Faktem jest natomiast, że miał – w rzecz jasna nieporównywalnych czasach – zbliżone do sławnego Argentczyka statystyki. Według jednej z nich jako piłkarz w 416 meczach zdobył 465 bramek – wliczając w to mecze w Cracovii, reprezentacji Krakowa i reprezentacji Polski. Mimo że nie wykonywał rzutów karnych ani wolnych!

► Najlepszy trener przez Kazimierzem Górskim

Potem jako trener reprezentacji Polski zdobył z nią czwarte miejsce na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku i jako pierwszy doprowadził do awansu na Mistrzostwa Świata w 1938 roku, gdzie nasza reprezentacja rozegrała jeden z najpiękniejszych meczy w swej historii, przegrywając z Brazylią 5:6. A tuż przed wojną reprezentacja pod wodzą Kałuży pokonała wice mistrzów świata Węgrów 4:2. Na następny awans na Mundial Polska czekała aż do 1974 roku, gdy reprezentację trenował Kazimierz Górski...

Te statystyki nie oddają jeszcze jednej ważnej roli Kałuży – w niepodległej Polsce był on współtwórcą modelu sportowca-inteligenta. Znał na pamięć całego „Pana Tadeusza”, grał na skrzypcach, był nauczycielem języka polskiego, dziennikarzem i publicystą, autorem podręcznika do nauki taktyki piłkarskiej.

Świadomość jego autorytetu mieli Niemcy, którzy w 1939 roku chcieli, by objął funkcję „sportführera” w Generalnym Gubernatorstwie. Kałuża był bowiem jednym z nielicznych członków zarządu PZPN, którzy pozostali w kraju. Niemcy liczyli, że zorganizuje związek podległy ich administracji. Odmówił. „Młodzi niech sobie grają – nam jednak nie można sprawić pozorów, że życie sportowe w naszym, podbitym przez najeźdźców kraju, płynie normalnie” – mówił wówczas do młodzieży.

► „Zyskaliśmy w nim wodza”

Józef Ignacy Kałuża urodził się 11 lutego 1896 roku w Przemyślu, jako syn Andrzeja i Magdaleny z domu Peter. Jego ojciec był oficerem, co miało wpływ na wpajane synowi wartości. Miał czterech braci.

Cała piłkarska kariera Kałuży związana była z Krakowem, gdzie przeprowadził się, mając 7 lat. Stanisław Mielech, napastnik Cracovii i żołnierz Legionów, tak

wspominał początek znajomości z Kałużą: „Pierwsze moje spotkanie z Józkiem zdarzyło się na krakowskich Błoniach. Mieliśmy tam swoją »paczkę«, do której należeli: Przystawski, Domagalski, Świszczowski, Pałasiński, Tondos, Kowal i inni. Co jak co, ale wózki umieliśmy już dobrze kręcić. Kiwało się przeciwnika dla samej sztuki wózkowania, którą uważaliśmy za najważniejszą z umiejętności piłkarskich. Zdobycie bramki, jeżeli przy tym nie przewózkowało się bramkarza, nie było cenione. Paczka nasza znana była na Błoniach jako najsilniejsza”.

Pewnego dnia planowali zagrać mecz z jakimś umówionym przeciwnikiem, ale nie mieli pełnego składu. Przypadkiem przypałał się tam pewien 15-latek. Wspominał Mielech: „Jakiś mały, niepozorny uczeń, przysłuchujący się naszym pertraktacjom z przeciwnikiem, ozwał się nagle:

- Ja mogę zagrać. Poprowadzę wam atak.
- A w jakiej paczce grywałeś dotychczas?
- W Podgórzu.

Była to dla nas prawie obraza. Podgórze było w naszych pojęciach dzielnicą niepotrzebnie przyłączoną do Krakowa, sportowo »nieważną«. A tu jakiś Podgórzanin miał ambicję nie tylko zagrać w naszej paczce, ale i poprowadzić nasz atak, atak najlepszej paczki na Błoniach! Śmieliśmy się z tego serdecznie, a on tylko patrzył na nas ironicznie”.

Boisko szybko zweryfikowało ich wyobrażenia: „Zaczęła się gra i... tego dnia poznaliśmy Józefa Kałużę. Nim to był bowiem ów niepozorny uczeń. To co on wówczas wyprawiał na boisku było kunsztem, którego jeszcze nie znaliśmy. Grał inaczej niż my wszyscy. Piłka słuchała go, kleiła mu się do nogi. Wózkował świetnie, lecz wózkiem trudno nam było zaimponować. Rewelacją dla nas były natomiast jego strzały, ustawianie się do piłki, wybieganie na pozycję, wypuszczanie piłek łącznikom na przebój lub na skrzydła. Jego zagrania powiązały nasze bezplanowe indywidualne gierki i nadały im sens. Jak łatwo było przy nim zdobywać bramki. Od tego meczu zyskaliśmy w nim wodza i promotora naszych piłkarskich poczyniń”.

► Czekolada nie dla Kałuży

Józef Kałuża grać w piłkę zaczynał w szkolnym klubie Polonia, potem był Robotniczy Klub Sportowy, czyli RKS Kraków. W 1911 roku trafił do Cracovii. Na ponad 18 lat, takie było wówczas przywiązanie piłkarzy do klubowych barw... Sam Kałuża wspominał na łamach „Przeglądu Sportowego” z 1926 roku w artykule „Artysta footballu – Józef Kałuża: O sobie i swych towarzyszach z boiska”: „Błonia krakowskie, kolebka całego szeregu znanych graczy, pozwoliły Cracovii w r. 1911 znaleźć w mnie talent. Nie mając nawet sposobności do pokazania się w rezerwie, już z wiosną r.

1912 znalazłem się w I drużynie... Mimo moich 15 lat i wagi o wiele mniejszej niż piórkowej, trener Cracovii, Kożeluch, zakwalifikował mnie na stałe do I drużyny”.

Wkrótce miał zepsuć trenerowi Kożeluchowi jego system motywowania piłkarzy. Nagradzał on bowiem zawodników czekoladą za trafienie w konkretne miejsce bramki. Ale wkrótce wykluczyć musiał z nagradzanych Kałużę i cytowanego napastnika Mielecha. Z prostego powodu – zabrakło czekolady dla pozostałych.

► Niemoralna gra z gołymi kolanami

Jednocześnie w latach 1911–1915 uczęszczał do Seminarium Nauczycielskiego. W szkole niekoniecznie przychylnie patrzono na jego sukcesy. „Jako uczeń i piłkarz równocześnie – nie zawsze spotykałem się z sympatią ze strony władz szkolnych. Wszelakiego rodzaju kawały w celu zmylenia czujności dyrekcji szkoły urwały się wreszcie w r. 1913. Zostałem »wylany« za branie udziału w grze... niemoralnej, ponieważ miałem gołe kolana. Za kilka dni jednak wróciłem do szkoły, dzięki interwencji” – wspominał Kałuża. Udało mu się w końcu ukończyć Seminarium Nauczycielskie, w którym w 1915 roku zdał maturę. Od 1917 roku pracował jako nauczyciel języka polskiego w Szkole Powszechnej im. Stanisława Żółkiewskiego w Krakowie.

Do pierwszej drużyny dołączył wiosną 1912 roku, mając zaledwie 16 lat. Zadebiutował 7 kwietnia 1912 roku w towarzyskim meczu z BEAC Budapeszt, zakończonym wynikiem 5:0, w którym zdobył jedną z bramek. Mielech wspominał: „Atak Cracovii prowadził w 1912 roku wiedeńczyk Singer, ten sam, który po powrocie do Wiednia zagrał w reprezentacji Austrii przeciwko Włochom i strzelił dwie bramki. Jakież było zdumienie sportowego Krakowa, gdy rozeszła się wieść, że Singer ustępuje swego miejsca w ataku jakiemuś Kałuży, nieznanemu sztubakowi, a sam przechodzi na stanowisko środkowego pomocnika”. Okazało się, że ta zaskakująca decyzja była absolutnie słuszna. „Kierownictwo Cracovii nie zrobiło błędu powierzając Kałuży pozycję kierownika napadu. Od roku 1912 przez 18 lat Kałuża prowadził atak tego klubu, kładąc podwaliny pod wielkość Cracovii” – pisał Mielech. Mimo niskiego wzrostu, Kałuża świetnie grał głową.

Jako ciekawostkę podać można, że do Kałuży należał wówczas rekord 13 bramek strzelonych w czasie jednego meczu: Cracovia–Klub Lotników Krakowa, zakończony wynikiem 30:0.

► Złodzieje przepraszają na kolanach

Karykatura Gustawa Rogalskiego, rysownika, a jednocześnie byłego piłkarza Cracovii, przedstawia-

ła Kałużę z berłem i w koronie – króla piłkarzy. Wśród wielu anegdot pokazujących popularność Kałuży krążyła i taka, jak to na ulicy okradli go działający w czwórce kieszonkowcy. Gdy zdali sobie sprawę, komu zabrali portfel, pobiegli za nim i przeproszali go niemal na kolanach.

W 1923 roku ożenił się z Józefą Dudziak, z którą miał córkę Irenę. Jak pisał Kamil Podowski w artykule „Józef Kałuża – ojciec wielkiej Cracovii” na portalu RetroFutbol.pl, w tym czasie mówiło się o „krakowskiej szkole piłkarskiej”, która „szczyciła się ofensywnym stylem, polegającym na utrzymywaniu się przy piłce i grze w trójkacie. Każda dzielnica wówczas miała kilka swoich »reprezentacji«, które toczyły ze sobą boje o prymat na swoim terenie i w całym Krakowie”.

Mielech zauważał, sukcesy Kałuży przeczyły stereotypom, zgodnie z którymi piłkarz musi być atletą czy rekordzistą w biegach. Nic z tych rzeczy! Kluczem do sukcesu były inteligencja i instynkt: „Był średniego wzrostu, wątył i przez pewien czas zagrożony gruźlicą. Na 100 m biegał bynajmniej nie w rekordowych czasach, a siła jego strzałów była również przeciętna. Pomimo to był postrachem wszystkich bramkarzy. Bramki zdobywał dzięki niezwyklej celności strzałów, które oddawał z każdej pozycji, i dzięki fenomenalnej orientacji w sytuacjach podbramkowych. »Kałuża ma oczy dookoła koszulki« – mówiono. Miał on jakiś instynkt ustawiania się do piłki i wyczuwania jej drogi”.

► Boiskowy temperament pchał go do kłótni

Miał też cechy rasowego napastnika, który wiedział, jak poradzić sobie z najbardziej doświadczonym bramkarzem: „Józek wiedział o tym dobrze, iż większość bramek zdobywa się w momentach, gdy bramkarz jest w ruchu, w balansie i swoim manewrem celowo prowokował bramkarzy do zmian pozycji. Był niezawodny, gdy chodziło o strzały z przeboju w momentach, gdy bramkarz wybiegał przeciw niemu z bramki, by zmniejszyć kąt strzelania”. Jak pisał Podowski, „boisko zmieniało go w rasowego, chorobliwie ambitnego snajpera, który niczym wieżyczka czołgu, jedynie obracał się i ustawiał celownik, by zadać śmiertelny cios”. W boiskowych starciach nie był aniołkiem: „Boiskowy temperament często pchał go do kłótni z arbitrami, którzy pobłażali mu, ze względu na jego markę i zasługi”.

Tymczasem po meczu zmieniał się zupełnie: „Poza murawą był zupełnie innym człowiekiem – pogodnym i skromnym”. W 1913 roku został wraz z drużyną mistrzem Galicji. W 1921 roku zdobył tytuł mistrza Polski i króla strzelców. W latach 1924–1929 był kapitanem zespołu. Grał regularnie do 1929 roku. Po raz ostatni w Cracovii wystąpił 25 maja 1931 roku w towarzyskim spotkaniu z Wisłą Kraków (4:3).

Rekordowe wyniki osiągał, mimo tego że nigdy nie egzekwował rzutów wolnych i karnych, które mogłyby jeszcze podwyższyć owe statystyki. „Do pierwszych brak mu było »atomowych« strzałów, a do drugich nerwów. Tym cenniejszy – w porównaniu z innymi »królami strzelców« jak Reyman, Peterek czy Kossok – był jego rekord bramek zdobytych z przebojów i kombinacji” – wyjaśniał Mielech.

► Paragraf aryjski

Rekordów, gdy chodzi o debiut w piłkarskiej reprezentacji Polski, pobić nie mógł, gdyż niepodległej Polski nie było na mapie, gdy zaczynał grę na najwyższym poziomie. Zadebiutował w niej dopiero w 1921 roku w meczu z Węgrami w Budapeszcie, przegranym 0:1. Miał wtedy 25 lat. „Józef Kałuża miał gorączkę. Ludwik Gintel cierpiał na silny ból brzucha. Rano padał śnieg z deszczem, więc boisko było śliskie i grząskie. W takich warunkach w grudniu 1921 roku przyszło grać pierwszej polskiej reprezentacji w piłce nożnej. Wynik spotkania – 1:0. Niestety, nie dla nas” – tak opisuje mecz portal atohistoria.pl.

Jeśli wierzyć tej relacji zaczerpniętej z „Przeglądu Sportowego”, „o godz. 9 rano przynieśli kelnerzy graczom śniadanie. O dalszym spaniu mowy już nie było. Większość jeszcze pozostała w łóżkach, niektórzy gracze już o 10 wyszli w miasto. Wszyscy niewypoczęci, ocieźali, pochmurni jak niebo w tym dniu”. Jak pisał autor, reprezentacja Polski była świeżym zespołem, podobnie jak odrodzona, II Rzeczpospolita. Zespół znad Wisły nie wzbudził ogromnego zainteresowania: na liczącym 30 tysięcy miejsc stadionie zasiadło tylko od 8 do 10 tysięcy kibiców. A pomysł powołania drużyny narodowej powstał dwa lata wcześniej, podczas założycielskiego zjazdu Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Kałuża występował w reprezentacji do 1928 roku. Jak zwraca uwagę Mielech, w Polsce był wówczas urodzaj na środkowych napastników, nierzadko ocierających się o geniusz. Nie zmieniało to faktu, że Kałuża „w reprezentacjach Polski miał »abonament« na stanowisko środkowego napastnika. Mimo że w tym czasie grali tak wspaniali kierownicy ataków jak W. Kuchar, H. Reyman, Staliński i T. Grabowski – Kałuży nigdy nie przesuwano na inne stanowisko”.

Po zakończeniu kariery piłkarskiej Kałuża był m. in. trenerem Cracovii. „Był wyjątkowym trenerem. Potrafił poskładać zespół, wykorzystać jego największe atuty, jakimi były indywidualności, a także mądrze wprowadzić nowych graczy. Zanim mógł poprowadzić Polaków, musiał potwierdzić swoją skuteczność na ligowej ławce” – pisze Podowski.

Został też dziennikarzem i publicystą sportowym znanym z trafnych analiz. Na stukocącej maszynie do pisania pisał teksty, które publikował na łamach „Przeglądu Sportowego” i „Raz dwa trzy”. Były wśród nich recenzje z meczów piłkarskich oraz artykuły na temat szkolenia piłkarzy. Kilka prac na ten temat jego autorstwa ukazało się w „Biuletynie Cracovia”.

Nadal uczył także w szkole, a z klasy, którą uczył, z klasy nad którą w 1939 roku objął wychowawstwo, zrobił świetny ponoć chór, który śpiewał w kościele Bożego Ciała na Kazimierzu. A w klubie skutecznie przeciwstawił się wprowadzeniu tzw. paragrafu aryjskiego, dyskryminującego piłkarzy żydowskich.

► Pierwszy raz na Mundialu

21 lutego 1932 roku na zjeździe przedwojennego PZPN (nie mylić z komunistyczną organizacją powojenną trwającą do dziś) Józef Kałuża został wybrany na kapitana związkowego federacji, czyli na selekcjonera reprezentacji. Pierwsze koty za płoty łatwe nie były – reprezentacji nie udało się po raz kolejny zakwalifikować do Mistrzostw Świata w 1934 roku. Pierwszy spektakularny sukces przyszedł w 1936 roku na Olimpiadzie w Berlinie, gdzie Polska zajęła czwarte miejsce, pokonując 3:0 Węgry, w ćwierćfinale 5:4 kolebkę futbolu Wielką Brytanię. Dopiero w półfinale przegrała 1:3 z Austrią, a w meczu o trzecie miejsce 2:3 z Norwegią. Atmosfera olimpiady z hitlerowskich Niemczech była szczególna. „Jechali tam, nie wiedząc, co się za chwilę wydarzy. Pamiętam, że ojciec się bał. Jak wrócił, to mówił, że widział jedno wystąpienie Hitlera i był przerażony tym, co usłyszał. Wiedział, że wojna jest nieunikniona” – wspominała prof. Irena Kałuża, córka piłkarza, w książce „Cracovia znaczy Kraków”.

Eliminacje do Mistrzostw Świata w 1938 roku przyniosły Polsce sukces. Podopieczni Józefa Kałuży pokonali u siebie Jugosławię aż 4:0. W samo południe na stadionie Legii zasiadło 20 tysięcy widzów. Ale skalę zainteresowania tym meczem oddaje notka z lokalnej gazety. „Dziennik Bydgoski” informował, że między godziną 17 a 19.15 dzwoniło 157 kibiców z prośbą o podanie wyniku meczu. Porażka z Jugosławią na wyjeździe 0:1 nie miała żadnego znaczenia. Po raz pierwszy w historii Polska pojechała na mundial!

► Wcielone diabły kontra Brazylia

Selekcjoner Józef Kałuża i trener Marian Spoida zdecydowali, że na mistrzostwa pojadą ci sami zawodnicy, którzy pokonali w eliminacjach Jugosławię. Jedyną zmianą było pojawienie się Fryderyka Scherf-

ke z Warty Poznań. Zastąpił on kontuzjowanego Jerzego Wostala z AKS-u Chorzów.

Losowanie było fatalne – Polska musiała zmierzyć się w 1/8 finału z faworyzowaną Brazylią. Polacy do przerwy przegrywali 1:3, jednak – jak pisał „Kurier Warszawski” – po przerwie „ulewa wytrąciła z konceptu Brazylijczyków, przyzwyczajonych do suchych terenów. W ciągu 14 minut Polacy nadrobili stratę”. Według „Przeglądu Sportowego” końcówka regulaminowego czasu gry wyglądała następująco: „Peracio ryzykuje daleką bombę, licząc na śliskość i ciężką piłkę. Rachuby są trafne: uderzona w poprzeczkę, odbija się i po karku Madejskiego zsuwa się do bramki... Piątek... goni za piłką, mija dwóch przeciwników, jeszcze starczy sił na strzał... odbitka... Scherfke ledwo muska piłkę... tok pod bramką, znów piłka wraca w pole... pod nogi Wilimowskiego i tu dosięga ją los. Jest znów 4:4”.

I takim wynikiem zakończył się mecz w czasie regulaminowym. „Jeśli oczarowani techniką Brazylijczyków gotowi byli neutralni widzowie przyznać im przewagę i zwycięstwo, to jednak muszą teraz obiektywnie przyznać, że ci Polacy to też wcielone diabły. By wyratować się z tak beznadziejnego położenia, na to potrzeba silnej woli i ambicji, i nerwów” – oceniał „Przegląd Sportowy”. Przegrana po dogrywce 5:6 ze światową potęgą przeszła do historii polskiej i światowej piłki. Dodajmy, że cztery bramki dla Polaków strzelił w tym meczu darzony przez Kałuzę dużym zaufaniem Ernest Wilimowski, a jedną wspomniany Scherfke.

► Maski gazowe na trybunach

Po raz ostatni Józef Kałuża poprowadził Polskę 27 sierpnia 1939 roku, cztery dni przed wybuchem wojny. Mecz pokazał progres i brak kompleksów ekipy Kałuzy. Biało-czerwoni wygrali z wicemistrzami świata Węgrami 4:2. „Mecz był jednym z najładniejszych jaki rozegrano kiedykolwiek W Warszawie. Grze towarzyszyły nieustanne oklaski” – relacjonowała „Gazeta Polska”. Reprezentacja rozgrywała mecz przy trybunach wypełnionych... mundurami i maskami przeciwgazowymi. Na bankiecie pomeczowym w Klubie Urzędników MSZ prezes PZPN pułkownik Kazimierz Głabisz powiedział: „Piłkarstwo polskie zaczęło swą historię powojenną od meczu z Węgrami i kto wie, czy dzisiejszy mecz nie jest ostatni przed wojną”.

► Nie wolno stwarzać pozorów, że życie płynie normalnie

Jak pisałem, Kałuża w czasie II wojny światowej jako jeden z nielicznych członków zarządu PZPN

pozostał w kraju. Odrzucił wszystkie propozycje współpracy z niemieckimi władzami, które proponowały m.in. objęcie stanowiska „sportführera” w Generalnym Gubernatorstwie. Odpowiedział im, że nie pozwala mu na to stan zdrowia.

W jubileuszowym wydawnictwie z okazji 40-lecia Cracovii tak o tym pisano: „Bolał nad tym, iż bezlitosny wróg tępiąc wszystko co polskie z równie wielką nienawiścią jak do kultury i nauki polskiej odniósł się do sportu polskiego, grabiąc wszystkie stadiony i skazując młodzież polską na przymusową bezczynność lub na uprawianie sportu gdzieś daleko poza rogatkami miasta. Kałuża był za tym, żeby młodzież grała w piłkę. Uważał jednak, że nie wolno tymi zawodami stwarzać pozorów, że życie w kraju płynie normalnie”.

Angażował się w tajne nauczanie w czasie okupacji. „Kałuża był najlepszym nauczycielem, jakiego spotkałem w życiu... Uczył nas języka polskiego i uczył nas z głowy, bo nie wolno było stosować żadnych podręczników. »Pana Tadeusza« znał na pamięć CAŁEGO” – wspominał jego uczeń Stefan Szlachtycz.

Jesienią 1944 dopadła go infekcja, w wyniku której zachorował na zapalenie opon mózgowych. Trwała wojna, przez co szczepionka z penicyliną, która mogłaby go uratować, była nieosiągalna.

► W pamięci i w sercu

Zmarł 11 października, mając 48 lat. Pochowany został na Nowym Cmentarzu Podgórskim w Krakowie. Stefan Szlachtycz tak wspominał jego półkonspiracyjny pogrzeb: „To był październikowy dzień, który był słoneczny ale bardzo zimny. Późnym popołudniem to się odbywało na końcu cmentarza. Zgromadziło się może około 50 osób. Odbywało się to cicho i potajemnie, bo obok był obóz koncentracyjny i pełno Niemców, a każde duże zgromadzenie było źle widziane i mogło być interpretowane przez Niemców jako próba czegoś konspiracyjnego. Odbyło się to w ciszy. Był sztandar Cracovii rozwinięty na moment nad ziemną mogiłą. W ten sposób odszedł jeden z najwspanialszych ludzi, którego do końca życia noszę w pamięci i w sercu”.

W 2006 roku, w 100-lecie powstania klubu Cracovia, odbyło się głosowanie na najwybitniejszego sportowca w tej stuletniej historii. Spośród przedstawicieli wszystkich dyscyplin zwyciężył Józef Kałuża. W 2017 roku z inicjatywy kibiców Cracovii przed jej stadionem stanął jego pomnik, który wykonał krakowski artysta, prof. Czesław Dźwigaj. ■

Dariusz Jarosiński



„WARSZYC”, „SATYR” I PAN SAMOCHODZIK

Stanisław Sojczyński „Warszyc” był człowiekiem honoru. Siłę do walki i moc przetrwania trudnych momentów czerpał z wiary w Boga. W sprawach niepodległości Polski, przeciwstawienia się sowietyzacji, był niezłomny i bezkompromisowy. Te cechy musiały razić piewców komunizmu. W serii oszczerczych artykułów bezpardonowo atakował go przyszły autor cyklu o Panu Samochodzik. Opluwanego „Warszyca” nie wziął też nigdy w obronę jego były podkomendny – Tadeusz Różewicz.

Stanisław Sojczyński urodził się 30 marca 1910 roku w miejscowości Rzejowice koło Radomska. Po ukończeniu Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Częstochowie odbył służbę w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w 27. Pułku Piechoty i uzyskał stopień oficerski. W 1936 roku podjął pracę jako nauczyciel języka polskiego w wiejskiej szkole powszechnej koło Częstochowy. W 1939 roku wziął udział w wojnie obronnej w okolicach Hrubieszowa i Janowa Lubelskiego jako podporucznik rezerwy. W konspiracji używał wielu pseudonimów, ale najbardziej znany był pod pseudonimem „Warszyc”. Jesienią 1942 roku został mianowany zastępcą komendanta Obwodu Radomsko Armii Krajowej i szefem Kedywu, czyli Kierownictwa Dywersji. Jako szef Kedywu odpowiadał za działania zbrojne i dywersyjne. Za sprawą „Warszycy” i jego partyzantów Radomsko zyskało określenie „Banditenstadt”. W maju 1943 roku przeprowadził akcję zlikwidowania katów ziemi radomszczańskiej, szefa gestapo i jego zastępcy, którzy w sposób wyjątkowo okrutny pastwili się nad aresztowanymi. Szef gestapo, Willi Berger, należał do grona najbardziej zaufanych przyjaciół Heinricha Himmlera – po zlikwidowaniu Żydów w radomszczańskim getcie miał awansować na wysokie stanowisko w hitlerowskim aparacie bezpieczeństwa. Co ważne – „Warszyc” nie poniósł żadnych strat własnych w czasie zamachu na gestapowców. Niemieccy funkcjonariusze postraszeni, że w przypadku wzięcia odwetu na bezbronnej ludności polskiej zginą jak dwaj szefowie gestapo, wypuścili na wolność wziętych w łapance mieszkańców Radomska. 23 maja radio BBC Londyn podało wiadomość o wyczynie radomszczańskich żołnierzy.

Najbardziej spektakularnymi akcjami przeprowadzonymi przez „Warszycę” było dwukrotne rozbięcie więzienia w Radomsku. Pierwszy raz dokonał tego w sierpniu 1943 roku, uwalniając ponad 50 więźniów – byli to aresztowani podczas pacyfikacji mieszkańcy jego rodzinnej wsi Rzejowice, wśród nich 12 żołnierzy. Za tę akcję „Warszyc” otrzymał Srebrny Krzyż Virtuti Militari – już wcześniej posiadał Krzyż Walecznych. O dużym sukcesie partyzantów AK informowało radio BBC Londyn. Wiadomość o brawurowej akcji rozbitcia radomszczańskiego więzienia przekazało też radio Moskwa, tyle że zdaniem sowieckiej gadzinówki akcję tę przeprowadzili komunistyczni partyzanci spod znaku sierpa i młota.

Partyzanci „Warszycy” nie dawali odetchnąć niemieckiemu okupantowi – urządzali zasadzki na konwoje niemieckie, wysadzali w powietrze pociągi ze sprzętem wojсковym, likwidowali szefów żandarmerii, konfidentów gestapo. Niemcy bali się wyruszać w teren, jeśli nie dysponowali samochodami pancernymi. W rodzinnej wsi „Warszycy”, w Rzejowicach, powstała konspiracyjna podchorążówka AK. W Obwodzie AK Radomsko z inicjatywy „Warszycy” powstały też hufce harcerskie Szarych Szeregów, przeszkolona młodzież często trafiała do oddziałów party-

Kapitan Stanisław Sojczyński „Warszyc”
w czasie tzw. procesu sądowego

for Arch.

zanckich. Dbał o to, by młodzież mogła się kształcić na tajnych kompletach. W dniach świąt państwowych – 3 maja, 15 sierpnia, 11 listopada – urządzone były okolicznościowe akademie, księża kapelani odprawiali uroczyste msze polowe. Nie spełniło się marzenie „Warszycy”, by mógł wkroczyć na czele swego oddziału partyzanckiego do Warszawy i wspomóc walczących powstańców. Dowództwo AK zawróciło z drogi żołnierzy idących na odsiecz stolicy.

► Do zbrodniarzy przemawiać ich językiem

Kiedy stało się oczywiste, że Polsce grozi nowa okupacja – sowiecka, „Warszyc” zarzucił jesienią 1944 roku dowództwu AK, że nie ma przygotowanej strategii walki z nowym wrogiem. „Nie pojmuję, dlaczego nasza »góra« nie ma jako tako sprecyzowanej linii postępowania, dlaczego waha się nawet w sprawach najbardziej zasadniczych, dlaczego nie zna nastrojów” – krytykował „Warszyc”.

15 stycznia 1945 roku na ziemię radomszczańską wkroczyła Armia Czerwona. 19 stycznia komendant główny AK, gen. Leopold Okulicki („Niedźwiadek”, wydał w Częstochowie rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej. „Warszyc” z goryczą i zdumieniem przyjął ten rozkaz. 23 stycznia, mimo zawirowań, Stanisław Sojczyński został awansowany na stopień kapitana.

Poszukiwany przez NKWD i UB kpt. „Warszyc” ukrywał się. Uważał, że honor i godność polskiego żołnierza nie pozwalają na złożenie broni przed Sowietami i rodzimymi zdrajcami. Nie miał nawet chwili zwątpienia, iż jedynie droga walki z bolszewią jest słuszna. Czuł się nadal odpowiedzialny za los swoich ukrywających się jak on żołnierzy i oczekujących na dalsze jego rozkazy. Jak później pisał: „Dla schwytanego »polskiego Bandyty« istnieją aż dwie możliwości: więzienie w kraju lub Rosja ze swym gościnnym Sybirem”.

W kierowanych do podkomendnych rozkazach przedstawiał swoje stanowisko. Pisał m.in., że zwolnienie z przysięgi żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego dotyczy jedynie „AK jako organizacji tajnej, powstałej do walki z najeźdźcą. Nie jesteśmy natomiast zwolnieni z przysięgi żołnierskiej złożonej na wierność Rzeczypospolitej, jako żołnierze i Polacy”. 3 kwietnia 1945 roku kpt. „Warszyc” wydał rozkaz o wznowieniu kontaktów. 26 maja przyjął przysięgę od kadry dowodzącej nowo powstałej organizacji o kryptonimie „Manewr”. „Warszyc” odzyskał po okresie marazmu i bierności dawną werwę.

Na początku sierpnia 1945 roku płk AK Jan Mazurkiewicz „Radosław”, aresztowany wraz z żoną przez UB w Warszawie, wydał swoją deklarację o wyjściu z podziemia, równocześnie zachęcał żołnierzy AK do ujawniania się i skorzystania z zapowiedzianej przez komunistów amnestii. Kapitan „Warszyc” w liście otwartym „Do Pana Pułkownika Radosława Komendanta Obszaru Centralne-

go AK w Warszawie” w ostrym i zdecydowanym tonie zarzucił mu zdradę i kapitulację przed komunistami. List jest świetną analizą bieżącej sytuacji politycznej, odważnym manifestem oficera AK, który nie poszedł drogą zaprzęstwa. Obnażył oportunizm i kunktatorstwo części dowództwa AK, która w obliczu czerwonego terrorkompletnie pogubiła się moralnie.

Kapitan „Warszyc”, który cieszył się niebywałym autorytetem zarówno żołnierzy, jak i miejscowej ludności, zbudoował jedną z największych organizacji antykomunistycznych w Polsce, działającą na terenie kilku województw. We wrześniu 1945 roku przyjęła ona nazwę Konspiracyjne Wojsko Polskie. Według szacunków niektórych historyków, w okresie szczytowym liczyła ona około 3 tys. ludzi pod bronią i drugie tyle mogło stanowić tzw. siatkę, czyli współpracowników. Zdaniem dr. Tomasza Toborka, biografą kpt. „Warszycy”, u schyłku 1945 roku walczyło pod jego komendą 2,5 tys. żołnierzy.

Konspiracyjne Wojsko Polskie zwalczało przede wszystkim komunistyczne władze, funkcjonariuszy NKWD, UB, polskich konfidentów, członków band rabunkowych, toczyło bitwy z regularnymi oddziałami sowieckimi, z KBW, broniło cywilną ludność przed grabieżami i gwałtami żołnierzy Armii Czerwonej. Wyroki wydawane były przez Sąd Specjalny KWzP – Kierownictwo Walki z Bezprawiem (wydał m.in. publiczny wyrok śmierci na zbrodniarza komunistycznego, szefa łódzkiej bezpieki Mieczysława Moczara, ale nie zdołano go wykonać). Wykonawcami wyroków byli żołnierze jednostki do zadań specjalnych „Samoobrony i Ochrony Społeczeństwa” (S.O.S.). Według historyka IPN dr. Ksawerego Jasiaka: „Do końca 1945 roku partyzanci S.O.S. z pionu KWzB wykonali około 80 wyroków śmierci [...]. Pierwszym rozstrzelanym z wyroku »Warszycy« 26 sierpnia 1945 r. był ppor. Brankiel Jakub Cukiernik, kierownik sekcji Śledczej PUBP w Radomsku” (kwartalnik „Wykłęci”, nr 2 (6) kwiecień-czerwiec 2017).

„Stanowisko nasze wobec sprawy bestialskiego znęcania się nad więźniami politycznymi i wywożenia ich – jest znane – do zbrodniarzy pozbawionych ludzkich uczuć i rozumu będziemy przemawiali ich językiem” – pisał w komunikacie skierowanym do mieszkańców Radomska „Warszyc”.

► Jeśli padam na kolana, to tylko przed Bogiem!

Kapitanowi „Warszycowi” przyszło po raz drugi zdobywać więzienie w Radomsku. W 1943 roku stoczył walkę z Niemcami, tym razem miał uwolnić więźniów z rąk ubeków. W nocy z 19 na 20 kwietnia, tuż przed Świętami Wielkanocy 1946 roku, 170 żołnierzy Konspiracyjnego Wojska Polskiego zajęło Radomsko. Partyzantami dowodził wyznaczony przez kpt. „Warszycę” por. Jan Rogulka „Grot”, szef komendy powiatowej KWP w Piotrkowie Try-

bunalskim. Dwudziestoosobowa grupa Władysława Kuśmierczyka „Longinusa” szybko i sprawnie zajęła więzienie i uwolniła aresztantów. Niestety nie powiodło się rozbicie bankowego skarbcia i wykonanie wszystkich zaplanowanych wyroków śmierci na ubekach i aktywistach PPR. W czasie odwrotu partyzanci rozbili znacznie większe oddziały KBW. Z więzienia zostało uwolnionych 57 patriotów.

Akcja na radomszczańskie więzienie obnażyła nieudolność aparatu bezpieczeństwa. Komuniści byli w szoku. Sprawę w swoje ubeckie ręce wziął agent sowieckiego wywiadu GRU Mieczysław Moczar. Skierował w teren specjalną grupę operacyjną składającą się z około tysiąca funkcjonariuszy, żołnierzy KBW, UB, LWP, NKWD i MO. W wyniku działań operacyjnych aresztowano 17 uczestników akcji na Radomsko na czele z dowódcą Janem Rogulką „Gotem”.

Kapitan Sojczyński „Warszyc” wpadł w ręce bezpieki w Częstochowie 27 czerwca 1946 roku na skutek zdrady. Nawet brutalne przesłuchania, próby wymuszania zeznań torturami, łamanie kości, wbijanie gwoździ pod paznokcie – stosowane przez funkcjonariuszy UB – nie złamały go. „Jestem przygotowany na wszystko, nawet na śmierć! Jeśli padam na kolana, to tylko przed Bogiem!” – mówił przesłuchującemu go Moczarowi.

Proces „Warszycy” oraz jedenastu jego podkomendnych odbył się w grudniu 1946 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi. Na mocy wyroku z 17 grudnia „Warszyc” został skazany na karę śmierci. Komunistyczny kat wykonał wyrok na „Warszycu” i jego pięciu podkomendnych 19 lutego 1947 roku. Miejsce pochówku 37-letniego legendarnego twórcy i dowódcy podziemnej armii antykomunistycznej nie jest znane.

Stanisław Sojczyński był człowiekiem honoru, obdarzonym niezwykłą charyzmą. Siłę do walki i moc przetrwania trudnych momentów życiowych czerpał z wiary w Boga. W sprawach zasadniczych, fundamentalnych – a za takie uważał niepodległość Polski, przeciwstawienie się sowietyzacji – był niezłomny i bezkompromisowy. „Surowość wobec przedstawicieli reżimu i kolaborantów szła w parze z ogromną dbałością o dyscyplinę we własnych szeregach” – pisał dr Tomasz Toborek. „Wielokrotnie podkreślana moralna wyższość nad przeciwnikiem miała być widoczna we wszystkich aspektach działalności: w ideowym podejściu do codziennej walki, w sposobie zachowania na co dzień, wobec spraw finansowych”.

Postanowieniem Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego z 5 listopada 2009 roku Stanisław Sojczyński został pośmiertnie mianowany generałem brygady.

► Serce podchodzi do gardła

Pod komendą „Warszycy” w czasie okupacji niemieckiej służył w leśnym oddziale partyzanckim poeta Tade-

usz Różewicz. Kapitan Stanisław Sojczyński, jako przedwojenny nauczyciel języka polskiego, docenił talent literacki podchorążego „Satyra”, powierzył więc mu redagowanie partyzanckiego pisma, które trafiło nie tylko do rąk partyzantów, lecz także miejscowej ludności.

Tadeusz Różewicz urodził się w Radomsku w 1921 roku. Znajdował się pod dużym wpływem starszego o trzy lata brata Janusza – to on wprowadzał go w świat literatury, podsuwał lektury, inspirował do pisania – sam zresztą też pisał wiersze. Janusz niemal od początku wojny należał do konspiracji, działał w wywiadzie AK Okręg Łódź. W 1942 roku jako porucznik AK ps. „Gustaw” zaprzysiął Tadeusza do Armii Krajowej. Młodszy z braci przyjął pseudonim „Satyr”.

O okresie pobytu Tadeusza Różewicza w oddziale „Warszycy” możemy przeczytać m.in. w książce Remigiusza Piotrowskiego „Artyści w okupowanej Polsce” (Dom Wydawniczy PWN, 2015): „W sierpniu 1943 roku [powinno być w czerwcu – 23 czerwca 1943 roku – przyp. DJ], po ukończeniu kursu w podchorążówce, kapral podchorąży »Satyr«, bo takiego pseudonimu używa w konspiracji Tadeusz Różewicz (dysponował też fałszywymi dokumentami na nazwisko Tadeusz Kowalski), otrzymuje rozkaz stawienia się w leśnej bazie legendarnego Stanisława Sojczyńskiego »Warszycy«, który od października 1942 roku pełni funkcję zastępcy komendanta Obwodu Radomsko Armii Krajowej, będąc jednocześnie szefem Kedywu w Obwodzie.

„Moje wyposażenie nie było bogate: chlebak, w chlebaku dwie pary onucek, szczotka i proszek do zębów, ręcznik, mydło, aparat do golenia (i chyba jedna żyłетка »Gerlach«), zeszyt, ołówek – wspomni po latach swój partyzancki inwentarz Różewicz. [...] »Czyści się karabin, obiera kartofle, goni Niemców, gniecie wszy, pierze gacie, maszeruje się, strzela, żre świninę – to jakby już wszystko, bohaterstwo, a może to właśnie!« – napisze Różewicz, wspominając miesiące spędzone w lesie.

Podczas akcji »Burza« podjętej przez Armię Krajową w końcowej fazie okupacji niemieckiej, bezpośrednio przed wkroczeniem Armii Czerwonej, Różewicz jeszcze przebywał w lesie, ale już jesienią 1944 roku zostanie nieoczekiwanie wyrzucony z oddziału. Powodem decyzji położonych jest napisany przez poetę artykuł »Słowo o żołnierzu polskim« opublikowany na początku lutego w »Czynie Zbrojnym«.

Oskarżony o propagowanie komunizmu poeta wyjeżdża do Częstochowy, gdzie mieszkają w tym czasie jego rodzice. Tutaj dowiaduje się o śmierci brata zamordowanego w Łodzi 7 (lub 10) listopada 1944 roku przez Niemców. Ta wiadomość w połączeniu z zagrożeniem »śmiercią cywilną«, jak napisał jego biograf Zbigniew Majchrowski, wywołuje u dwudziestotrzyletniego Różewicza silną depresję. Ponoć myśli wówczas, na szczęście jedynie przez krótki czas, o popełnieniu samobójstwa”.

Historia związana z wyrzuceniem z oddziału partyzanckiego Armii Krajowej mogłaby być, a może nawet powinna być, kluczem do zrozumienia twórczości Tadeusza Różewicza. Bolesne, a nawet traumatyczne przeżycie, o którym poeta nie chciał mówić, musiało tkwić przez całe życie jak zadra.

Kapitan Sojczyński „Warszyc” miał ostrzec kpr. pchor. Różewicza „Satyra” o tym, że przełożeni z komendy Obwodu AK Radomsko oskarżają go o propagowanie komunizmu. „Satyr” cichcem opuścił oddział. Trzeba wiedzieć, że w tamtym czasie na ziemi radomszczańskiej istniał silny konflikt między komunistycznymi oddziałami Armii Ludowej a oddziałami Armii Krajowej. Dochodziło do walk między żołnierzami obu formacji. Oskarżenie o propagowanie komunizmu przez żołnierza AK było poważnym zarzutem. Kto wie, jak potoczyłyby się losy „Satyra”, gdyby nie ostrzeżenie dowódcy, kpt. „Warszyc”.

Po odejściu z oddziału kpr. pchor. „Satyra” „Echa leśne” redagował pchor. Czesław Kalkusiński ps. „Czechura”, poeta, autor wielu pieśni partyzanckich, m.in. pieśni „Jędrusiowa dola”. Piosenka ta stała się niezwykle popularna, śpiewano ją w wielu oddziałach partyzanckich niemal w całej Polsce.

„Satyr” służył w leśnym oddziale „Warszyc” do 3 listopada 1944 roku. 8 października 1945 roku ujawnił swoją działalność w AK w Piotrkowie Trybunalskim przed funkcjonariuszami UB z Komisji Likwidacyjnej AK. Odpowiedział tym samym pozytywnie na apel ppłk Jana Mazurkiewicza „Radosława”, który jego dowódca partyzancki „Warszyc” uznał za zdradę ideałów. W wierszu „Serce podchodzi do gardła” z tomu „Wyście” (2004) pisał Różewicz:

*serce podchodzi do gardła
w roku 1945
w październiku
wyszedłem z podziemia
zaczęłem oddychać
słowo za słowem
odzykiwałem mowę
zdawało mi się
że „Wszystko” układa się
dobrze
nie tylko w mojej głowie
ale na świecie
w domu w ojczyźnie
razem z Przybosiem szukałem
miejsca na ziemi
razem ze Staffem zaczęłem
odbudowę od dymu
z komina
razem z profesorem Kotarbińskim
głosowałem „3 x tak”*

► Z władzą za pan brat

Różewicz szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości politycznej – w Polsce okupowanej przez Sowieci. Jego przewodnikiem, mentorem stał się Julian Przyboś, który już w latach 1939–1941 opowiedział się we Lwowie za sowietyzacją Polski; członek PPR, wybrany w 1944 roku na prezesa reaktywowanego w Lublinie Związku Zawodowego Literatów Polskich, poseł do Krajowej Rady Narodowej, komunistycznego „parlamentu”.

Tadeusz Różewicz, choć zaprzeczał temu w późniejszych latach, był piewcą socrealizmu. Może w zasługach zwalczania w literaturze wrogów bolszewizmu nie dorównywał grupie młodych literatów nazywanych pryszczatymi – m.in.: Wiktorowi Woroszylskiemu, Wisławie Szymborskiej, Witoldowi Wirpszy, Tadeuszowi Konwickiemu – jednak starał się, jak potrafił. Trudno wymazać z jego twórczości tomy poezji wręcz wzorcowe, sztandarowe dla socrealizmu: „Czas, który idzie” (1951) czy „Równina” (1954). W wierszu „Czas, który idzie” pisał: „Czas który idzie jest piękniejszy / ludzie nie będą umierali jak larwy / komunizm ludzi podniesie / obmyje z czasów pogardy”. Kiedy jego koledzy z oddziału partyzanckiego siedzieli w więzieniach, o ile udało im się w ogóle przeżyć i nie znaleźli się w bezimiennych dołach śmierci, on składał hołdy Stalinowi i Bierutowi. Wspólnie z Wisławą Szymborską opublikowali na przykład „Dytyramb na cześć Prezydenta Bieruta”.

Kiedy inni poeci, również jego rówieśnicy, milczeli w czasach stalinizmu, pisali do szuflady, cierpieli biedę, choćby Zbigniew Herbert, on publikował w ówczesnej prasie, wydawał książki, otrzymywał nagrody. W latach 1949–1956 Różewicz wydał sześć tomów poezji, tom opowiadań wojennych „Opadły liście z drzew” (1955). Jego ważnym źródłem dochodów było dziennikarstwo – z podróży m.in. na Węgry, do Mongolii pisał reportaże. Komunistyczna władza sowiecie wynagradzała swoich piewców. Młody poeta otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia oraz złoty medal i pierwszą nagrodę w konkursie literackim V Światowego Festiwalu Młodzieży w Warszawie w 1955 roku za poemat „Równina”. W tym samym roku komuniści uhonorowali go Złotym Krzyżem Zasługi. Różewicz wierny był komunistycznej władzy do końca PRL-u, korzystając z jej przywilejów. W 1964 roku podpisał tzw. kontrlist do Listu 34 ludzi kultury, pisarzy protestujących przeciwko zaostrzeniu się cenzury, zagrożeniom rozwojowi kultury narodowej.

Różewicz lubił podkreślać w wywiadach, że wyrósł z tradycji akowskiej. W 1985 roku doszło nawet do reedycji „Ech leśnych”. Był to tomik składający się z wierszy, frasek, humoresek, prozy poetyckiej powstały w 1944 roku, uważany za właściwy debiut literacki Różewicza. Z tej samej akowskiej tradycji wyrósł wspomniany Herbert. Obaj poeci zmagali się z etycznymi dylematami współczesności. Kiedy Różewicz, poeta nihilista, wątpił w człowieka,

uważa w swojej twórczości, że gloryfikowane dawniej wartości zniweczyła wojna, że okupacja doprowadziła do destrukcji psychiki człowieka, że „miłość i nienawiść to są nazwy puste i jednoznaczne”, to Herbert pokazuje nam drogę, którą należy pójść – jest to droga wartości ponadczasowych, chrześcijańskich, które wyznacza choćby Pan Cogito.

Różewicz nigdy nie wziął publicznie w obronę oplukanego swego dowódcy, którego kreowano na bezwzględnego bandytę, krwawego watażkę, m.in. przez Zbigniewa Nienackiego w książce „Worek Judaszów” czy przez Jerzego Passendorfera w filmie „Akcja »Brutus«”.

I choć Różewicz – jak zostało już powiedziane – chętnie przyznawał się do tradycji akowskiej, to z drugiej strony został autorem jednego z najbardziej obrzydliwych paszkwili na Armię Krajową, sztuki teatralnej „Do piachu”. Środowiska kombatanckie, akowskie były oburzone wymową sztuki, kalaniem naszych narodowych świętości. „Do piachu” jest autobiograficznym utworem poety. W warstwie fabularnej odnosi się do wojennych przeżyć Różewicza, żołnierza AK oddziału „Warszycy”. Autor pisał tę sztukę przez 17 lat (1955–1972), musiały być więc niezwykle istotna w jego twórczości. Bardzo musiało mu zależeć na jej publikacji. Może była usuwaniem zadry, która tkwiła w Różewiczu od listopada 1944 roku? Może była rodzajem autoterapii?

Dużo zachodu kosztowało poetę opublikowanie sztuki, a później jej wystawienie. Do druku cenzura dopuściła „Do piachu” dopiero w 1979 roku. Sztuka na scenie znalazła się dwukrotnie, za każdym razem na krótko – z uwagi na protesty szybko była zdejmowana z afisza. Pierwszy raz wystawił ją Tadeusz Łomnicki w Teatrze „Na Woli”, a drugi raz Kazimierz Kutz w Teatrze TVP w 1990 roku. Bohaterem „Do piachu” jest wiejski analfabeta, Waluś, który bierze udział w bandyckiej wyprawie partyzantów. Schwytany, niczym kozioł ofiarny, zostaje skazany na śmierć przez swoich kolegów. Waluś najada się przed egzekucją, a potem robi w spodnie.

Różewicz w „Do piachu” pisał: „Sienkiewicz w grobie się przewraca, jak słyszy, że bandziory z NSZ-tu imiona z jego książki biorą i tak się przedstawiają jak rycerze, na szyi ryngrafy z Matką Boską zamiast hitlerowskiej swastyki”. Takim językiem posługiwali się w swoich paszkwilach na żołnierzy podziemia niepodległościowego Władysław Machajek, Tadeusz Hołuj, Zbigniew Domino.

Zarówno Stanisław Sojczyński, jak i Tadeusz Różewicz są honorowymi obywatelami Radomska.

► ORMO czuwa, czyli Pan Samochodzik

W 1957 roku w łódzkiej gadzinówce „Głos Robotniczy” został opublikowany pod pseudonimem Ewa Połaniecka cykl artykułów o „Warszycu” autorstwa Zbigniewa Nienackiego. W jego opowieści szlachetni funkcjonariusze Urzę-

du Bezpieczeństwa dzielnie walczą z bandą degeneratów. Materiały do napisania otrzymał od Służby Bezpieczeństwa, z którą był zaprzyjaźniony. Nienacki dumny był z przyjacielskich wręcz relacji z Mieczysławem Mocza-rem, ongiś szefem łódzkiej bezpieki.

Cztery lata później wydał książkę „Worek Judaszów” będącą rozwinięciem tematu działalności Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Książka nie zyskała zbyt dużego rozgłosu, na jaki liczył na pewno autor, ale zdobyła za to uznanie komunistycznej władzy. Nietrudno odgadnąć, że oficer, dowódca panujący w powiecie R. (czyli Radomsko) o pseudonimie „Perkun” jest alter ego kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszycy”. O dziwo, można dostrzec w kreowanej postaci ludzkie emocje, odruchy. Czyżby Nienacki przeglądając akta bezpieki, uległ urokowi „Warszycy”? A może nie mógł za bardzo ocenić dowódcy KWP, by nie utracić kompletnie wiarygodności – jeździł ponoć po wsiach powiatu radomszczańskiego i słuchał o nim opowieści jak o narodowym bohaterze.

Dużo bardziej diaboliczną postacią jest oficer „Rokita”, którego zarysowana w powieści historia pasuje do por. Henryka Glapińskiego „Klingi”, ale też por. Jana Rogółki „Grota” – żołnierzy KWP.

O „Perkunie” opowiada niejaki prof. Ramuz: „[...] Perkun był nauczycielem, wychowawcą. Podczas wojny przeprowadził na naszym terenie kilka udanych akcji wojskowych, otoczyła go legenda bohatera narodowego. Zaraz po wyzwoleniu uciekł w podziemie. Zorganizował swoją armię rozproszoną w kilku powiatach, po wsiach i miasteczkach. Zorganizował kilka leśnych grup dywersyjnych i w szachu trzymał całe nasze miasto. Spróbowałem stać się mediatorem między nim a tutejszymi komunistami. Nie potrafili się jednak dogadać. Perkun głądził coś o wolności absolutnej, żądał żeby zlikwidowano UB. Ci kazali mu złożyć broń, rozproszyć wojsko podziemne. Twierdzili, że UB broni władzy przed takimi jak on samozwańcami. Tymczasem podziemie zamordowało pierwszego szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa [...]. W sztabie Perkuna znalazł się jakiś szpicel. [...] Perkuna rozstrzelano”.

Na podstawie powieści „Worek Judaszów” Jerzy Passendorfer, reżyser związany z tzw. grupą partyzantów Mocza-za, nakręcił w 197 roku film „Akcja »Brutus«” z Zygmuntem Hübnerem w roli głównej.

Zbigniew Nienacki nadal jest poczytnym pisarzem młodzieżowym. Po jego śmierci (1994 rok) serię o „Panu Samochodziku” kontynuują inni autorzy. Pisarz sam siebie określał ortodoksyjnym komunistą. W 1962 roku wstąpił do PZPR, nieco później do ORMÓ, czyli Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, paramilitarnej organizacji, której był nadgorliwym członkiem. W grudniu 1981 roku poparł stan wojenny, rok później został członkiem prącia, czyli Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. W 1984 roku podjął współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa jako kontakt operacyjny „Eremita”. ■

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa



Nadzieja dla szczurołapa

Śmierdzący pleśnią
piwniczny korytarz,
może sowieckie
pokrzykiwania.
Może ręce,
związane na
plecach powrozem,
zaczęły się pocić.
Strach? Zapewne,
ale raczej o to, że
nie zobaczy już
żony i syna. Potem
pomieszczenie bez
okien, przyłożony
do karku nagan
kaliber 7,62 mm.
Strzał. A potem
czerni nocy, cisza
– tak mogły
wyglądać ostatnie
chwile poety
Władysława Sebyły.

Gdyby dane mu było przeżyć wojnę, z całą pewnością dziś należałby do panteonu polskich poetów, wymieniano by go jednym tchem na przykład razem z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim, z którym zresztą się przyjaźnił. Zapewne stanąłby przed wyborami swojego pokolenia: emigrować?, buntować się?, jakoś sobie ułożyć życie w Polsce Ludowej? Tych wyborów oszczędziła mu sowiecka kula. Zastrzelony przez NKWD, zakończył życie gdzieś w okolicach Charkowa.

Tekstu o Władysławie Sebyle nie napisałabym, gdyby nie Bohdan Urbankowski, który wielokrotnie mnie do tego zachęcał, wręcz się tego domagał. A ja robiłam uniki, bo mi ten Sebyła jakoś nie pasował: i data śmierci jeszcze przed „moją” epoką, czyli czasami PRL-u, i życiorys pozbawiony raczej anegdot, a ja wolę takie bardziej barwne, łobuzerskie, i wierszy właściwie nie znałam. W końcu zmęczona Bogusio-wym „może byś wreszcie napisała o Sebyle”, powtarzanym prawie jak katońskie *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam* przy każdej rozmowie o czymkolwiek (nikt nie umie tak walczyć o pamięć o poecie jak inny poeta!), stwierdziłam, że na odczepnego przynajmniej poczytam sobie te wiersze. No i mnie trafiło. Jakiś mrok, jakaś ciemna, podszyta samotnością melancholia. Kłótnia z Bogiem i potrzeba tego Boga. A wszystko to czytane z perspektywy Katyńia, tej śmierci, która okazała się paradoksalnie kropką nad „i” dla tej niepokojącej twórczości.

O Sebyle pisano dotąd niewiele. Poza rozproszonymi w prasie – bardzo często lokalnej – publikacjami niezastąpionym źródłem informacji była dla mnie monografia Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, której konia z rzędem za publikację opisującą nie tylko życie Sebyły, lecz także omawiającą jego twórczość.

Władysław Stefan Sebyła przyszedł na świat 6 lutego 1902 roku w Kłobucku. To miasto, obecnie znajdujące się w województwie śląskim, w 1658 roku stało się siedzibą starostwa niegrodowego, oddanego przez Sejm Warszawski w wieczyste posiadanie klasztorowi paulinów na Jasnej Górze. Po potopie szwedzkim miasto podupadało z powodu wzrostu danin na rzecz jasnogórskiego klasztoru. Po rozbiorach stało się częścią zaboru pruskiego. Zaborcy pozbawili paulinów nadań i włączyli Kłobuck do dóbr rządowych. W chwili przyjścia na świat przyszłego autora „Pieśni Szczurołapa” miasto najlepsze czasy miało dawno za sobą. Więcej – nie miało nawet (do 1917 roku) praw miejskich. Co zatem kierowało Michałem Sebyłą i jego żoną Henryką z Radłowskich, by tu osiąść? Wszak Tadeusz Piersiak na łamach częstochowskiej „Gazety Wyborczej” („Gdzie poeta nad staw biegał”, 3 lutego 2012 roku) podaje, że rodzice poety nie pochodzili z Kłobucka, lecz sprowadzili się

do niego jakoś na początku wieku. Zarówno Piersiak, jak i Cichla-Czarniawska przytaczają też tekst Jana Borkowskiego, emerytowanego dyrektora kłobuckiego liceum i historyka miasta. Wynika z niego, że Michał Sebyła został kierownikiem szkoły powszechnej, więc wraz z Henryką zamieszkał w jej pobliżu, w domu Smolińskich na Wałach. Miejsce o tyle charakterystyczne, że nieco poniżej znajdował się staw i czynny jeszcze w czasach poety młyn wodny.

Wkrótce na świat zaczęły przychodzić dzieci: 6 lutego 1902 roku urodził się Władysław, rok później jego brat Stefan Michał. Jak podaje Cichla-Czarniawska, Henryka urodziła jeszcze dwie córki: Antoninę, która przeżyła jedynie nieco ponad rok, oraz Marię Halinę. Po tym ostatnim porodzie wdało się zapalenie otrzewnej, wskutek którego matka poety zmarła. Córeczka przeżyła ją niestety tylko o kilka miesięcy. Trzyletni Władysław i dwuletni Stefan zostali półsierotami.

Jak wyglądało to dzieciństwo? Mimo śmierci matki, która będzie kładła się cieniem na całym życiu po-

tego czasu muzyka stała się jedną z jego życiowych pasji, choć największą było pisanie.

Pierwsze zachowane pierwowzory twórczości literackiej Sebyły są wczesne – Władysław miał wówczas osiem lat – i zarazem dość nietypowe. Sześćdziesięcioczworowersowy poemat „Przygody po pensji” dotyczy nauczyciela nazwiskiem Żukowski, który to belfer miał obyczaj nadmiernego zaglądania do kieliszka. Ów kieliszek, a zarazem bardzo wymownie przedstawiona butelka, namalowana farbą akwarelową, stanowiły równie istotny element dzieła. Żartobliwie można by stwierdzić, że Sebyła od dzieciństwa miał ambicję, by samodzielnie ilustrować swoje utwory.

W tym samym roku, w którym powstał utwór – 1910 – Michał Sebyła wraz z synami przeniósł się do Będzina. Nowe miejsce zamieszkania leżało już w innym zaborze – rosyjskim. Dało się to odczuć w będzin-skiej szkole podstawowej, którą Władysław ukończył w 1913 roku. Do gimnazjum uczęszcza już polskiego – w Sosnowcu.

OD MOMENTU, GDY SEBYŁOM UDAŁO SIĘ DOROBIĆ DZIAŁKI W MAGDALENCE, TAM WŁAŚNIE NAJCHĘTNIEJ WŁADYSŁAW SPĘDZAŁ CZAS. NIE TYLKO POŚWIECAŁ SIĘ WYCHOWANIU SYNA, LECZ TAKŻE ZAPRASZAŁ ZNAJOMYCH Z KRĘGÓW LITERACKICH.

ety, z poświęconego Sebyle szkicu Borkowskiego wyłania się obraz raczej sielski: wraz ze Stefanem często biega nad staw. Wiosną zbierają żabi skrzek. Polują na żaby, na ryby. Łapią raki. Zapuszczają się do młyna, szukają szczęścia w jego omszałym korycie. Gdy położoną niedaleko domu drogą przechodziły pielgrzymki, człapiące do położonej niedaleko Częstochowy, by zobaczyć słynący cudami klasztor na Jasnej Górze, pędzili do miejsca, z którego widać było pielgrzymów, i z otwartymi buziami przyglądali się ich przemarszowi. „Władysław interesował się przyrodą. Przesiadywał nad stawem i obserwował jego tajemnicze życie wodne i na powierzchni, słuchał śpiewu ptaków, szumu drzew, zbóż i spadającej wody na młyńskie koła; wchłaniał wilgotny i zielony zapach stawu” – pisał Borkowski.

Czy jednak gdy w 1908 roku poeta rozpoczął naukę w kłobuckiej podstawówce, jego ulubionym przedmiotem była biologia? Chyba niekoniecznie, chociaż z wielu źródeł wynika, że uczył się dobrze. Właśnie za dobre wyniki w szkole dostał od ojca prezent – skrzypce. Od

► Szwindel powstańczy

Zdarza się i dziś, że młodzież fałszuje legitymacje szkolne lub inne dokumenty, by wmówić sprzedawcom, że ma osiemnaście lat, wymagane, by kupić papierosy lub wypijane cichcem w krzakach piwo. Władysław Sebyła też ma na sumieniu takie fałszerstwo – zaopatrzył się w lipny akt urodzenia, postarżając się tym samym o dwa lata. Cel przyświecał mu jednak zdecydowanie szlachetniejszy: postanowił wziąć udział w powstaniu, które do historii przeszło pod nazwą drugiego powstania śląskiego. Głównym celem zrywu było usunięcie z obszarów, gdzie miał się odbywać plebiscyt dotyczący tego, czy ziemie te będą przyłączone do Niemiec, czy do Polski, niemieckich organów bezpieczeństwa oraz utworzenie mieszanej policji polsko-niemieckiej. W jej skład miałyby wchodzić tyle samo reprezentantów Niemiec i Polski. Powstanie odniosło sukces, choć na niewiele się to zdało – w plebiscycie większość terenów opowiedziała się za Niemcami.

Z czego wynikały takie, a nie inne wyniki, to temat na osobną publikację.

Sebyła wrócił z powstania cały i zdrowy, zdał maturę i przeprowadził się na studia do Warszawy. Ze stołecznej politechniki po roku przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, na Wydział Filozofii. Można domyślić się, że niebogaty student z prowincji nie miał w stolicy łatwego życia. Cichła-Czarniawska wspomina, że w jednym z akademików, by mieć choć chwilę spokoju, stawiał sobie namiot ze spiętrzonych koców i tam się uczył. Bez stałego miejsca zamieszkania, prawie bez środków do życia, rekompensował sobie materialne niedostatki bogactwem duchowym. A było czym – wystarczy wspomnieć, że wśród jego wykładowców znaleźli się legendarny Władysław Tatarkiewicz i Tadeusz Kotarbiński.

Tadeusz Januszewski w tekście „Kto was spopiełił”, zamieszczonym na łamach „Rzeczpospolitej” w marcu 2000 roku, zaznaczał, że właśnie problemy finansowe zbliżyły Sebyłę z członkami grupy poetyckiej Kwadryga. „Ciekawa to była grupa, choć nigdy do powstania spójnego, koherentnego ideowo i literacko programu jej uczestnicy nie doprowadzili” – pisał o działającej między 1927 a 1931 rokiem grupie Mirosław Łalak w tekście „Poety prośba o wiarę”, zamieszczonym na łamach „Kierunków” w listopadzie 1985 roku. Jak zaznaczał, twórczość „kwadrygantów” posiadała wspólne rysy, do których zalicza pacyfizm i wiążącą się z nim w pewien sposób nutę pesymizmu, a także pojmowanie pracy jako czegoś, co określa sens istnienia świata. Łalak zauważa, że te motywy pojawiają się w wielu utworach poetyckich z lat 20. i 30., jednak u autorów Kwadrygi są szczególnie „natrętnie powracające”.

Kto poza Sebyłą należał do Kwadrygi? Z grupą krótko związanych był późniejszy autor „Zaczarowanej dorozki” Konstanty Ildefons Gałczyński, poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski, który po II wojnie światowej został oficerem politycznym Ludowego Wojska Polskiego, czy poeta, tłumacz i krytyk teatralny Aleksander Maliszewski. Nawiasem mówiąc, literacki debiut Sebyła odbył wspólnie z Maliszewskim właśnie, w roku 1927. Pisząc „wspólnie”, mam na myśli dosłowne znaczenie tego słowa: Sebyła i Maliszewski wydali razem jeden zbiorek, zatytułowany po prostu „Poezje”. Część, w której znalazły się wiersze Sebyły, nosiła tytuł „Modlitwa”. Zaraz potem na dwa lata opuścił Kwadrygę – w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Krakowie i Katowicach musiał odbyć dwuletnią służbę wojskową.

Zapewne przez owe dwa lata Sebyła prezentował sobą typowy obraz rekruta tęskniącego za dziewczyną – był bowiem zakochany. Jeszcze przed wyjazdem do Krakowa drogę pojeździła Sabina Krawczyńska, jego największa i jedyna miłość. „Znałem dobrze Sabinę Sebyłową, oddaną żonę poety, opiekunkę jego ocalałej

spuścizny i kronikarkę, żyjącą bardzo skromnie, pamięcią wcześniejszych lat i w aurze niedopowiedzeń, jaka otaczała wówczas śmierć jej męża – a więc jego w ogóle obecność (i nieobecność). Wierzyła, że czas przywróci go literaturze” – napisał o niej po latach cytowany już Tadeusz Januszewski.

Jednak 9 września 1928 roku Sabina nie wiedziała, że będzie dane jej cieszyć się mężem jedynie przez 11 lat. W kościele pod wezwaniem Marii Panny w Krakowie przed ołtarzem przysięgała mu, że nie opuści go aż do śmierci. Nieco ponad rok później, 4 listopada 1929 roku, Sabina i Władysław zostali rodzicami. Syn otrzymał imiona Witold Maciej.

Wydawało się, że w życiu ubogiego młodzieńca z jakichś zapadłych rejonów Śląska nastąpił czas dobrej koniunktury: kwitło nie tylko szczęście rodzinne, lecz rozwijać zaczęła się także kariera zawodowa poety. Po powrocie z wojska stanął na czele czasopisma wydawanego przez Kwadrygę i noszącego ten sam tytuł. Jak zaznacza Januszewski, Sebyła wydatnie podniósł poziom Kwadrygi. Szybko stał się też jednym z czołowych poetów grupy, choć – jak pisze Januszewski – „nie utożsamiał się [...] ani z programem poetyckim, ani społecznym skupionych tam twórców”.

W 1930 roku księgarnia Ferdynanda Hoesicka wydała pierwszy samodzielny tomik Sebyły, zatytułowany „Pieśni Szczurołapa”. Fragment wiersza „Ogłoszenie” otwierającego tomik brzmi:

*Ja jestem szczurołapem, gram słodko na flecie,
Chodzę, lunatyk nieba, po ogromnym świecie,
Szczury tropię*

I topię.

*Gram kołysanki srebrne na siedmiu świetlistych tonach,
A szczury tańczą sennie na długich, złuszczonych ogonach.*

Wsluchane w pluski fujarki,

Toczą piskliwie pogwarki,

Idą za mną – w takt fletu zwolna się kolebią –

I toną po jednemu, powoli –

W czarnej, rodzajnej roli,

W mojem złocistym niebie.

Nietrudno domyślić się, że szczurołap to sam Władysław Sebyła. Sławomir Małota w tekście „Nie topić poetów!” („Wiadomości Literackie”, czerwiec 2013 rok) zaznacza, że twórczość poety „wpisuje się w nurt międzywojennego katastrofizmu [...]”. Jednak Sebyła dzielnie stawał w szranki nie tylko z wrogiem wojennym. Mocował się z problemami społecznymi, ludzką psychiką i metafizyką.

Kolejny wiersz w tomiku potwierdza tezę, że szczurołap jest symbolem poety. Małota zaznacza, że dowiadujemy się także, kto jest szczurem – w ten sposób Sebyła obrazuje duchownego. Niech dzisiejsi antyklery-

kałowie nie zacierają jednak rąk z radości. Małota w swoim tekście zaznacza bowiem wyraźnie, że spór między Sebyłą a kapłanem dotyczy pojęcia absolutu, a w zarzutach poety nie ma ani słowa o dobrach materialnych, statusie kleru etc. „Poeta konfrontuje swoje pojęcie absolutu z Bogiem, w którego wierzy ksiądz. Niebo poety jest zgoła inne od kapłańskiego, a jego religia jest raczej pełna łagodności, pozbawiona strachu przed Bogiem” – zaznacza.

Z kolei Krystyna Strączek pisząc o religijnych wątkach w poezji Sebyły („Prywatna liturgia”, „Znak”, październik 2012 rok), porównuje jego zmagania z Bogiem do walki Konrada z III części Mickiewiczowskich „Dziadów”. Zaznacza jednak, że w tym przypadku – w przeciwieństwie do „Wielkiej Improwizacji” – bluźnierstwo stanowi początek zmagania, nie zaś ich koniec. Dodaje, że ostatecznie w wierszach tych ujawnia się potrzeba Boga. „Poeta, można by rzec, odprawia prywatną Liturgię światła, na wzór tej, która otwiera celebracje Wigilii Paschalnej. Od pozornej jasności przechodzi w ciemność, gdzie doświadcza samotności, pustki i śmierci. W swym pejzażu wewnętrznym odmawiając tak rozpoznaną kondycję człowieka w świecie bez Boga: to piekło bez odkupienia i zmartwychwstania” – pisze. Wśród wierszy Sebyły znajduje się także utwór „Modlitwa”:

*Zdejm starcze bielmo z oczu ogłupiałego konia
który zapomniał chrzęstu runiastych traw na błoniach
brudnemu psu, włóczędze, zapadłe wygładź boki
radośnie pozwól szczekać pod niebem – pod wysokim*

Odpowiedź na pytanie, co wiersz ten mówi o stosunku Sebyły do Boga, pozostawiam czytelnikom.

► Kwadryga na lewo, Sebyła na prawo

Grupa poetycka Kwadryga u początku lat 30. zaczęła się rozsypywać, część z jej członków politycznie dryfowała w lewą stronę. Z Sebyłą było nieco inaczej. Cytowany już Mirosław Lalak wspomina o jego współpracy z „Zet” – pismem wydawanym przez Jerzego Brauna m.in. dzięki wsparciu finansowemu Towarzystwa Józefa Hoene-Wrońskiego. Co znaczące, za dział literacki „Zet” odpowiadał inny wybitny poeta – Józef Czechowicz.

Od 1933 roku Sebyła należał do Związku Zawodowego Literatów Polskich, zaś od 1935 roku – prowadził ponadto audycję literacką w Polskim Radiu. Pisał niewiele, jednak nawet ta niezbyt obfita twórczość poetycka zyskała uznanie. Piotr Wróbel w tekście „Już nie wiem, gdzie jestem...” („Trybuna Śląska”, 21 lutego 1992 rok) podkreśla, że Polska Akademia Literatury ufundowała Sebyle stypendium, a niewielu spotkał

ten zaszczyt. Dzięki temu miał okazję zwiedzić m.in. Rzym oraz Paryż. Elżbieta Cichła-Czarniawska przytacza listy poety do żony. Wynika z nich, że o ile stolica Italii zachwyciła go swoją urodą i życzliwością ludzi, o tyle Paryż zdecydowanie nie przypadł mu do gustu, podobnie zresztą jak jego mieszkańcy, określanego jako „niezbyt sympatyczny”. Mimo to biografka poety zaznacza zarazem, że zastanawiał się on, czy nie ściągnąć żony i syna do Francji na stałe. Ostatecznie do tego nie doszło – do kraju wrócił w 1931 roku.

Mimo współpracy z „Zet” trudno jednoznacznie określić stosunek Sebyły do polityki. Wróbel podkreśla, że poeta nie angażował się w politykę. Zarazem jednak kiedy w Brześciu zostali uwięzieni przywódcy opozycji antysanacyjnej, wśród których znajdował się Wincenty Witos, Sebyła podpisał protest przeciw ich zamknięciu.

Można jednakże odnieść wrażenie, że wiele spraw faktycznie interesowało go znacznie bardziej niż polityka. Najważniejsza była rodzina. Od momentu, gdy Sebyłom udało się dorobić działki w Magdalence, tam właśnie najchętniej Władysław spędzał czas. Nie tylko poświęcał się wychowaniu syna, lecz także zapraszał znajomych z kręgów literackich, prowadził życie towarzyskie.

► Cisza katyńskiej nocy

Wiele jest anegdot i mniej lub bardziej prawdziwych opowieści z czasów przedwojennych o tym, jak to ktoś z kimś umawiał się na spotkania na przykład za rok o określonej godzinie w jakimś oddalonym rejonie świata, a potem, mimo że wybuchła wojna, ludziom udawało się spotkać. Anegdoty te zawsze budziły we mnie ciepłe uczucia – nawet jeśli dalekie były od faktów, to niosły ze sobą nadzieję. Może zresztą faktycznie przed wojną była moda na umawianie się na odległe terminy? Tadeusz Januszewski podaje, że podobną umowę zawarł Władysław Sebyła z Józefem Czechowiczem. Tuż przed rozpoczęciem II wojny światowej, kiedy wszyscy przeczuwali już jej nadejście, poeci, siedząc w knajpie Zodiak, uzgodnili, że tydzień po wojnie spotkają się w tym samym lokalu.

Chciałabym móc napisać, że tydzień po wojnie spotkali się w Zodiaku, wypili po piwie i pogadali o tym, jak im się wiodło za okupacji, powymieniali plany na przyszłość, może wypili za tych, którym nie dane było doczekać. Niestety, opis takiego spotkania byłby fikcją literacką, kreśleniem historii alternatywnej. Bowiem to właśnie Czechowiczowi i Sebyle nie udało się uciec śmierci. Ten pierwszy tuż po rozpoczęciu działań wojennych opuścił Warszawę wraz z ewakuującą się ekipą Polskiego Radia i trafił do miasta, w którym się wychował – Lublina. Zginął podczas

bombardowania, przygnieciony gruzami zawałającej się kamienicy, już w pierwszych dniach wojny. Sebyła pożył niewiele dłużej.

28 sierpnia 1939 roku został zmobilizowany, był przecież podporucznikiem Wojska Polskiego. Elżbieta Cichła-Czarniawska podkreśla, że mobilizacja dosięgła poetę podczas ćwiczeń wojskowych w Pułtusku, nie miał więc nawet okazji, by pożegnać się z Sabina i synem. Jego jednostkę skierowano do Łunińca na Polesiu, by zasiłała szeregi Korpusu Ochrony Pogranicza. Podczas walk kampanii wrześniowej odniósł lekkie rany. Trafiał do niewoli sowieckiej. Być może myślał, że los jeńca nie jest złym sposobem na przetrwanie wojny? A może wśród wieczornych rozmów, jakie polscy żołnierze prowadzili ze sobą wczorami w Starobielsku, pojawiały się głosy, że Sowietci nie mogą mieć dobrych zamiarów? Dziś już się tego nie dowiemy.

Wiadomo jedynie, że 2 stycznia 1940 roku zrozpaczona żona doczekała się wreszcie na wiadomość o mężu. Przyszedł list, wysłany przez niego ze Starobielska. Szedł ponad miesiąc – pismo nosi datę 29 listopada

może mąż wróci, może kaleki, chory, wycieńczony, ale jednak.

Czy do Sabiny Sebyłowej dochodziły niejednoznaczne wypowiedzi komunistycznych dygnitarzy z 1941 roku? Czy wiedziała, że polskich oficerów poszukuje Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie, a poszukiwaniami kieruje rotmistrz Józef Czapski? Z Czapskim zresztą Sebyła miał okazję poznać się w Starobielsku.

Rodzina Sebyły, podobnie jak rodziny innych oficerów, nie traciła nadziei i po wojnie: na to, że Władysław wróci, lub na wiadomość, co się z nim stało. Czy Sabina podejrzewała, że jej mąż leży w jednym z katyńskich grobów, o których informacja przecież dotarła do Polski? Cichła-Czarniawska wspomina, że w biografii poety przez lata pisano: „zaginął w zawierusze wojennej”.

Nie można było mówić prawdy o śmierci ofiar sowieckiego mordu w Katyniu. Sebyła nieobecny był jednak także jako poeta. Dopiero w 1956 roku, a więc już w czasie odwilży, nakładem Czytelnika ukazały się „Wiersze wybrane”. Wyboru dokonał i opatrzył tomik wstępem Stanisław Ryszard Dobrowolski,

28 SIERPNI 1939 ROKU ZOSTAŁ ZMOBILIZOWANY, BYŁ PODPORUCZNIKIEM WOJSKA POLSKIEGO. MOBILIZACJA DOSIĘGŁA POETĘ PODCZAS ĆWICZEŃ WOJSKOWYCH W PUŁTUSKU, NIE MIAŁ WIĘC NAWET OKAZJI, BY POŻEGNAĆ SIĘ Z SABINĄ I SYNEM.

da 1939 roku. Jak pisze Cichła-Czarniawska, Sebyła pytał o los swoich bliskich, pisał o odniesionej lekkiej ranie i prosił o przysłanie ciepłych ubrań. Sabina natychmiast wysłała potrzebne rzeczy, jednak paczka wróciła, gdyż Czerwony Krzyż nie był w stanie ustalić miejsca pobytu adresata.

Kolejny list od Władysława opatrzony był datą 9 marca 1940 roku. „Jestem zdrow i czuję się, jak dotąd, zupełnie dobrze. [...] Nic oczywiście nie piszę, ale rysuję trochę kolegów” – pisał Sebyła [cytuje za Cichłą-Czarniawską]. Pytał też o zdrowie znajomych, donosił, że ma wasy i brodę, z którymi z całą pewnością nie poznałby go synek. Chciał, by żona wysłała fotografie – swoją i Maćka. Zapowiadał, że następną kartkę napisze w kwietniu. Nie zdążył.

Sabinę z synem spotkał los podobny do losu rodzin innych oficerów. Listy, które wracały, zadawane pytania bez odpowiedzi. Pojawiające się plotki: że jeńców zesłano gdzieś w północne rejony Rosji, złudna nadzieja, że

członek PZPR od 1949 roku, który później „wslawił się” m.in. tym, że protest robotników Ursusa i Radomia nazwał „warcholstwem”. Czy więc był ten tomik w Czytelniku jakąś próbą uciszenia sumienia? Gestem wobec cienia dawnego kolegi z Kwadrygi? To już nie ma znaczenia.

Leży przede mną „Życie Częstochowy” z 20 października 1966 roku. W nim krótka notka, zatytułowana „Wystawa pamiątek po Wł. Sebyle”. I zwięzła informacja o dacie i godzinie otwarcia wystawy „poświęconej życiu i twórczości Władysława Sebyły, poety Kwadrygi – rodem z Kłobucka”.

Przez całą Polskę Ludową takich wzmianek nie było wiele. Lecz co dziwne – niewiele o Sebyle pisze się po 1989 roku. A przecież dla poety to jedyna nadzieja: być nie tylko pamiętanym przez swoją tragiczną śmierć, lecz także wciąż czytany. Za rok przypada 80. rocznica mordu w Katyniu. Jednak nie tylko z tej okazji poczytajmy Sebyłę. ■

Agnieszka Kowalczyk

Z ZIEMI KRZYŻY I MOGIŁ

Gdy w 1933 roku kapitan Mieczysław Lepecki znalazł się w samym sercu Syberii, w Kireńsku nad Leną, przedstawiciel tamtejszego rejonowego sowietu przywitał go słowami: „Wy, obywatelu, jesteście chyba pierwszym Polakiem, który przyjechał do nas dobrowolnie, bez eskorty”. Tak było w istocie.

Mieczysław Lepecki – pisarz, podróżnik, żołnierz Legionów Polskich, adiutant Józefa Piłsudskiego i uczestnik wojny z bolszewikami – w okresie międzywojennym wyprawił się aż dwukrotnie na ten mroźny kraniec świata, gdzie tysiącami zsyłano Polaków. Wyrywani „ze stron ojczystych, z rodziny, z klimatu, do którego przywykli, i spod słońca, które ukochali” pędzeni byli w tajgę, stepy i pustkowia. Bezsilni wobec carskiej przemocy, obcy wśród tych, którzy mówili inną mową i wyznawali inną religię, wiedli tu złamane życie, a słowo „Sybir” wymawiali z przekleństwem.

Wyprawa Lepeckiego w głąb Rosji miała charakter wyjątkowy, wiodła bowiem śladami zesłańczej drogi Józefa Piłsudskiego, który jeszcze jako student oskarżony został o udział w spisku przeciwko carowi Aleksandrowi III i w 1887 roku skazany na pięć lat pobytu we wschodniej Syberii. Wygnańczy szlak przyszłego Marszałka prowadził tą samą drogą, co szlak tysięcy pędzonych na północ polskich patriotów – przez Moskwę, Ural, Tiumeń, Tomsk, Krasnojarsk aż do Irkucka, gdzie podczas więziennego buntu Piłsudski został brutalnie pobity przez carskich żołdaków. Stamtąd przetransportowano go do Kireńska, osady, którą wyznaczono mu „na żywienie”, gdzie nad brzegami olbrzymiej Leny wegetował do wiosny 1890 roku. Potem czekały go jeszcze przenosiny do zapadłej wsi Tunka, z której po powstaniu styczniowym rząd carski uczynił centrum osiedleńcze dla polskich duchownych zaangażowanych w ruch niepodległościowy.

Po upływie 46 lat od chwili wygnania Piłsudskiego jego adiutant kapitan Lepecki wkraczał w obszar Rosji Radzieckiej, pragnąc odnaleźć miejsca związane z życiem naszych zesłańców i zobaczyć, jak wygląda ten olbrzymi kraj pod rządami bolszewików. Podróżował oczywiście nie sam, lecz pod bacznym okiem przydzielonych mu funkcjonariuszy GPU i NKWD.

► W stolicy komunizmu

Pierwszym miastem, do którego zawitał, była Moskwa. Zwiedzał ją „pod opieką” komandira Wasyla Iwanowicza Gierasimowa. Wbrew wcześniejszym wyobrażeniom okazało się, że bolszewicy na pierwszy rzut oka nie mieli w sobie zbyt wiele z krwiożerczych, złośliwych bestii, które patrzą tylko, by rzucić się Polakowi do gardła. Lepeckiemu wydali się wręcz mazgajowaci i słamazarni. Nie znalazł tu też oznak szalejącego głodu, o którym pisały polskie gazety. Nie było widać ludzi, którzy puchną i „padają na ulicach jak muchy”, chociaż, rzecz jasna, „za brzegi talerzy się nie przelewało”. Przyznawał jednak, że Rosjanie ubierają się kiepsko, a nawet nędzne, choć przypuszczać można, że to efekt nie tylko biedy, lecz także „wrodzonego niechlujstwa”. Kobiety nie

wabią tu eleganckim strojem ani nie czarują swą kobiecością – są „szare, brudnawe, niezgrabne, nieapetyczne”. Damski kapelusz wraz z tryumfem bolszewizmu odszedł do lamusa. Ówczesna Rosjanka chodziła z gołą głową, ewentualnie zakładała prosty beret. Wszystko to zewnętrzne symptomy równouprawnienia płci, w którego wyniku kobiety rosyjskie „zaprzęgnięto w jarzmo pracy zawodowej”. Na własne oczy oglądał, jak pracują przy tłuczeniu kamieni, kopaniu rowów, przenoszeniu cegieł. Na porządku dziennym był tu widok „kobiet-tragarzy, kobiet-furmanów i kobiet-brukarzy”.

Widać, że Moskwa lat 30. zatraciła swe przedrewolucyjne atrybuty – zniknęły „wywatowani kuczerzy, trojki, cygańskie chóry, brody, rubaszki, no i kopuły 1600 cerkwi”. W stolicy komunizmu liczba mieszkańców doszła do 4 milionów. Nic więc dziwnego, że w mieście panował straszny tłok, tramwaje pękały w szwach, w związku z zakazem prywatnej działalności doskwierał wszystkim brak taksówek i dorożek i aby gdzieś się dostać, trzeba było najczęściej drałować pieszo, przedzierając się przez napierające tłumy. Na ulicach rzucały się w oczy charakterystyczne twarze proletariuszy, którzy z „dołów wybili się na górę”. Ich znakami rozpoznawczymi były szerokie policzki, małe oczy, gruboskórne rysy, niezgrabne ruchy. Mimo to była w nich jakaś godność i pewność siebie. Warto zauważyć, że w Moskwie nie odczuwało się atmosfery wesołości, nikt tu nie śmiał się głośno, na wszystkich twarzach malowały się „powaga i skupienie”. Życie w mieście było tak poważne, że „nawet oka do kobiet się nie robi”. Żeby poprawić sobie humor, Lepecki zaglądał do kabaretu Metropol, we wnętrzu którego czaił się „zgniły Zachód”. Nie było tu słyhać rosyjskiej mowy, przeważali cudzoziemcy – dyplomaci, turyści i przeróżni fachowcy, którzy „piją krymskiego szampana, tańczą, żrą”, bawią się przy doskonałej muzyce, przewiercając wzrokiem chór Cyganek do złudzenia przypominający ten z „Żywego trupa” Pudowkina. Trudno przepuścić też okazję, by nie obejrzeć wystawy malarstwa poświęconej... Armii Czerwonej, a zdominowanej przez realistycznie ujęty temat wojny i rewolucji. Najwięcej obrazów ukazywało wojnę domową w Rosji – rozprawy z Kołczakiem, Denikinem, Wranglem, Judeniczem i innymi pomniejszymi wodzami. Wrogowie ludu przedstawiani byli tak, by budzić powszechną niechęć i odrazę. W ekspozycji najgorszych cech wewnętrznego i kontrewolucjonistów celowała trójka malarzy stanowiących artystyczną grupę radzieckich grafików, tzw. kukryników, w skład której weszli Michaił Kuprijanow, Porfirij Kryłow i Mikołaj Sołow, tworzący kolektywnie tak jak na bolszewików przysłało – każdy obraz był „rezultatem wspólnego wysiłku, a każdy sukces – sukcesem zbiorowym”.

Na dalszą drogę do Irkucka Lepecki potrzebował w roku 1933 pięć dni, podczas gdy przed półwieczem

Piłsudski wraz z grupą skazańców docierał tam przez kilka miesięcy. Teraz już po czterdziestu godzinach jazdy pociągiem otwierał się przed podróżnikiem prześwór Gór Uralskich rozdzielających Europę od Azji. Po minięciu legendarnego słupa granicznego Lepecki wkraczał do bezkresnej krainy, dwadzieścia razy większej od Polski, choć liczącej czterokrotnie mniej ludności. Po drodze zatrzymał się w Tiumeniu, gdzie na tzw. etapie stawał niegdyś Marszałek Piłsudski i skąd transportowano skazańców rzekami Turą, Irtyszem i Obem do Tomsku. Minąwszy Nowosybirsk, obecnie centrum Sybiru Zachodniego, i przejechawszy Krasnorajsk, „szczycący się stworzeniem pierwszej w świecie rady robotniczo-żołnierskiej” (1905), dostał się wreszcie do Irkucka. Tam komandir Jerzy Wróblewski, który mówił, że jest Rosjaninem, choć znał na pamięć dziesiątki stron z poezji Mickiewicza i Słowackiego, zakwaterował Lepeckiego w wagonie, by nie narażać gościa na pobyt w zapłuskwionym hotelu.

► Wielki relikwiarz polski

Był w Irkucku stary cmentarz, na którym chowano zmarłych Polaków od pierwszej ćwierci XIX stulecia aż do czasów wielkiej wojny. Lepecki, któremu udało się go dokładniej zobaczyć dopiero podczas drugiej wyprawy, był zdumiony szybko postępującym procesem jego dewastacji. Cmentarz mieścił się przy ulicy Pierwszej Sowieckiej, a właściwie przy ciągnącym się kilometrowym pasie grząskiego błota. Wejścia do tej irkuckiej nekropolii nie strzegł nikt, a po przekroczeniu jej bram otwierał się żalosny widok – w dzikim zagajniku porośniętym sosną-samosiejką widniały poobalane pomniki, podeptane groby, „płyty kamienne poodwalane, trumny ograbione, krzyże murowane pokruszone i walące się pośród trawy i błota”. Z drewnianego ogrodzenia zostały już tylko smutne szczątki, bo jego części rozkradziono na opał i przetrwało tylko to, czego nie udało się zniszczyć – betonowe płyty i monumentalne kamienne nagrobki. Uwagę zwracały od razu pomniki z polskimi napisami. Niektóre z nich kute w marmurze i granicie należały zapewne do tych, których w te odległe strony zagnała chęć zrobienia kariery i majątku. Tu leżeli sędziowie, prokuratorzy i urzędnicy gubernatorstwa, lecz Lepecki omijał ich okazałe grobowce, szukając zgola innych – „skromnych, tulących się pod płotami, w cieniu gęstych krzaków, przy bocznych ścieżkach”. Było ich tam całe mnóstwo, tworzyły „las krzyżyków, płyt, prostych kamieni pokrytych napisami, przy czytaniu których serce bije żywiej”. Wśród nich wypatrywał porozrzucanych mogił naszych powstańców – „obok dat: 1835, 1840, 1850 widnieją: 1864, 1868, 1870 i wreszcie gęsto: 1905, 1906, 1907, 1910. Pod nazwiskami wykute harde napisy: żołnierz polski, powstaniec,

uczestnik bojów w latach 1863–1864, a na nowszych: członek PPS, bojowiec”. Ogarnięty wzruszeniem błędził długo wśród mogił zapomnianych i zagubionych, grobów ludzi zagnanych na koniec świata, uświadamiając sobie wielkość polskiej ofiary, tym bardziej że sam był żołnierzem i sam doskonale pamiętał, jak w 1920 roku walczył z bolszewikami i był ciężko ranny w bitwie pod Białymstokiem. Chciał więc tych wszystkich, którzy spoczęli tu, w odległości tysięcy kilometrów od ojczyzny, przycisnąć do serca, wszystkim im powiedzieć, co do nich czuł i jak głęboką wdzięczność żywił dla ich czynów. Ostrożnie stapał między nagrobkami, każdemu przyglądał się z osobna, usuwał z nich pył i stuletni mech, by odczytać nazwiska wydartych ojczyźnie. Je-

groby, pochylał się nad nimi z wielką czcią, dotykał zartanych liter, które urealniały przeszłość i ofiarę. Irkucki cmentarz jawił się mu jako „wielki relikwiarz polski”, który został „pohańbiony, splugawiony, zniszczony i wyrokiem Gorsowietu na zupełne zniszczenie przeznaczony”. Wkrótce bowiem z powierzchni ziemi zniknąć musiały wszystkie te polskie groby, które zaświadczały o naszej „martyrologii syberyjskiej”, a stare cmentarzysko przeobrażone miało być w park miejski.

Za Irkuckiem drogi się rozchodzą – pierwsza prowadzi do rzeki Leny i dalej do Jakucka, a druga – wzdłuż całej Syberii do gór Uralu i europejskiej części Rosji. Ta ostatnia, zwana Traktem Aleksandryjskim, stanowiła dawniej szlak katorżników i zesłańców, którym „kroczy-

W IRKUCKU NA STARYM CMEN TARZU BŁĄDZIŁ DŁUGO WŚRÓD MOGIŁ ZAPOMNIANYCH I ZAGUBIONYCH, GROBÓW LUDZI ZAGNANYCH NA KONIEC ŚWIATA, UŚWIADAMIAJĄC SOBIE WIELKOŚĆ POLSKIEJ OFIARY.

den z grobów krył ciała dwóch mężczyzn, którzy swój żywot zakończyli tego samego dnia – 17 czerwca 1846 roku. Po jednej stronie kamienia widniało nazwisko Jacek Golyński, po drugiej – Marian Podhorodeński; pierwszy przeżył w Polsce 35 lat, a drugi – 47, obaj spędzili na wygnaniu siedem lat za udział w spisku Szymona Konarskiego. „Jaką tajemnicę, jaką tragedię kryje ten milczący grób [...] – zastanawiał się Lepecki. – Dwóch mężczyzn w pełni sił umiera jednocześnie, układają ich do wspólnej mogiły... Czy wróg ich zabił, czy sami w przystępie rozpaczcy położyli kres swemu bohaterskiemu życiu? [...] Próżne jednak dociekania. Cmentarz irkucki tajemniczy nie zdradzi, a ludzie irkuckcy nic o niej nie wiedzą”. Na innym z kolei nagrobku czytał: „Dr Cezary Wiszniewski umarł w Irkucku 5 kwietnia 1867 roku”. Data sugerowała, że na Sybir mógł trafić albo po powstaniu listopadowym i spędzić na wygnaniu 36 lat, albo też zesłany tu został jako uczestnik zrywu 1863 roku – wtedy zakończyłby swój żywot po kilku latach na obczyźnie. W innym jeszcze miejscu spoczywał 33-letni Krystyn Wołczacki z Wilna – powstaniec 1863 roku – „biedny żołnierz polski zamęczony przez wroga u progu życia”. Następna mogiła kryła szczątki Józefa Ezechiela Głębockiego – powstańca listopadowego, który po 40 latach tułaczki zmarł na wygnaniu 25 kwietnia 1871 roku, a następna jednego z ostatnich zesłańców – Franciszka Bartnika – więźnia politycznego z 1912 roku, działacza PPS, który zmarł w roku odzyskania niepodległości przez Polskę. Dla Lepeckiego były to święte

li ku swemu mrocznemu przeznaczeniu polscy rewolucjoniści i żołnierze, rosyjscy dekabryści, narodowolcy, socjaliści i esdscy. Szlak ten przesiał łzami i krwią nieszczęśliwych. Wzdłuż całej jego długości wyrósł w ciągu wieku las krzyży i mogił”. Lepecki widział oczyma wyobraźni, jak ten ciągnący się półtora tysiąca kilometrów trakt przemierzał od Tomsku do Irkucka Józef Piłsudski i jak „bose, skrwawione stopy powstańców 1863 roku stapały po tym twardym wirwie, po grząskim czarnozemiu, po ostrych kamieniach i miałkim lotnym piasku”, a wynędzniałe postacie skazańców „szły ociężałym krokiem w takt brzęku kajdan i tonów ponurej pieśni więziennej, zwanej »Miłosierną«”.

► Sybir z lotu ptaka

Podróż lądowa z Irkucka do Kireńska mogła trwać nawet miesiąc, dlatego Lepecki podczas swojej pierwszej syberyjskiej wyprawy zdecydował się lecieć hydroplanem, który zamiast kółek posiadał łódeczki o wadze 320 kilogramów i aby osiągnąć swą wysokość, rozpedzał się na szerokich wodach Angary. Z góry Irkuck wydawał się jednym wielkim ogrodem, bo nie widać w nim było „tumanów kurzu wznoszących się nad jezdniami, odrapanych domów, braku kanalizacji ani też ubóstwa mieszkańców. Nie widać, że pod banyastymi kopułami cerkwi nie gości już Bóg, wygnany z tych miejsc bezpowrotnie”. Przemykając nad zaludnioną Doliną Angary, mijali wioski i przysiółki sybirskie, których

mieszkańcy żyli z rolnictwa, hodowli, myślistwa i rybołówstwa. Krajobraz zmieniał się dopiero za Bałagańskiem – gdzie jak okiem sięgnąć „kłębi się, fałuje i śpiewa nieprzebyte gąszcz modrzewi, jodeł i świerków”. To syberyjska tajga. Wraz ze zniknięciem Angary z morza zieleni wystrzeliwały góry Bierozowyj Chriebiet, nad którymi unosiły się mgły i obłoki „białe jak brody proroków, miękkie jak wełna wielbłądzia, ruchliwe jak my – ludzie skrzydlaci” – zachwycał się nimi Lepecki, przed którym już niebawem odsłoniła swe oblicze Lena – jedna z największych rzek świata, biorąca swe źródło w Górach Bajkalskich. „Imię Leny szeptało ongiś ze zgrozą w podziemiach konspiracyjnej roboty rewolucyjnej. Od Petersburga do góry Ararat i od Uralu do Sosnowca była ona synonimem męczeństwa. W stu sześćdziesięciu językach dawnego Imperium Rosyjskiego zlorzeczono jej brzem, na których rząd carski osadzał tysiące zesłańców”. Nad jej wodami swe bezcenne prace etnograficzne o Jakutach stworzył działacz niepodległościowy i pisarz Władaw Sieroszewski, tu układał swoje opowiadania były więzień warszawskiej Cytadeli Adam Szymański i tu wreszcie znalazł się Józef Piłsudski, który niejednokrotnie w swych późniejszych pismach powracał do tej syberyjskiej przeszłości. Irkuck opuszczał po buncie więźniów, zbity przez Moskali kolbami karabinów, znękany na ciele i duszy. Wraz z towarzyszami niedoli musiał pokonać drogę liczącą ponad tysiąc kilometrów – najpierw saniami, potem pieszo do Kaczuga, a wreszcie korytem zamrożonej Leny.

► W Kireńsku i Tuncce

Kireńsk, do którego Piłsudski dotarł w grudniu 1887 roku, liczył wówczas około tysiąca mieszkańców i był „nędzną, zatechłą dziurą zabita deskami od świata”. Elitę intelektualną stanowili tu jedynie zesłańcy polityczni – obok dawnych powstańców styczniowych, Polacy z „Proletariatu” i działacze rosyjskiej Narodnej Woli. W osadzie tej Piłsudski miał też odbyć karę sześciu miesięcy za kratami w związku z udziałem w buncie irkuckim. Zamknięto go w celi, w której „przez szczeliny widać było gwiazdy”. Ponoć już po pierwszej spędzonej tu nocy, gdy mróz osiągnął minus 40 stopni Celsjusza, półżywy przeniesiony został do szpitala, gdzie dochodząc do siebie po ciężkim zapaleniu płuc, odbywał resztę kary jako pisarz kancelaryjny. W latach 30. po starym drewnianym więzieniu nie zostało ani śladu – czas zrobił swoje, a reszty dopełnili ludzie, którzy porozbiierali jego ściany i podłogi.

Na miejscu starego szpitala, w którym leczył się i jakiś czas pracował Piłsudski, bolszewicy wystawili już nowy budynek. W czasie pobytu Lepeckiego w Kireńsku zdarzył się w nim ciekawy wypadek, gdy pewnego ranka w sali chirurgicznej zaczął się jakiś dziki zwier.

Zaalarmowany lekarz udał się tam natychmiast, a zobaczywszy, co jest w środku, zatrzasnął drzwi i uciekł. Pojawił się dopiero ze sztucerem i „upolował” okazałego rysia. Taki był właśnie Sybir – dziki, drapieżny i nieobliczalny jak jego mieszkańcy – ci z tajgi i ci z ludzkiego świata.

Podążając zesłańczym szlakiem Piłsudskiego, Lepecki udał się do Tunki leżącej w kraju Buriatów, tysiąc kilometrów na południe od Kireńska, gdzie po powstaniu styczniowym zsyłano masowo polskich duchownych. Oni to właśnie na piaszczystej wydmie nieopodal drogi z Tunki do Zakatuja założyli cmentarz katolicki, na którym mogił już teraz nie było – rozdeptali je ludzie, rozwiał wiatr, a drewniane krzyże pogniły. Z wyjątkiem jednego... Ten „wysmukły, jednoramienny znak Męki Pańskiej, zwalony na ziemię przez czas lub świętokradcę”, leżał wśród traw i mchów, trwając „dopóty dopóki nie umarł w tunkijskim ajmaku ostatni zesłaniec polityczny znad Wisły”. Uwagę przyciągał też monumentalny głaz, mający ponoć swą przeszłość, bo jak głosiła miejscowa legenda, związany był z historią miłości polskiego zesłańca do swej dziewczyny – Polki, która nagle zachorowała i zmarła. Dla niej to przytaszczył z gór ten wielki kamień i osadził na nim żelazny krzyż, a trawiony tęsknotą za utraconą miłością, trwał całymi godzinami nad mogiłą ukochanej. Dzisiaj krzyża już nie ma, pozostał tylko sam głaz, wokół którego snują się syberyjskie legendy.

Choć wydawałoby się, że w Tuncce panował nieco łagodniejszy klimat, był to jednak klimat zdradziecki. W jednym z listów pisanych w 1891 roku Piłsudski donosił: „Teraz w ogóle w Tuncce jakoś umierają ludzie, panują tu różne choroby, zapalenie płuc u dorosłych, krup, wietrzna ospa u dzieci, co dzień kogoś chowają, zewsząd słyszysz o chorobach, może na koniec teraźniejsze mrozy wyniszczą te głupie zarazki”. Mówiło się, że dzieje Tunki to dzieje osady, która spełniała rolę kata. Świadczył o tym fakt, że z kilkuset zesłańców postyczniowych przeżył jedynie co dziesiąty, choć byli to młodzi i silni ludzie. Z około trzystu osadzonych tu księży do roku 1890 dożyło tylko dwóch. By przetrwać, Piłsudski spławił drzewo, hodował kury, a przede wszystkim udawał się ze strzelbą w dzikie ostępy Gór Tunkijskich i polował w tajdze zamieszkałej przez wilki, rysie, sobole, kuny i kozice.

Najbardziej ciekawiła Lepeckiego sama Tunka, a zwłaszcza ci jej mieszkańcy, którzy mogli pamiętać jeszcze Piłsudskiego-zesłańca. W osadzie udało mu się odnaleźć czterech starych Czoldonów, prostych ludzi o inteligencji „na poziomie owcy”, którzy byli świadkami tamtych czasów i wydarzeń. Od nich dowiedział się między innymi o doktorze Afanasiju Michalewiczu, którego synom Piłsudski udzielał korepetycji, zarabiając w ten sposób na chleb. Jeden z Czoldonów wspominał, że nieraz

idąc do doktora po leki, widział człowieka o dużych zrosniętych brwiach, jak wykladał coś chłopcom „po chrancusku”. Los synów Michalewicz – Pieti, Miszy, Koli i Fani – okazał się tragiczny – jeden popełnił samobójstwo, drugi zmarł w szpitalu psychiatrycznym, pozostali dwaj zaginęli bez śladu podczas wojny domowej. Człodzi zaprowadzili Lepeckiego do wiejskiej chałupy, w której przed laty mieszkał doktor i w której bywał czasami Bronisław Szwarc – polski działacz niepodległościowy, niedoszły przywódca powstania styczniowego. Ten właśnie człowiek stał się na zesłaniu bratnią duszą Piłsudskiego, jego szczerym przyjacielem. To on odstąpił mu swoje korepetycje u synów Michalewicz i godzinami rozprawiał z Ziukiem o powstaniu styczniowym i o tym, co doprowadziło do jego klęski. Po siedmiu latach więzienia w Szlisselburgu i 23 latach na Sybirze Szwarc powrócił do ojczyzny razem z dziećmi. Swoją żywot zakończył we Lwowie, w 1904 roku, a przed śmiercią miał wyrazić radość z wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, wierząc, że w tym boju Rosja zostanie pokonana. Piłsudski, choć w tym czasie ścigany był przez władze carskie jako przestępca polityczny, przybył do Lwowa na pogrzeb starego druha i złożył na jego grobie wieniec z napisem: „Przyjacielowi i rewolucjonście”.

► Powstanie Polaków na Sybirze

Przemierzając szlak z Irkucka do Kułtuka, idąc tajną, która kryła mateczniki dzikich zwierząt i rozbójników, Lepecki dotarł do miejsca, gdzie w 1866 roku wybuchło powstanie polskich zesłańców. Było to 12 kilometrów od Kułtuka, w czasie, gdy po stłumieniu powstania styczniowego „nad Polską unosił się las szubienic”. Wtedy to „przez Sybir, jak długi i szeroki, ciągnęły, dzwoniąc kajdanami, partie zesłańców polskich. Po golgocie drogi osadzano ich w oddalonych wsiach i miasteczkach, gdzie w gnuśności i beczynności gnili za życia, innych – oporniejszych i krnąbrniejszych, kierowano na przymusowe roboty”. By przerwać to pasmo udręki, czterech naszych zesłańców – Szaramowicz, Celiński, Rejner i Kotkowski – obmyśliło szaleńczy plan wzniesienia zbrojnego powstania przeciw rosyjskim prześladowcom. Zamierzali przejść przez Sybir Wschodni do Mongolii, a potem dalej – nad Ocean Spokojny, skąd porwanym statkiem dopłynęliby do Ameryki. Na tak śmiały czyn ważył się jedynie w przeszłości Piotr Wysocki, który dostał się na Sybir po powstaniu listopadowym, ale jego spisek zawiązany w 1833 roku wskutek zdrady nie doszedł do skutku. Inaczej przedstawiała się sytuacja zesłańców postyczniowych, których liczba sięgnęła 17 500, w związku z czym stanowili dużą siłę, co przy dobrze opracowanej strategii działania dawało cię nadziei na powodzenie. Na przełomie lat 1865–1866 znaczna część zesłańców po podzieleniu na grupy kierowana była z Irkucka na roboty do warzenia soli w Usolsku, do gorzelni w Aleksandrowsku

oraz do budowy Traktu Krugobajkalskiego w Górach Jodłowych. W tej ostatniej grupie znaleźli się przywódcy spisku, którzy w nocy z 24 na 25 czerwca w okolicach Kułtuka wszczęli powstanie od ataku na konwój i rozbrojenia konwojentów. Gdy „rozprostowali ramiona z ust ich wydarło się krzepiące »Jeszcze Polska nie zginęła«. Jakże tragicznie i zuchwale brzmi dzisiaj echo tej pieśni płynącej nad tajgą wówczas, gdy nad ziemią polskimi zamilkło już na długie pół wieku”.

Po zajęciu Kułtuka powstańcy skierowali się w rejon Gór Przybajkalskich. Chociaż powstanie wybuchło jednocześnie w różnych miejscach na Syberii, a walczących Polaków było około 1500, to przecież brakowało im broni i siły wojskowej potrzebnej do sparaliżowania oddziałów rosyjskich. Zdziałali jednak niemało – pod Amurską obezwładnili kozaków, zabrali im broń, a ze stacji pocztowej wzięli konie i podwoły, w podobny sposób walczyli pod Murino. Pierwszy opór napotkali w okolicach Lichanowskoje (25 wiorst od Podolska), gdzie nadciągały większe siły rosyjskie zaalarmowane już o polskim buncie. Między powstańcami a zbliżającym się batalionem majora Rika doszło do strzelaniny. Rosjanie cofnęli się, a polscy dowódcy, zdając sobie sprawę z przewagi wroga, podzielili się na cztery mniejsze oddziały, które różnymi drogami kierowały się w stronę gór Chamar-Daban w kierunku Mongolii. W ślad za nimi zdążyły wojska rosyjskie, tak że w lipcu 1866 roku, w rejonie południowego Bajkału, doszło do „formalnej wojny polsko-rosyjskiej”. Areną tych walk stał się cały olbrzymi Kraj Przybajkalski, na terenie którego miało miejsce kilkanaście potyczek między Polakami a Rosjanami. Powstańcy, zdając sobie sprawę z tego, że ich topniejące szeregi i brak uzbrojenia nie pozwalają na dłuższe działania, rozdrobnili jeszcze bardziej swoje oddziały i wznowili marsz, nie rezygnowali z walki podjazdowej. Powstanie jednak dogorywało. W 1867 roku miały miejsce już tylko nieliczne potyczki. Większość buntowników została schwytana i odstawiona do Irkucka, a stamtąd wysłana na katorgę do Nerczyńska, Kary i innych więzień Sybiru. Nielicznym tylko udało się po wielu trudach dotrzeć do Ameryki, jak opowiadał Lepeckiemu uczestnik spisku Józef Tuszewski.

Opuszczając ziemię, na której wybuchło powstanie polskich zesłańców, Lepecki ostatni raz ogarniał wzrokiem Góry Jodłowe i długo wpatrywał się w tę sybirską dal. Oczyma wyobraźni widział postacie Szaramowicza, Celińskiego, Rejnera i Kotkowskiego, którzy w przededniu buntu ciężko pracowali jeszcze przy budowie drogi wiodącej stąd do Irkucka. Widział „ich pelzających nocami między posłaniami znużonych towarzyszy”, słyszał ich szepty, czuł „na sobie błysk ich oczu”, a w uszach brzmiało „ich tryumfalne: »Jeszcze Polska nie zginęła«”. Odwrócił się więc i długo salutował „duchom zuchwałych braci-kolegów”.

Dziewięć lat minęło od smoleńskiej tragedii. Żyjemy w zupełnie innej Polsce niż tamta i jest to efekt pracy wielu z nas. Smoleńsk zmienił Polskę, odsłaniając skalę zakłamania systemu III RP. Gdy przypomnimy sobie, jak silni byli wówczas jego propagandyści, możemy powiedzieć, że Smoleńsk im się nie opłacił. Mamy więc zupełnie inną Polskę, mimo że nie znamy wciąż pełnej prawdy ani nazwisk sprawców. Nie zostali oni też ukarani. O Smoleńsku mówi się ostatnio

mniej, bo taktyka... O tej taktyce w odniesieniu do zbrodni katyńskiej pisał wybitny pisarz i świadek Katarzyna Ferdynand Goetel.

Drugi przedrukowywany dziś tekst, autorstwa genialnego felietonisty-narodowca Karola Zbyszewskiego, dotyczy tematyki lżejszej (nie mylić z mało ważną), bo znaczeniu sportu i sportowców w życiu narodów. Być może tkwi w nim także odpowiedź na pytanie, dlaczego zwolenników LGBT tak mocno obeszły słowa Zofii Klepackiej?

Ferdynand Goetel

Zachód i Katyń

„Ja pana rozumiem” – rzekł mi pewien konspiracyjny polityk. „Sprawa jest ważna i nawet ma znaczenie historyczne, ale taktyka nie pozwala jej podejmować dziś”. Taktyka... Myślałem nieraz o niej... Czy można usprawiedliwić wytyczenie jakiegoś 38-go równoleżnika na mapie sumienia i osądzić, że jest to strefa nieprzekraczalna? A jednak linię taką wytyczono.

Pamiętam dobrze opór wśród tzw. miarodajnych czynników w Warszawie, jaki musiałem pokonywać w r. 1943, wyjeżdżając do Katynia. Po powrocie stoczyłem całą walkę, by sprawę narzucić polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. W pierwszych dniach nie chiano jeszcze uwierzyć, iż zbrodnia jest dziełem bolszewików. Później, gdy wymowa zdarzenia stawała się coraz bardziej wyraźna, zrozumiano wreszcie całą groźbę zbrodni i jej znaczenie polityczne. Wstrząs moralny nie był zapewne tak silny jak by się tego można było spodziewać. Lata okupacji oswoiły już ludzi ze zbrodnią. Szaleństwo niemieckie przyczyniło się do tego, że Katyń oszołomił tylko na krótko opinię polskiego społeczeństwa. W chwili bowiem, gdy prasa i megafony niemieckie głośiły patetycznie szczegóły o Katyniu i piętnowały Rosjan, pierścien gestapowców otoczył ghetto warszawskie, dokonywając gigantycznej zbrodni wyniszczenia zamkniętych w nim żydów. Przeciętny warszawiak, mając na oczach dowód tego, co popełnił się w stanie Niemcy, położył i Katyn na ich karb. Ludzie przenikliwsi zdawali sobie jednak sprawę, że wymordowanie jeńców polskich w Katyniu jest dziełem Rosjan. Wszakże był to okres, w którym działała już instrukcja

„Burza”. Przyśpieszyć klęskę Niemiec, przyczynić się do niej, zaważyć w chwili zwycięstwa – oto były cele zbyt ważne, by występować z oskarżeniem przeciw jednemu z antyniemieckich sprzymierzeńców.

– Ja pana rozumiem – rzekł mi pewien konspiracyjny polityk. – Sprawa jest ważna i nawet ma znaczenie historyczne, ale taktyka nie pozwala jej podejmować dziś.

Taktyka... Myślałem nieraz o niej. Pojęcie to ma z pewnością wielkie znaczenie w działaniu politycznym. Cóż jednak stanie się gdy zastosujemy taktykę w sprawach moralnych? Czy można usprawiedliwić wytyczenie jakiegoś 38-go równoleżnika na mapie sumienia i osądzić, że jest to strefa nieprzekraczalna? A jednak linię taką wytyczono. Próba przełamania jej przez Sikorskiego skończyła się gorzką nauką dla nietaktycznych Polaków. Rosja zerwała stosunki dyplomatyczne z Polską, Zachód przyjął ten fakt do wiadomości, wszystko razem było wstępem do opuszczenia sprawy polskiej przez Zachód. Zmieciony z powierzchni ziemi Katyn nie przestał jednak istnieć jako zagadnienie moralne, dziś najcięższe i wciąż domagające się rozwiązania.

Taktyka spowodowała znane już umycie rąk przez trybunał norymberski. Taktyka zmusiła i Polaków, że na procesie norymberskim przedstawili jedynie bezimienną i słabo opracowaną broszurę i nie zdobyli się na stanowczy głos protestu, choć powinni byli już wiedzieć, że na arenie politycznej niewiele mamy do wygrania. Taktyka każe w sprawie Katynia milczeć oficjalnej opinii zachodniej i po dziś dzień. Jest co prawda w Ameryce komitet do sprawy Katynia pod przewodnictwem ambasadora Bliss-Lane'a, człowieka najlepszej woli, ale drzwi Departamentu Stanu są dla niego zamknięte. Znała jest historia raportu ppłk. Van Vlieta. Wiemy, że raport ten zniknął w tajemniczych okolicznościach. Nie mamy żadnych wątpliwości, czyja ręka dokument usunęła. Śledztwo podobno się toczy. Należy przypuszczać, że toczyć się będzie długo, tak długo jak tego wymagać będą względy taktyczne w stosunku do całej sprawy katyńskiej. Sądzę też, że dla Polaków jest rzeczą obojętną, kto i w jakich okolicznościach sprzątnął raport Van Vlieta. Ważne jest wytoczenie sprawy, która pomimo wszystkie taktyczne starania, dojrzewa i nabiera dynamicznego ciężaru, tak jak nabierają go zbrojenia całego zachodniego świata. Słyszę nieraz głos, że wytoczenie sprawy katyńskiej zbiegnie się z trzecią wojną światową. I chyba nie będzie inaczej. Wśród licznych spraw moralnych, powodujących dziś rozdzźwięk pomiędzy Rosją i Zachodem, Katyń jest sprawą osobliwego znaczenia. Sam jeden wystarcza, by wywołać i usprawiedliwić wojnę. Dobrze się więc stało, że wyszedł drugi nakład książki o Katyniu. Czytelnik polski na obczyźnie jest już podobno przesycany relacjami z czasów okupacji. Odwracając się od ubiegłych lat, zapomina jednak, że rezygnuje tym samym z całego naszego przewodu, którym nie jest „martyrologia” lecz właśnie nie wymierzona dotąd sprawiedliwość. Nie o mesjanizm chodzi, ale o nieustępliwe wytrwale i twarde żądanie rozrachunku, świadectwem tej postawy jest właśnie książka o Katyniu.

Nie ma potrzeby roztrząsać jej z punktu widzenia dokumentacji. Przytoczone w niej fakty są już dostatecznie sprawdzone i skontrolowane. W nowym wydaniu książki zawiera nie podane dotychczas ilustracje i relacje, wyjęte „kатыński” z pamiętników Churchilla oraz sprawozdanie o amerykańskim raporcie ppłk. Van Vlieta. Inowacją jest również skorowidz nazw miejscowości i nazwisk.

Ale czy w następnym wydaniu nie należałoby omówić następstw, jakie wywołała zbrodnia katyńska? Nie chodzi mi tu o zdarzenia z areny polityki światowej, ale o los kilku osób związanych ze sprawą katyńską. Pierwszą z nich jest dr med. Grodzki, który razem ze mną był w Katyniu w delegacji polskiej. Według posiadanych przeze mnie informacji, za których ścisłość ręczyć nie mogę, dr Grodzki został zamordowany przez bojówkę komunistyczną w lasach pod Jabłonną, jeszcze w r. 1943. Jak się przedstawia ta

sprawa? Osobą drugą jest prokurator dr Martini, który po wejściu bolszewików do Polski prowadził dochodzenie katyńskie z ramienia prokuratury polskiej. Martini, jak wiadomo, został zastrzelony. Powodem miała być zemsta uwiedzionej przez niego dziewczyny, córki kompozytora Maklakiewicza. Zabójczyni czy też zabójców nigdy nie pociągnięto do odpowiedzialności. Byłoby rzeczą ważną gdyby sprawa Martiniego została oświetlona, chociażby w zakresie znanych nam faktów i dat. Trzecią osobą jest Iwan Kriwoziercow, najważniejszy dziś nie żyjący świadek oskarżenia. Kto miał możliwość zetknąć się z tym człowiekiem i z jego furią wewnętrzną, z jaką chciał dojść prawdy o Katyniu, rozumiał jak ważny był los i życie Kriwoziercowa. Przybył on do Anglii wraz z II Korpusem. Uzyskał prawo azylu i pracował na równi z innymi w jednym z prowincjonalnych miast Anglii. Przed dwoma laty zmarł. Autentycznej wersji jego zgonu nie można ustalić. Według jednych powiesił się w baraku, według innych zamordowano go w bójkę w barze publicznym. Pytam, czy znane jest orzeczenie coronera ustalające przyczynę gwałtownej śmierci? Gdzie jest mogiła Kriwoziercowa? Sądzę, że ów „dalszy ciąg” Katynia nie powinien być zlekceważony. Stanowi on ostrzeżenie nie tylko dla ludzi związanych ze sprawą katyńską pośrednio czy bezpośrednio. Jest przestroga dla całego świata. Jest próbą posiania lęku i zdławienia każdego człowieka, który przewyższa złą złą milczenia i przekracza równoleżnik wykreślony przez tchórzostwo i obawę spojrzenia prawdzie w oczy. Jest i świadectwem, że ręka skrytobójcza i kierująca nią wola działa nieprzerwanie.

W dziejach ludzkości było wiele zdarzeń okrutnych i haniebnych. Wyrównane nie zostały nigdy, gdyż rozrachunek pomiędzy sprawiedliwością a zbrodnią nie jest nigdy zupełny i nie ma możliwości odpłacić złoczyńcy tą samą monetą okrucieństwa. Sprawiedliwość wydaje więc wyrok, na jaki ją stać – sumienie świata, choć świadome, że nie wszystko zostało rozliczone, kładzie krzyż na sprawie.

Tak stało się ze zbrodniarzami wojennymi Niemców, żadnej jednak ze zbrodni niemieckich, podobnie jak żadnej ze zbrodni popełnionych dawnymi czasami, świadomie nie przemilczano. I nie ma doprawdy wypadku, by cenzura, ta oficjalna i ta publiczna, popierała skrytobójcę, nie dopuszczając w ogóle do wyjaśnienia przewodu zbrodni. I tu jest „moralne” zwycięstwo, które odniósł i odnosi ciemny zbrodniarz katyński nad całym „oświeconym” światem zachodnim, zwycięstwo, którego my, naiwni, impulsywni, romantyczni Polacy, zrozumieć nie chcemy i nie możemy, gdyż wchodzi w grę cała nasza wiara w Zachód i moralną wartość jego kultury.

Przedruk za: Wiadomości, 08 lipca 1951, Londyn, Rok 6, Nr 27 (275).

Karol Zbyszewski

Najsławniejsi naszych czasów

W Polsce Bierutowej przemilczano całkowicie niepowrotność Miłosza. Społeczeństwo nie zauważyło jego braku, nie było ciekawe, co się z nim dzieje, w ogóle nie wiedziało o jego istnieniu. Ale wyłamanie Skoneckiego stało się wielkim skandalem. Cały Kraj wiedział od razu – szeptem. Więc urządzono nań nagonkę. Oficjalne potępienie, depesze oburzonych robotników z Rosji, setki artykułów, masówki, rezolucje, paszkwile, gromy przez radio. I urzędowe stwierdzenie: – Amerykanie przekupili Skoneckiego! Poecięta mogą sobie uciekać. To nie wstrząsa społeczeństwem. Ale tenisista! Aaa, to cios dla reżymu...

Kto w ciągu tego 20-letniego przebytku naszej niepodległości był najślawniejszym człowiekiem w Polsce?

Oczywiście nie ma co mówić o tych, co dysponowali wojskiem lub policją. Rozgłos ludzi rządzących następuje automatycznie. Ale to „zła sława”.

Nie w smak to intelektualistom, lecz to fakt: najślawniejsi są dzisiaj sportowcy!

Proszę mi wymienić jakiegoś poetę fińskiego? Aktora? Malarza? Rzeźbiarza?

Głucha cisza!

Lecz oto szepnę: „Nurmi!” – i każdy będzie wiedział. Tak tak, to ten niezrównany biegacz.

Naturalnie, że Nurmi jest najślawniejszym Finem XX wieku.

Dempsey, Joe Louis! Żaden współczesny pisarz amerykański nie może się poszczycić równą sławą.

Gdy wymieniamy jakiś kraj, najprędzej przychodzi na myśl odpowiedni sportowiec:

Norwegia – Sonia Henie!

Niemcy – Schmelling!

Francja – Borotra!

Holandia – Blankers Koen!

Chiny – eeee... eeee... nikt ... żadne nazwisko nie przychodzi do głowy. No, bo Chiny nie wydały ani jednego wielkiego sportowca.

Jeśli Polak, mąż stanu Nr 1, zdradzi się w rozmowie z Anglikiem, że nie wie, kim jest Gordon Richards, Denis Compton czy Stanley Matthews – na

nic cała gra polityczna. Anglik uzna go za durnia, z którym nie warto serio konferować.

Wielki teatr mieści w Anglii – powiedzmy – 2.000 osób. Więc wielkiego aktora zobaczy rocznie w Anglii 312 x 2.000, czyli ok. 624.000 ludzi. Natomiast piłkarz gra przeciętnie 40 meczy rocznie. Na meczu pierwszej ligi (plus mecze reprezentacji Anglii) jest przeciętnie 40.000 widzów. 40 X 40.000, to 1.600.000. Wielkiego piłkarza widziało zatem o milion ludzi więcej rocznie niż wielkiego aktora. I w całym kraju, nie w jednym mieście. A kto czyta recenzje ze sztuk? Znikomy procent. Ale sprawozdania z meczów czytają znowu miliony.

Nic dziwnego. Jako widowisko najlepsze przedstawienie teatralne tak się ma do emocjonujących zawodów sportowych jak Kew Gardens do Niagary.

Najwięcej pisze się w Anglii o mordercach, potem o politykach (ta „zła sława”), potem o sportowcach, potem o arystokracji, potem o koniach, a dopiero potem... daleko potem... o ludziach sztuki.

Jaki Czech, uchodząca zza żelaznej kurtyny, przez wybranie wolności wywołał sensację światową?

Drobny, rzecz prosta. Nie żaden z dziesiątków pisarzy czy artystów.

W Polsce Bierutowej przemilczano całkowicie niepowrotność Miłosza. Społeczeństwo nie zauważyło jego braku, nie było ciekawe, co się z nim dzieje, w ogóle nie wiedziało o jego istnieniu.

Ale wyłamanie Skoneckiego stało się wielkim skandalem. Cały Kraj wiedział od razu – szeptem. Więc urządzono nań nagonkę. Oficjalne potępienie, depesze oburzonych robotników z Rosji, setki artykułów, masówki, rezolucje, paszkwile, gromy przez radio. I urzędowe stwierdzenie:

– Amerykanie przepukili Skoneckiego!

Pocięta mogą sobie uciekać. To nie wstrząsa społeczeństwem. Ale tennista! Aaa, to cios dla reżymu...

Gdyby Nałkowska, Gojawicyńska, Krzywicka i tuzin podobnych babopiórków uciekło z Polski – doczekałyby się w sumie 5-wierszowej wzmianki w prasie angielskiej. Jedyne Polka, której ucieczka zapeliłaby gazety angielskie, to – Jędrzejowska.

Nigdy żadna premiera z Cwiklińską nie wywołała w Polsce setnej części tego napięcia co dojsie Jędrzejowskiej do finału w Wimbledonie. Bezkonkurencyjnie najsławniejsza nasza autorka, Kossak-Szczucka, była o te 36 m. w tyle za sławą dyskobolki Konopackiej. A sam realista Matuszewski przyznawał, że jeśli go już pokazano sobie palcem w tramwaju, to z objaśnieniem: „Oo, to mąż Konopackiej”.

Czasy, gdy aktorzy teatralni byli bóstwami młodzieży szkolnej, minęły bezpowrotnie. W naszych czasach uczniowie byli pędzeni do teatru przemocą, a na mecze piłkarskie przekradali się przez płot. Marzeniem sztubaka było zobaczyć Wacka Kuchara, nie Osterwę.

Wielcy sportowcy – jak nikt inny – są w stanie sprawić całemu narodowi wielką przyjemność. Gdy jeźdźcy Rummel, Królikiewicz & Co. wygrali Puchar Narodów w Nicei, Polacy po raz pierwszy i ostatni od czasu odsieczy pod Wiedniem poczuli, że ich kawaleria się na coś przydaje.

Walasiewiczówna swymi złotymi medalami olimpijskimi, Marusarz skacząc rekordowo, Chmielewski wygrywając mistrzostwo Europy, Tłoczyński i Hebda przepychając się przez rundę „Davis Cup” u – jakżeż napelniali całe społeczeństwo zadowoleniem i dumą. I naturalnie że Ich nazwiska były dziesięć razy bardziej znane niż Jaracza, Makuszyńskiego, Kasprowica czy Frenkla.

A kto był najsławniejszym z naszych sławnych sportowców?

Oczywiście Kusociński!

90% ludzi w Polsce (10% nigdy nic nie wie) słyszało o Kusocińskim. Był najsławniejszym człowiekiem niepodległościowego 20-lecia.

Żaden z 20.000 widzów, na Legii w Warszawie, nie zapomni do śmierci wspaniałego pojedynku Kusocińskiego z Nurmim. Stary, łysy, tryumfator dwóch olim-

piad, Nurmi przeszedł już swój zenit, zmierzał do remizy. A młodzieńczy, o olbrzymiej piersi, Kusociński szalał po bieżniach Europy, sięgał po laur pierwszego biegacza świata. Na 5 km. rozegrała się odwieczna walka – muskularnej młodości z kościstą starością.

Już w drugim okrażeniu Kusociński objął prowadzenie. Biegł potężnie, w czerwonej koszulce, wysooko wyrzucając nogi, z surową, skupioną twarzą.... a za nim, o metr, dziwacznie chybotząc ramionami, w kontorsjach, spoglądając na stoper w dłoni, sunął jak cień, w czarnym kostiumie, Nurmi. Zgubili wszystkich konkurentów, regularnie, niezmordowanie, nakręcali okrażenie po okrażeniu, sprzęgnięci jak dwie lokomotywy.

Na 300 m. przed metą Kusociński zaczął swój słynny, długi finisz. Strzelił naprzód jak koń kropnięty batem. Z miarowego tempa przeszedł w sprint. Wśród ogłuszającego ryku rozentuzjasmowanej widowni pękło wiązanie z Nurmim – wielki Fin w sekundę znalazł się o 15 m. z tyłu. Trybuny zerwały się na nogi, zakolysał się tłum, w szumie, wrzawie, radośnych krzykach – Kusociński śmignął wiraż, połykał ostatnią prostą, gnał do taśmy.

I nagle, jak złowróżbny, czarny ptak, wyrósł przy nim Nurmi. Stary mistrz dał się zaskoczyć, odsadzić, ale nie strząsnąć. Nacisnął z kolei pedał finiszowy. Zbliżył się na wirażu! Zrównał na prostej! I ostatnim susem Nurmi rzucił się na taśmę. Wygrał o pół piersi, o cal – ale wygrał!

W połowie wiersza już się nie pamięta początku. Artykuł gazetowy zapomina się po minucie, film – nazajutrz, sztukę – po miesiącu, książkę – po pół roku. A taki bieg pamięta się całe życie.

„No tak – kwikną ludzie sztuki – ale za to my przejdziemy do potomności!”

Nic podobnego. Potomność, z każdym pokoleniem, wymiata skrętnie z pamięci całe zwały nazwisk przodków. Jest dość kłopotu z pamiętaniem numerów telefonicznych znajomych, aby jeszcze zaprzątać sobie głowę przebrzmiałymi sławami. Półtora pisarza na stulecie, to mniej więcej maximum, jakie potomność godzi się strawić. Dziś, w 40 parę lat po szczycie ich rozkwitu, nazwisko Zbyszka Cyganiewicza więcej mówi ludziom niż nazwisko Przybyśzewskiego.

Sport jest stosunkowo młodym wynalazkiem. Może minie nań moda. Ale jednak można by zaryzykować zakład 10:1, że za sto lat Kusociński będzie mniej radykalnie zapomniany niż wszyscy ci co pisywali w „Wiadomościach”. ■

Przedruk za: „Wiadomości”, 24 lutego 1952, Londyn, Rok 7, Nr 8 (308).



BÓG, HONOR, OJCZYZNA – TE WARTOŚCI SĄ SIŁĄ NARODU



W przeciwieństwie do dawnej arystokracji i ziemiaństwa, dzisiejsza „elita biznesowo-medialna” raczej nie kultywuje wartości chrześcijańskich. Hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna” bywa w tych kręgach ośmieszane. Dekalogiem stają się media, bogiem jest konsumpcja. A ojczyzna? To jakiś przeżytek, symbol zacofania. Na szczęście są też liczne wyjątki i chce się wtedy zaśpiewać: „jeszcze Polska nie zginęła!” – z **JACKIEM MYCIELSKIM**, synem Heleny z Broel-Platerów Mycielskiej, rozmawia **EWA POŁAK-PĄLKIEWICZ**.

► Być polską arystokratką w II połowie XX wieku to także – jak wynika z lektury pamiętnika Pana Matki, Heleny Mycielskiej – umieć wydoić krowę, wykarmić świnię, zaorać pole, zebrać siano z łąki. Nie zaniedbując opieki nad piątką dzieci... Pana Matka, pozbawiona rodzinnego majątku, wraz z mężem, Ludwikiem hr. Mycielskim walczyła o przeżycie najbliższych, ciężko pracując fizycznie. Jednak w jej pamiętniku nie odnajdujemy się nuty buntu. Pozostanie w Polsce po wojnie było czymś oczywistym zarówno dla niej, jak i dla Pana Ojca. To raczej nietypowa postawa wśród arystokracji. Pomimo szykan rodzice nie myśleli o emigracji?

Nie myśleli. I martwili się emigracją naszej trójki – mnie, żony i dwuletniego synka w 1971 roku, o czym dowiedzieli się w ostatniej chwili. Nasze zagrożenia i plany trzymaliśmy w tajemnicy, by nikogo nie narażać. Już w wolnej Polsce Rodzice mieli trochę nadziei na nasz powrót. Z przedednia naszej ucieczki zapamiętałem wielkie żmartwienie Ojca: „Polska was traci...”. Natomiast po odzyskaniu niepodległości ja sam uczulem wielką satysfakcję, gdy nasz syn, po latach na obczyźnie, ostatecznie wrócił do kraju i tylko w Polsce widzi przyszłość dla siebie i swoich bliskich. Sprzeciw Rodziców wobec emigracji wynikał z troski o nasz kraj. Wpierw wojny, potem emigracje, do tego komunistyczne pranie mózgow – co się stanie dalej z tą opustoszałą ojczyzną, o której dobro od pokoleń tak walczyli? Co się stanie z pielęgnowanymi od pokoleń wartościami?

► **Zawołanie: *Melior mors macula*, „Śmierć lepsza od skazy”, umieszczone jest w herbie rodu Platerów. Broel-Platerowie to dawni rycerze mieczowi z Inflant, spolonizowani w XV wieku i zasłużeni dla polskiej niepodległości i kultury. Mniej znane są korzenie rodu Mycielskich...**

Mycielscy według niektórych źródeł pochodzą z XII-wiecznych Niderlandów. Nasze pierwotne nazwisko ponoć brzmiało van Arkel. Otoż jeden z rycerzy (Hugon/Hughe?) o tym nazwisku był najemnikiem króla Bolesława Krzywoustego i za zasługi w bojach dostał dobra Lang lub Łęg. Stąd zawołanie – apel – „Do Łęga!”. Z tego też powstało pierwotne nazwisko. Dołęgowie, którzy osiedli w miejscowości Mycielin (Kaliskie) – to Dołęga Mycielscy, ci z Kretkowa – to Dołęga Kretkowscy itd. Potem pozostała w użyciu już tylko ta druga część nazwiska. Według rodzinnego historyka, Kazimierza Mycielskiego, majątek Mycielin otrzymał

jeden z Dołęgów od Władysława Jagiełły za zasługi w bitwie pod Grunwaldem. Od zawsze słyszałem, że popularne polskie słowo „niedołęga” wywodzi się od naszego nazwiska i dobrze o rodzie Dołęgów świadczy.

► W pamiętniku Helena Mycielska stworzyła sage, która jest hołdem złożonym wszystkim, którym coś zawdzięczała, a przede wszystkim kulturze i tradycji, z której się wywodziła. Ta absolwentka Sorbony była przywiązana do wsi i prostoty życia; najlepiej spełniła się w roli żony i matki. Tu nigdy nie opuszczało jej natchnienie.

Przepadaliśmy za Mamy recytacjami, w różnych językach i w różnych... konfiguracjach. Zacytuje jedną jej kompozycję: „Kobiet! Puchu marny! Ty jesteś jak zdrowie! Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto zbadał puszcze litewskich przepastne krainy, aż do samego środka, do jądra gęstwiny”.

► Pana Mama miała osobowość niezależną, nawet przed wojną towarzyszyły jej nieraz pretensje sąsiadów. W latach 30. jako współwłaścicielka ordynacji pod Lwowem, traktowała przyjacielsko ludność ukraińską i próbowała pozyskiwać jej uczucia dla Polski. „Polscy patrioci” montowali przeciw niej front obmowy, insynuacji i oskarżeń...

Jeśli chodzi o politykę – jak zwykle sztuka w Polsce (i w Europie!) trudna do opanowania. Tak było kiedyś, tak jest i dziś... W PRL-u, gdy piątka dzieci dorosła, Mama przez trzydzieści lat była katechetką. Wpiero na Śląsku, potem w Nowej Hucie. Zajmowała się też, jako wolontariuszka, Cyganami, starając się o ich integrację społeczną. Jej bezinteresowne zaangażowanie i zasługi dla Kościoła zostały docenione. W 1988 roku Ojciec Święty Jan Paweł II uhonorował Ją Orderem św. Sylwestra Papieża. Przy odbiorze orderu powiedziała: „Jestem tu jedynie reprezentantką o wiele bardziej zasłużonych matek i żon pokolenia przedwojennego”.

► Podobnie jak Ojciec Pana, tak i Mama nie przechodziła obojętnie wobec krzywdy ludzkiej czy niesprawiedliwości. W czasie wojny narażała życie, by ocalić innych, w latach 50. razem z mężem malowała na murach Katowic hasła popierające uwiecznionego i szkalowanego prymasa Wyszyńskiego. Ukrywała też w swoim mieszkaniu poszukiwane przez komunistów Czeszki, protestowała przeciw

nadużyciom w czasie „wolnych” wyborów do Rady Miasta Krakowa w 1980 roku (za co zapłaciła aresztowaniem i pobytem w szpitalu psychiatrycznym, na oddziale szalowym), publicznie sprzeciwiała się obecności pornografii w krakowskiej księgarni. Miała wyniesione z domu przekonanie, że nic tak nie plami honoru jak tchórzostwo.

Może zabrzmiało to dla niektórych banalnie: najważniejsze hasło naszej rodziny to „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Pod hasłem Bóg należy rozumieć: Dekalog, Biblia, Kościół. Od małości moi Rodzice pilnowali naszej znajomości Ewangelii i Starego Testamentu, wspierali Kościół RK i Cerkiew Unicką w Boryniczach koło Lwowa (aż do dramatycznego opuszczenia naszego majątku w 1939 roku). Potem, w czasach komunistycznych, angażowali się m.in. w obronę więzionego prymasa Wyszyńskiego, w obronę krzyża w klasach szkolnych. Honor to szacunek dla ludzi prawych i nieprzyjmowanie w domu tych, którzy w tej dziedzinie wyraźnie zawiedli. Już w dzieciństwie poznałem motto *Melior mors macula*. Hasło Ojczyzna to też służba wojskowa w momentach jej zagrożenia. Wiele mógłbym tu przytoczyć przykładów, także z życiorysu mego Ojca w okresie obu wojen. W powstaniu listopadowym brało udział pięciu (według niektórych źródeł siedmiu) Mycielskich; kilku z nich uwiecznił Wojciech Kossak na obrazie „Olszynka Grochowska”. Dostali go w prezencie ślubnym moi dziadkowie, wisiał w Boryniczach do II wojny światowej, potem zaginął. Hasło Ojczyzna to nie tylko jej obrona, to także troska o jej rozwój, o dobro jej obywateli. Te wartości są siłą narodu. A mogą utrzymać swoją rację bytu przede wszystkim dzięki dobrze funkcjonującym rodzinom. Bo rodzina to nie tylko „mały biały domek” dla kilku współżyjących osób. Rodzina to sens życia, moc społeczeństwa, tarcza obronna narodu.

► Pamiętnik Pana Matki może stanowić dla dzisiejszego czytelnika lekcję solidarności rodzinnej, wierności małżeńskiej, mądrej miłości macierzyńskiej.

Nasza Matka pisała ten pamiętnik dla nas, dzieci. Podobnie uczynił Ojciec. Cieszy nas wartość ich przesłań: mogą być pomocne w odkłamywaniu komunistycznej propagandy, mogą dać przykłady zachowania, mogą przeciwstawić się lekceważeniu lub wręcz zaplanowanemu niszczeniu niezmiennych wartości. Zacytuje słowa Mamy odnośnie do instytucji małżeństwa (z listu do wnuka mającego stanąć przed ol-

tarzem): „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oznacza po prostu: ślubuję ci nieustającą życzliwość i współpracę”.

► **Gdyby miał się Pan pokusić o sformułowanie definicji: czym jest arystokratyzm dziś? Czy nadal można traktować go jako rodzaj wybraństwa? A może coraz bardziej ów dawny „arystokratyzm praw” wynikający z historycznej przeszłości, z zasług dla kraju, przekształca się dziś w „arystokratyzm obowiązków”?**

Znam kilkanaście arystokratycznych rodzin europejskich niepokazujących się w żadnych kolorowych gazetach czy na polu publicznym. W przeciwnieństwie do Polski, która ma za sobą rozbiory, dwie wojny i komunizm, są demokracje w Europie Zachodniej zamieszkałe od pokoleń przez tę samą rodzinę, z portretami wiszącymi od lat na tym samym miejscu. Są wspierające się środowiska z ziemiańską tradycją, z programami promującymi integrację dla dorastającej młodzieży. Mijemy nadzieję, że młode polskie pokolenie będzie mogło choć w części odbudować dziedzictwo, które zostało poprzedniej generacji brutalnie zabrane czy zniszczone.

Mimo że jesteś mniejszością, mimo faktu, że tyle jest spustoszeń w „jakości” i pomimo presji liczniejszych środowisk demokratyczno-liberalnych, to wszystko nie znaczy, że trzeba się poddawać. W naszym kraju dramatem jest nie tylko brak historycznej wiedzy o ziemiaństwie czy arystokracji, lecz brak wiedzy historycznej w ogóle. Napotykamy liczne przykłady jej fałszowania. Tak się działo za komuny, tak się dzieje niestety jeszcze teraz, przy wciąż aktywnej jej spuściźnie. Młody magister dowodził mi niedawno, że „za nieodrobioną pańszczyzną panowie wieszali chłopów na drzewach” (!). W przeciwnieństwie do dawnej arystokracji i ziemiaństwa, dzisiejsza „elita biznesowo-medialna” raczej nie kultuwyje wartości chrześcijańskich. Hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna” bywa w tych kręgach ośmieszane. Dekalogiem stają się media, bogiem jest konsumpcja. A ojczyzna? To jakiś przybytek, symbol zacofania. I czyż nie jest tak, że w tych elitach coraz trudniej odnaleźć normalnie funkcjonującą, szczęśliwą rodzinę? Gdzie spójność, rozwody, depresje, nałogi, manipulowanie prawdą i... targowica.

Na szczęście są też liczne wyjątki i chce się wtedy zaśpiewać: „jeszcze Polska nie zginęła!”.

Obawiam się jednak, że czas dawnej „pozycji” naszego środowiska w społeczeństwie już nie jest do przywrócenia. Pielęgnujmy, to znaczy, nie zapo-

minajmy tego, co w poprzednich generacjach było wartościowe. Pamiętajmy o patriotyzmie, który pozwolił Polsce przetrwać rozbiory i wojny. Nie pozwalamy na fałszowanie historii. Nie kupujemy patologii, która nawiedziła pierwotną piękną ideę wspólnej Europy i jest obecnie wypychana na siłę krajom członkowskim przez eurokołchoz. Jeśli będziemy potrafili skutecznie się bronić, może staniemy się na tle Europy jej nową szlachtą? I warto będzie żyć... w Polsce.

► **Jest Pan autorem książek „Elementarz dla rodziców” i „Elementarz dla zakochanych” (w przygotowaniu). Pierwsza została przyjęta przez czytelników bardzo życzliwie i ma już kilka wydań. Młode rodziny potrzebują dziś poradników?**

Tak się składa, że nikt mnie nie pyta o dziedziny, na których się znam, na przykład o metody szybkiego przewijania elastycznych włókien sztucznych. Taki pech...(śmiej). Za to byłem parokrotnie proszony, jeszcze kiedy mieszkaliśmy w Belgii i Holandii, by napisać o naszym sposobie wychowywania dzieci. Spokój w domu i stosunkowo małe zmęczenie rodziców były powodem zażądania naszych przyjaciół sąsiadów, podobnie jak my wtedy młodych rodziców. Moja odpowiedź, rodzaj krótkiej technicznej instrukcji obsługi (wiadomo: pisze inżynier, a nie literat-psycholog) spotkała się z entuzjazmem jednych i... bezlitosną krytyką innych. Po pewnych ulepszeniach, dodatkach, „makijażu” „instrukcja” doczekała się siedmiu wersji językowych (ostatnie wydanie z 2018 roku jest zasługą Rosikon Press). Kolejny poradnik, tym razem dotyczący narzeczeństwa i małżeństwa, też nie powstaje z mojej inicjatywy. „Pięćdziesiąt lat stażu? Da się wytrzymać? Jak ty to robisz?” – pytają mnie koledzy z klubu jeździeckiego w Toskanii. „Napisz nam o tym!”. „Ok!” – odpowiedziałem. A więc typowa kobyłka u płota...

Jacek Mycielski – jeden z autorów opracowania pamiętnika Heleny z Broel-Platerów Mycielskiej „Pośród klęsk i zwycięstw” (Rosikon Press 2018). Absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej. Po ucieczce z Polski w 1971 roku, osiadł w Belgii i Holandii, potem we Włoszech. Pracował dla koncernów DuPont, DSM, Volvo. Społecznik, wolontariusz (m.in. opiekun niepełnosprawnych na pielgrzymkach do Lourdes), wieloletni członek zarządu Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, uczestnik i prelegent Międzynarodowych Kongresów Rodziny.



Krzysztof Karnkowski

Wojna i sukces w (byłej) Jugosławii

Kolejny raz złapałem się na myśli, jak bardzo zapomniana została u nas kultura nieodległych przecież geograficznie, kulturowo i językowo państw w czasach dominacji anglojęzycznej konkurencji. Paradoksalnie wraca ona do nas czasem głównie dlatego, że swoją egzotyką zainteresuje dystrybuujące dziś filmy i seriale wielkie amerykańskie koncerny.

► Retrospekcja

Jugosławia była w II połowie XX wieku przypadkiem tak wyjątkowym, jak szczególna była jej sytuacja geopolityczna. Niby stanowiła część wielkiej socjalistycznej rodziny, ale jednak próbowała samodzielności, z zewnątrz (z punktu widzenia mieszkańca komunistycznego bloku) była całkiem

liberalna i dość bogata, do tego stopnia, że sklepowe półki przyprowadzały o zawrót głowy Polaka z długiego gospodarczego przednówka lat 80. Miała też politykę kulturalną, której jugosłowiańska scena muzyczna w swej części zafascynowanej najpierw punk rockiem, potem zaś nową falą i postpunkiem spod znaku Joy Division zawdzięcza o wiele bogatsze studyjne zarchiwizowanie swoich dokonań z pierwszej połowy lat 80. Co za tym idzie – miała i pewną kultową pozycję również w Polsce w tamtym czasie, gdy jugosłowiański zespół Električni Orgazam swoją pierwszą płytę koncertową nagrywał... w warszawskim Remoncie. Po latach z pewnym zdziwieniem dowiadywałem się, że jednak i tam zespoły napotykały kłopoty ze strony władzy, jeśli nie spodobał się jej ich przekaz. Problemy mieli choćby Vis Idoli, u nas znani z przeboju „Malcziki” Kazika i Yugo tonu, którzy



Po obejrzeniu kolejnego sygnowanego przez HBO Europe serialu, który jest zresztą częścią tej samej ofensywy tematycznej czy raczej – geograficznej, do której należy znane już dobrze i popularne polskie „Ślepnąc od świateł”, przyszła mi do głowy szersza refleksja. „Sukces” to bowiem produkcja chorwacka, utrzymana w innym niż polski przebrój ducha, lecz nie mniej udana.

pozwalali sobie na zbyt wiele odniesień do chrześcijaństwa. Mało znany u nas, lecz u siebie kultowy Mizar napotykał trudności oskarżany o macedoński nacjonalizm. Piszę sporo o muzyce, bo to ona była przez lata polskim oknem na Jugosławię, czego ostatnim akordem była popularność projektu Yugo-ton, w którym znani polscy wokaliści śpiewali postpunkowe i rockowe przeboje ze starych płyt tej socjalistycznej, jugosłowiańskiej wytwórni.

Po drodze jednak stary świat runął, w tym przypadku bardziej dosłownie niż gdzie indziej, zaś pierwszym skojarzeniem z Bałkanami stała się wojna. O niej pisano i u nas, i nie tylko u nas, piosenki, pod jej wpływem w Zielonej Górze kilku punkowych muzyków swój zespół (grający do dziś) nazwało Jugosławia. Wojna toczyła się blisko, w kraju (na początku – w naszej świadomości – wciąż jednym) wielu lu-

dziom znanym choćby z olimpiady w Sarajewie, której sygnał tak wielu z nas pamięta pewnie do dziś. Echem tej fali była popularność filmów Kusturicy, a w jakimś stopniu później muzyki Bregovicia, czyli czegoś, co z tamtych stron przyszło do nas w skali hurtowej i masowej. Potem zostały już tylko nisze, polscy skinheadzi słuchają czasem serbskiego Ritam Nereda, zaś punkowe chorwackie Hladno Pivo znane jest u nas już chyba tylko bardziej wytrwałym poszukiwaczom. Tymczasem u siebie cieszy się statusem, który można by porównywać z większymi gwiazdami naszego rodzimego rocka, o czymś świadczą pełne hale i wysokobudżetowe teledyski. Lecz choćby z tematyki tekstów tego ostatniego zespołu widać, jak blisko nam do siebie. Pierwszy singiel z ostatniej studyjnej płyty grupy brał w obronę robotników z reprywatyzowanych i zniszczonych miejscowych zakładów, teledysk ukazywał zaś scenę znaną nam z tysięcy polskich miast i miasteczek. Chorwacji kibicowaliśmy wreszcie podczas ostatniego mundialu, trochę rekompensując tym słabość naszej reprezentacji.

► Obyczajówka i kryminał w jednym

W serialu HBO znów możemy zobaczyć i usłyszeć tę bliskość – języka, kontekstu, miejskiej architektury, wreszcie problemów, z jakimi zmagają się bohaterowie. „Sukces” to opowieść, w jakiej główne role przypada odegrać czwórce osób, które przypadkiem wpadają na siebie późnym wieczorem na jednym z blokowisk Zagrzebia. Dalszy rozwój wypadków pokazuje zresztą, że spotkanie większości z nich i tak było nieuniknione, ale w pierwszej chwili jeszcze ani oni, ani my tego nie wiemy. Mamy więc Vinke – bankową urzędniczkę w przeddzień rozwodu; Kikiego, łapiącego się różnych prac młodego męża, który na głowie ma chorego synka i groźbę eksmisji z mieszkania; Harisa, genialnego architekta, dawne cudowne dziecko, dziś rozmieniającego talent w służbie Lujo Krajla, dewelopera piorącego brudne mafijne pieniądze; wreszcie Blanke – dziewczynę o wyglądzie i manierach młodocianej prostytutki, która właśnie burzliwie rozstaje się ze swoim chłopakiem, sadystą i synem mafiosa. Rozstanie przerodzi się w szarpaninę, w bójkę, w którą włączą się chcący pomóc dziewczynie świadkowie, wreszcie agresor skończy z nożem w plecach, a czwórka bohaterów rozplynie się w miejskiej nocy... Szybko jednak będą musieli połączyć siły, by nawzajem chronić się przed policyjnym śledztwem i o wiele groźniejszą chęcią zemsty zrozpaczonego ojca. Co ciekawe, właściwie poznajemy go prawie wyłącznie w tym charakterze, bo choć od razu wiemy, z kim mamy do czynienia, to w zdecydowanej części ta postać teoretycznie największego bandziora

zbudowana jest z emocji, które będziemy podzielać. Choć w odróżnieniu od niego znamy przecież tło wydarzeń i wiemy dobrze, dlaczego historia młodego Victora musiała zakończyć się przedwcześnie.

„Sukces” to serial obyczajowy i kryminal w jednym. Pierwszą warstwę tworzą relacje wymienionej wyżej czwórki bohaterów uzupełniane postaciami równie ważnej policjantki, inspektor Kalic, męża Vinki, żony Kikiego, rodziców Victora, ojca Blanki i jej kolejnego – wybranego trochę z łaski, a trochę z przypadku – chłopaka, wreszcie prawdziwych czarnych charakterów tej opowieści. I tu wchodzimy w kryminal, w którym zropaczony bandzior będzie tak naprawdę tylko kolejną ofiarą nieporozumień składających się na serialową opowieść. Policja początkowo sprawców mordu szuka w środowisku mafii, zaś z naszych bohaterów interesuje się tylko Blanką i – w związku z inną sprawą – Vinką. Ta bowiem w dniu śmierci Victora napadnięta została we własnym samochodzie przez tajemniczego zamachowca, na pozór psychopatę, tak naprawdę zaś współpracownika Kraja, o którego istnieniu Vinka wtedy nawet jeszcze nie wie. Gdy jednak policyjne śledztwo zaczyna krążyć wokół Kikiego, interesy dewelopera-bandyty zaczynają być zagrożone, zbliża się bowiem kluczowe dla niego głosowanie w radzie miasta. Ważą się losy kolejnej kluczowej dla niego inwestycji, z której architekt bardzo chciałby się wycofać, lecz jego mocodawca zrezygnować nie chce i nie może. Obserwujemy więc nierówną walkę zwykłych i (prawie) przypadkowych osób z mało przyjazną rzeczywistością postkomunistycznego liberalizmu i z o wiele lepiej sobie w niej radzącymi dwiema przestępczościami – klasyczną bandyterką i powszechnie szanowaną mafią w białych kołnierzykach. Po której stronie będzie tu policja i władza, domyślić się nietrudno. Intryga rozwija się szybko i w kierunku początkowo wcale nie oczywistym, gęstniejąca atmosfera osaczenia bohaterów, budowana według klasycznych dla kryminału wzorców miesza się tu z wiarygodną obserwacją społeczną i psychologiczną. Choć, z wyjątkiem Blanki i policjantki, właściwie nie poznajemy tu przeszłości bohaterów, są oni stworzeni wystarczająco głęboko i wielowymiarowo, by stać się postaciami przekonującymi, które możemy polubić i którym możemy kibicować przy na pozór beznadziejnej sprawie.

Serial otwiera znakomita czołówka, a każdy odcinek zamyka klasykę jugosłowiańskiej muzyki rozrywkowej o pokolenie lub dwa starszy od przebojów wylansowanych u nas przez Yugoton. Wszystko spaja zaś przewrotna i wyprowadzająca nas w pole narracja – to Kiki (na początku nie wiemy jeszcze, kim jest) opowiadający nam w coraz bardziej kontrowersyjny sposób, jak osiągnąć tytułowy sukces. Więcej nie zdradzę, namawiając, by dać serialowi szansę.

► Reżyser z Oscarem

Na koniec wypadła przybliżyć czytelnikom postać Danisa Tanovicia, pochodzącego z Bośni reżysera „Sukcesu”, który nie jest na pewno osobą przypadkową. Od lat współpracujący z twórcami i producentami z zachodniej Europy, oprócz licznych krótkich form nakręcił kilka filmów fabularnych, z których sławę przyniósł mu już debiut – „Ziemia niczyja”. Opowieść o żołnierzach dwóch wrogich armii, dwóch Bośniaków i Serba, którzy uwięzieni w okopie, bynajmniej nie zostaną przyjaciółmi, przyniosła mu Oscara za najlepszy film obcojęzyczny i stała się przepustką do międzynarodowej sławy. „Ziemia niczyja” to nie tylko ukazanie bezsensu prawdziwie bratobójczej wojny ludzi mówiących tym samym językiem. To także obraz bezsilności sił międzynarodowych. Wojna to ulubiony temat bośniackiego artysty, ta w Jugosławii, choć niebezpośrednio, pojawia się również w dwóch innych jego filmach. „Cyrk Kolumbia” to tragicomiczna opowieść o powracającym po upadku komunizmu reemigrancie, który próbuje odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Pozornie wraca jako wygrany, z pieniędzmi i nową narzeczoną, w praktyce jest jednak odbierany jako dziwak, który porzucił rodzinę, coraz trudniej odnaleźć mu się w dawnym domu, dookoła zaś świat kolejny raz zaczyna pękać. Widzimy, jak wzrastają nastroje nacjonalistyczne, a przyjaciele i sąsiedzi stają się wrogami. Okazuje się jednak, że paradoksalnie wojna pewne rzeczy może również przywrócić na właściwe miejsce. Z kolei „Śmierć w Sarajewie” dzieje się już po wojnie, w hotelu, którego pracownicy szykują się do strajku, zaś dyrekcja do wizyty ważnych unijnych gości. Pretekstem jest rocznica zamachu na księcia Ferdynanda, od początku wiemy więc, że ktoś znów zginie. Nim do tego dojdzie, dostaniemy lekcję jugosłowiańskiej historii i pojugosłowiańskiej teraźniejszości, opowiedzianą – na ile Polak może to ocenić – z oddaniem racji każdej ze stron. I właśnie te trzy filmy najbardziej warto poznać. Listę jego dzieł uzupełniają tytuły „Piekło”, film wart wspomnienia głównie dlatego, że Tanovic dostał go do zrobienia niejako w spadku po Kiesłowskim, według jego pomysłu i scenariusza Piesiewicza; rozgrywający się tym razem w Kurdystanie dramat „Selekcja” o reporterach wojennych; „Senada” – stylizowany na dokument, opowiadający o prawdziwej historii, która wydarzyła się na bośniackiej wsi, ponury, ocierający się wręcz o estetykę pornografii biedy; wreszcie „Tygrysy” – nakręcony w Indiach thriller o walce oszukanego sprzedawcy z wielką korporacją, której leki okazują się zagrożeniem dla życia i zdrowia dzieci. Jak widać, Tanovic najeździł się po świecie, jednak najlepsze dzieła stworzył najbliżej domu. ■

Marek Kalinowski

Ku dojrzałości

Na płycie „Radar” bracia Waglewscy ostatecznie rozstają się z rapem, z niemałą korzyścią dla polskiej piosenki. Przywołane dźwięki sprawiają, że z radością sięgniemy po zapomniane albumy z młodości.

Miękkie brzmienia syntezatorów, punkowa energia i rytmy disco – aż trudno uwierzyć, że przed nami najnowsza płyta weteranów polskiego hip-hopu, duetu Fisz Emade Tworzywo. Za pseudonimami kryją się bracia Piotr (Emade) i Bartosz (Fisz) Waglewscy.

Ich popularność zaczęła się od albumu „Polepione dźwięki” z 2000 roku, przynosząc pierwszą nominację do nagród Fryderyka. Patrząc z perspektywy czasu, to jedna z najlepszych płyt, która mogła się przytrafić w odtwarzaczach rozpędzonej na deskorolkach dziećmi. W przeciwieństwie bowiem do tego, co działo się i dzieje na współczesnej scenie hip-hopowej, ich muzyka od początku odznaczała się wysoką kulturą słowa. Podczas gdy polski rap żywił się absurdalnymi historiami rodem z amerykańskich dzielnic biedry, Fisz skupił się na otaczającej go rzeczywistości, opisując ją w sposób barwny i zajmujący. Opis ten jeszcze bardziej zyskiwał na atrakcyjności, gdyż prowadzony był niezwykle plastycznym, dojrzałym i stroniącym od agresji językiem, gdzie ostre słowa, jeśli się pojawiały, to miały swoje uzasadnienie w opowieści, a nie były stawiane z interpunkcyjnym rozmachem.

Dzisiaj czterdziestoletni już Fisz muzykę gadaną zostawił młodszemu artystom, sam zaś z rapera przeobraził się w sprawnego piosenkarza. Jego głos na najnowszej płycie „Radar” okazuje się przy tym ładząco podobny do wokalu jego ojca, lidera Voo Voo Wojciecha Waglewskiego. Podobieństwo nie ogranicza się zresztą tylko do brzmienia, lecz także wyśpiewywanych treści. Wystarczy sięgnąć po wydany przed miesiącem album Voo Voo „Za niebawem”, by

przekonać się, jak wiele łączy dwa pokolenia artystów. Miłosne wyznanie Fisza „Jestem w niebie” z powodzeniem mogłoby zagościć wśród utworów ojca. „Dziś nie kupuję gazet ani sobie, ani żonie, by nikt się nie dowiedział, po której jestem stronie” – oznajmia z kolei w jednej z piosenek lider Voo Voo. Co na to młode pokolenie Waglewskich? Trochę innymi słowami, ale przecież znów bardzo podobnie. „Wszystko co mówisz, wszystko o czym teraz śnisz, mówisz szeptem, mówisz cicho. Nie bądź naiwnym, przecież wiesz, wszystko polityką jest. Nie ma dziś niepolityki” – śpiewa Fisz w utworze „Polityka”.

Przy okazji nowych płyt trudno nie odnieść wrażenia, że dwa pokolenia Waglewskich ogarnęła równoczesna potrzeba sięgnięcia po dźwięki z młodości. O ile Voo Voo reaktywuje gitarowe sola rodem z lat 60., muzycy Tworzywa na „Radarze” otulają się brzmieniem lat 80. – jakkolwiek by patrzeć na muzykę ich dzieciństwa. Album wybucha ildzie punkową energią w utworze „Wolne dni”,

by po chwili bez reszty wciągnąć w elektropopowy rytm „Jestem w niebie”. Nieraz przywoła Talking Heads, jak choćby w mocnej basowej ścieżce tytułowego „Radaru”, by za chwilę zaprosił nas na parkiet w ironicznym utworze „Sweter” i dać przestrzeń na zadumę w przesterowanych, powolnych gitarach w „Dwa Ognie”. Fakt, że mimo rozległych inspiracji wszystko układa się w spójną całość, to niewątpliwie zasługa młodszego z braci – Emade. Jego niezwykle muzyczny instynkt sprawia, że chcemy jeszcze dłużej pobyc z tą muzyką i z radością sięgamy po zakurzone albumy Kraftwerku. ■



Fisz Emade Tworzywo, RADAR, Grand Imperial, Dwa Ognie



Krzysztof Budka, ekspert RG SWS

Nie dzielmy przedsiębiorców!

Jak to możliwe, że akt prawny, który z założenia miał chronić polskich małych i średnich przedsiębiorców z branży handlowej, przyczynił się do ich podziału? Odprysk ustawy o ograniczeniu handlu w niedziele rykoszetem trafił w część polskich sklepikarzy, którzy ni z tego, ni z owego zostali zakwalifikowani do grona przedsiębiorców gorszej kategorii. Mowa o franczyzobiorcach.

To zapewne niezamierzony efekt, bo przecież trudno przypuszczać, by autorzy ustawy tak sobie to wszystko zawczasu wymyślili, niemniej sprawa jest poważna i – jak to się mówi – do natychmiastowej korekty. Poważna, bo na naszych oczach ustawa pomału zabija część polskiego biznesu. Czas na to też jest dobry, bo temperatura dyskusji na temat skutków ustawy ograniczającej handel w niedziele wciąż rośnie, a biorąc pod uwagę tempo, w jakim to robi, śmiało można przypuszczać, że punkt kulminacyjny dopiero przed nami.

W sprawę bardzo poważnie zaangażował się rzecznik MŚP Adam Abramowicz, który w liście otwartym do premiera Mateusza Morawieckiego stanął w obronie sektora handlowego MŚP i zwrócił uwagę na problemy, jakie ten sektor trapią, apelując przy okazji do swojego zwierzchnika o wsparcie. Dzięki temu cała dyskusja nad skutkami ustawy o ograniczeniu handlu w niedziele nabrała nowego wymiaru. Trudno się jednak ministrowi Abramowiczowi dziwić, że zabrał w tej kwestii tak stanowczy głos. Najwyraźniej uznał, że w całym zalewie komentarzy płynących ze wszystkich środowisk, wyciągania przeróżnych danych (często z kapelusza – co nie przeszkadza niektórym powoływać się nawet na... Biuro Analiz Sejmowych!), czas po temu najwyższy. No i trudno nie zauważyć, że niezależnie od tego, jakie idee przyświecały autorom ustawy, coś w pewnym momencie poszło nie tak.

Warto sobie przy okazji uświadomić, że z obecnego kształtu ustawy nikt tak do końca nie jest zadowolony. Nawet związki zawodowe, których znaczna część przedstawicieli traktuje ten kształt ustawy jako „zgniły kompromis”. Zresztą ci najbardziej radykalni postulują, by w ramach jeszcze większej obrony „ludzi pracy” zakaz handlu rozszerzyć nie tylko na wszystkie niedziele, lecz także soboty, co przypomina propozycję leczenia łupieżu gilotyną. To oczywiście opinie marginalne, których nie należy poważnie brać pod uwagę, jednak przytaczam je, by pokazać, że na ustawie tej polityczny kapitał próbują zbić wszyscy. Łącznie z „gilotynowcami”.

Ustawa nie do końca przypadła do gustu również małym i średnim przedsiębiorcom, których miała z założenia chronić. A szczególnie wspomnianym franczyzobiorcom, którzy nagle stali się przedsiębiorcami drugiej kategorii. To efekt nacisków związków zawodowych, które w obronie „ludzi pracy” postanowiły przeforsować pogląd, iż część franczyzobiorców (z tzw. franczyzy twardej) to żadni przedsiębiorcy, tylko zwykli pracownicy najemni. A skoro tak, to ich nie powinien obowiązywać zapis ustawy, który mówi o tym, że zakaz handlu w niedziele niehandlowe nie dotyczy „placówek handlowych, w których handel jest prowadzony przez przedsiębiorcę będącego osobą fizyczną wyłącznie osobiście, we własnym imieniu i na własny rachunek” (art. 6, pkt 27 Ustawy o ograniczeniu handlu w niedziele i święta oraz w niektóre inne dni).

Zrobił się bałagan prawny i powstał spór, który de facto uderzył w cały sektor handlowy MŚP. A przecież franczyzobiorcy to pełnoprawni polscy przedsiębiorcy, tyle że budujący swój kapitał w innym modelu biznesowym. Ten odprysk ustawy, który uderzył we franczyzobiorców, wymaga jak najszybszej reakcji i naprawy. Bo dyskutować i przerzucać się różnymi danymi można w nieskończoność, tymczasem na naszych oczach ustawa niszczy polskich przedsiębiorców tylko dlatego, że ktoś uznał ich nie za przedsiębiorców działających na własny rachunek, lecz za pracowników najemnych. Tak absolutnie być nie może, trzeba wrócić do stanu poprzedniego i przywrócić równość wobec prawa wszystkim przedsiębiorcom z sektora handlowego MŚP – niezależnie od tego, jaki model biznesu prowadzą.

I to jest zadanie dla ustawodawcy „na już”. Co do tego – jako Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa, czyli stowarzyszenie wspierające wszystkich małych i średnich przedsiębiorców – nie mamy najmniejszych wątpliwości. Dlatego z całych sił popierać będziemy zarówno rzecznika MŚP, jak i każdego, kto razem z nim podejmie się naprawienia tego stanu rzeczy. ■

www.radagospodarcza-sws.pl

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA



Ryszard Czarnecki

Polska szansa

Jestem historykiem praktykującym. A to oznacza coś znacznie większego niż formalne wykształcenia i tytuł magistra historii. Ktoś, kto zna historię, a więc rozumie powtarzalność mechanizmów i niepowtarzalność zjawisk, potrafi porównywać przeszłość z teraźniejszością oraz zakorzeniać przyszłość w dziejach minionych. Można skończyć studia historyczne, lecz tej umiejętności nie posiadać: jakiś czas temu mieliśmy w Polsce, za rządów PO, prezydenta-historyka po Uniwersytecie Warszawskim, premiera-historyka po Uniwersytecie Gdańskim, marszałka Sejmu-historyka po Uniwersytecie Wrocławskim i marszałka Senatu-historyka po KUL. Tyle że nic z tego nie wynikało. Ani choćby dla zwiększenia liczby lekcji historii w szkołach, ani dla wyciągania wniosków z historii własnego kraju.

Historia uczy dystansu i proporcji. Właśnie przez pryzmat dziejów Polski ostatnich paru wieków uważam, że mamy dziś okres nadzwyczajnej koniunktury dla polskiego państwa i polskiego narodu. Patrząc na młodych ludzi, z którymi spotykam się w kampanii do wyborów europejskich, mam poczucie, że są przedstawicielami wyjątkowego pokolenia: polskie elity i „młoda Polska” nie są dziś mordowane w sowieckim Katyniu czy niemieckim Auschwitz. Ale nie są też pokoleniem, które za PRL jechało na wstecznym biegu, nie wykorzystując swojego i polskiego potencjału. Nie są pokoleniem, które w III RP wzięło nogi za pas i korzystając z otwarcia granic oraz swobody pracy po wejściu Polski do UE (od razu w Wielkiej Brytanii czy Irlandii, po kilku latach w Niemczech czy w Austrii), teraz pracuje na większy PKB państw Europy Zachodniej. Państw, które – mimo integracji europejskiej – są i będą gospodarczymi konkurentami Rzeczypospolitej.

Gdy ostatnio dyskutowałem z moimi młodymi rodakami politycznie zaangażowanymi w Prawo i Sprawiedliwość czy występowałem z młodymi politykami z prawej strony sceny politycznej w mediach, miałem poczucie jakże innej ich sytu-

acji od tej, jaka była udziałem ich pradziadków, dziadków i rodziców. Ich poprzednicy w narodowej sztafecie pokoleń walczyli o życie, o narodowe „być albo nie być”, bronili ojczyzny przed zniewoleniem, płacąc za to życiem, torturami, więzieniem. Bogu dzięki, młode polskie elity XXI wieku mogą skupić się na wewnętrznym usprawnianiu państwa i zwiększaniu jego pozycji oraz siły w wymiarze międzynarodowym. A to przecież różnica fundamentalna. Kiedyś: życie albo śmierć, dziś: wykorzystanie koniunktury gospodarczej i politycznej lub jej niewykorzystanie.

To wszystko sprawia, że jestem optymistą co do przyszłości mojej ojczyzny. To bynajmniej nie minimalizm każący bagatelizować mechanizmy, które czynią polskie państwo mniej wydajnym czy gorszym dla obywateli. To stwierdzenie faktu, że dziś młodzi Polacy grają nie w lidze śmierci, jak za Sowietów i Niemców czy w czasach zaprowadzania komunizmu w Polsce pod moskiewskim bagnetem – lecz w lidze życia. Nie w lidze jałowości i marnotrawienia ludzkich istnień i polskich szans, jak za PRL, lecz w lidze tworzenia narodowej wielkości i siły państwa.

To każe mi powiedzieć, że dzisiaj mamy, jako Polacy, jako Rzeczypospolita, gigantyczną szansę. Już od półtora roku jesteśmy liderem wzrostu PKB *per capita* w całej Unii Europejskiej. Polska gospodarka rozwija się nawet wtedy, gdy inne się zwijają czy mocno spowalniają, jak choćby europejska gospodarka „numer 1” – niemiecka.

Jesteśmy w unijnej „Big Five”, czyli piątce największych państw UE (po brexicie). To nie narodo-wa megalomania, tylko międzynarodowe rankingi obronności wskazują, że polska armia to siły zbrojne numer 3 w UE, po Francji i Włoszech, a przed Niemcami (sic!) i Hiszpanią. Z innych międzynarodowych badań wynika, że jesteśmy jednym z dwóch krajów w Europie, gdzie według badań opinii publicznej najsilniejsze są odczucia patriotyczne i duma narodowa (tym drugim jest Grecja).

I to jest właśnie polska szansa. ■

Antoni Rybczyński

Wojna o Bajkał, czyli chińska ekspansja na Rosyjskim Dalekim Wschodzie

Był 28 maja 1858 roku. Generał-gubernator Wschodniej Syberii Nikołaj Murawjow-Amurski oraz Yishan, wysłannik cesarskiego dworu w Pekinie, spotkali się w chińskim miasteczku Aigun, na prawym brzegu Amuru. Podpisali w imieniu swych władców traktat, który przekazywał ziemie po lewej stronie rzeki Rosji. Chiny miały zatrzymać prawobrzeże Amuru aż po rzekę Ussuri. Kraj Ussuryjski miał się póki co znaleźć pod wspólną administracją obu państw...



FOT. IPASINIKOV/STANISLAW PAJAK/RETNA

Większość historyków chińskich uważa traktat w Aigun (podobnie jak traktaty w Pekinie i Tiencin) za niesprawiedliwy, bo narzucony przez silną Rosję słabym Chinom. Co ciekawe, samo Aigun zyskało potem inną nazwę. Rosjanie mówili Zabajkalsk, Chińczycy nazywali je Heihe. Ale w czerwcu 2015 roku przywrócili historyczną nazwę Aigun. Pekin nie krył nawet, że w ten sposób chce przypomnieć, że w przeszłości Rosja odebrała Chinom ogromne obszary na Dalekim Wschodzie – traktat z Aigun jest symbolem tej rosyjskiej ekspansji. Przywrócenie starej nazwy wywołało euforię w nacjonalistycznych kręgach chińskich, które coraz głośniej domagają się od Moskwy oficjalnych przeprosin za politykę carskiej Rosji wobec Chin. To pierwszy krok do postawienia żądań zwrotu terytoriów w tym regionie. Co ciekawe, oficjalnie władze w tej sprawie milczą, ale też nie widać, by próbowały zamykać usta „rewizjonistom” – o co przecież nietrudno w komunistycznym reżimie. Tym bardziej że takie nacjonalistyczne ruchy, jak Baodiao, w ogóle nie mogłyby działać bez zgody władz. Póki co skupiają się one na innych sąsiadach, głównie Japonii, ale kto wie, co będzie w przyszłości. Tym bardziej że pamięć historyczna to ważny aspekt narodowej konsolidacji w Chinach. Konsolidacja zaś ta bazuje w dużym stopniu na negatywnych doświadczeniach historycznych, szczególnie chodzi o tzw. stulecie upokorzeń, czyli okres od wojen opiumowych do powstania Chińskiej Republiki Ludowej. Nie wolno zapominać, że krajami, które upokarzały w tym okresie słabe Państwo Środka, były nie tylko Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Japonia i Stany Zjednoczone – lecz także carska Rosja.

► Smok połyka Zabajkale

Na rosyjskim Dalekim Wschodzie mieszka 6,3 mln osób. Po drugiej stronie granicy w samej tylko prowincji Heilongjiang żyje 38,3 mln Chińczyków. W mediach pojawiają się alarmujące wieści, że w Rosji są już nawet 2 mln Chińczyków, a w 2050 roku będzie ich 10 mln. W rzeczywistości jest ich około pół miliona. Z czego ponad połowa w europejskiej części Rosji – lepiej rozwiniętej gospodarczo. Co więcej, po spadku cen ropy i dewaluacji rubla wielu chińskich robotników wybiera opcję wyjazdu z Rosji. Większość Chińczyków w Rosji to bowiem tymczasowi pracownicy, a nie stali imigranci. Pracują w handlu, budownictwie i rolnictwie, zaś większość zarobku wysyła do rodzin w kraju. W latach 2015–2017 ich średnie zarobki spadły o połowę. W 2016 roku średnia miesięczna pensja w Heilongjiang wynosiła 667 dolarów, podczas gdy w Kraju Primorskim, tuż

obok, 563 dolary. Ale chińska ekspansja w azjatyckiej części Rosji, szczególnie na Dalekim Wschodzie, nie polega – przynajmniej na razie – na klasycznym osadnictwie. Póki co w większości Chińczycy przyjeżdżają tu tylko tymczasowo, do pracy – zapewnianej zresztą przez chińskich biznesmenów. Bo to gospodarcza infiltracja jest tym, czego Moskwa może się obecnie bać najbardziej.

W lutym ubiegłego roku Rosja i Chiny ogłosiły lata 2018–2019 Dwuleciem Rosyjsko-Chińskiej Współpracy Międzyregionalnej. We wrześniu 2018 roku prezydent Xi Jinping gościł po raz pierwszy, wraz z imponującą liczną delegacją, na rosyjskim Wschodnim Forum Ekonomicznym we Władywostoku. Odbył się tam m.in. okrągły stół z udziałem 20 regionalnych liderów z obu krajów. Ze strony chińskiej było siedmiu szefów partii komunistycznej z prowincji łącznie liczących 363 mln ludzi, mających łączny PKB 5 bln dolarów, cztery razy większy niż PKB całej Rosji... Podczas szczytu Putin–Xi podpisano umowę o międzyregionalnej współpracy Rosji i ChRL, która zastąpi program koordynacji rozwoju regionów granicznych 2009–2018. Dokument podpisali jednak nie prezydenci, nie premierzy, lecz zaledwie ministrowie: rosyjski minister do spraw rozwoju Dalekiego Wschodu Aleksandr Kozłow i chiński minister handlu Zhong Shan. To pokazuje, że w relacjach Moskwy i Pekinu geopolityka jest najważniejsza, mało kto zwraca sobie głowę współpracę ekonomiczną na poziomie transgranicznym. Nowy program różni się od tego starego nie tylko podmiotami, które po obu stronach zajmą się jego realizacją. O ile mający wygasnąć z końcem tego roku program skupiał się na rozwoju Wschodniej Syberii, rosyjskiego Dalekiego Wschodu i północno-wschodnich Chin, o tyle nowy ogniskuje się wyłącznie na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Generalnie nowy dokument jest wręcz krokiem wstecz w porównaniu z poprzednim.

Ale to, co zwraca uwagę, to fakt, że wymieniony został w nim tylko jeden region, i to rosyjski. Z kolei z punktu widzenia Pekinu najważniejszą częścią tego regionu jest Kraj Zabajkalski. Kontrola nad nim to klucz do panowania nad całą Syberią. Tędy bowiem przebiegają dwie najważniejsze arterie transportowe łączące Zachodnią Syberię, Daleki Wschód i Kamczatkę. Część rosyjskich komentatorów uważa, że Chińczycy prowadzą świadomą kampanię przejmowania ziemi na Zabajkale, aby móc w przyszłości mieć możliwość zablokowania dostępu Moskwy do rosyjskiego Dalekiego Wschodu.

Ostatnio szczególnie duży niepokój w Rosji wzbudziły działania chińskie mające na celu przejęcie kon-

troli nad zasobami naturalnymi Kraju Zabajkalskiego – szczególnie wodami jeziora Bajkał. Miejscowi są niezadowoleni z tego, że Chińczycy skupują ziemię i nieruchomości w tym rejonie. Turystyczne zachęty skierowane na rynek chiński podkreślają zaś, że najgłębsze jezioro na świecie było kiedyś częścią cesarstwa chińskiego. Lokalna rosyjska ludność mówi, że to znaczy, iż Chińczycy chcą w przyszłości odebrać region. Moskwa dotychczas ignorowała protesty i niezadowolenie mieszkańców Zabajkała. Ale teraz Chińczycy przekroczyli czerwoną linię. Dla wielu Rosjan jezioro Bajkał to coś niemal świętego, część narodowego dziedzictwa, symbol obecności rosyjskiej na Dalekim Wschodzie. Chińskie sugestie, że tak naprawdę to chiński zbiornik wodny, wywołały falę oburzenia w całej Rosji. Chińskie próby sprzedaży wody z Bajkału w butelkach, a następnie budowy wielkiego wodociągu z Bajkału w głąb Chin uznano za bezpośredni atak zagrażający istnieniu tego unikalnego zbiornika. Prasa w całej Rosji zaczęła się rozpisywać o „wodnym rabunku” prowadzonym przez

Szanghajskiej Rady Współpracy w czerwcu 2018 roku i „dostał polityczne wsparcie”. Kanał o długości 1200–1500 km miałby być wybudowany przez oba państwa. W pierwszym etapie ma kosztować 10–13 mld dolarów i płynęłoby nim 600–700 mln metrów sześciennych wody rocznie. W drugim etapie (koszt 70–75 mld dolarów) ilość wody miałaby wzrosnąć do 1,8–2,4 mld m sześciennych rocznie. Płynęłaby z Syberii do Chin, a projekt dofinansować miałyby Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy. Rosyjscy eksperci uważają pomysł za „realistyczny” tak długo, jak nie będzie przekierowywał z Altaju do Chin więcej niż 1 proc. zasobów wodnych regionu. Ale co innego zapewne powiedzą tabloidy i opinia społeczna.

► „Żółta inwazja”

Kraj Zabajkalski to najbardziej podatny na chińską ofensywę ekonomiczną obszar Syberii i rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Przybysze z południo-

W MEDIACH POJAWIAJĄ SIĘ ALARMUJĄCE WIEŚCI, ŻE W ROSJI SĄ JUŻ NAWET 2 MLN CHIŃCZYKÓW, A W 2050 ROKU BĘDZIE ICH 10 MLN. W RZECZYWISTOŚCI JEST ICH OKOŁO PÓŁ MILIONA. Z CZEGO PONAD POŁOWA W EUROPEJSKIEJ CZĘŚCI ROSJI – LEPIEJ ROZWINIĘTEJ GOSPODARCZO.

Chiny. Pod naciskiem mediów i opinii publicznej nawet miejscowa klasa polityczna musi zmieniać front. 5 marca deputowani parlamentu Czuwaszji jednogłośnie sprzeciwili się budowie w ich regionie chińskiego kombinatu. Rozkręca się społeczna kampania z udziałem celebrytów mająca na celu zablokowanie chińskich planów budowy wielkiej rozlewni wody nad Bajkałem. „Zabutelkują i wyprzedadzą naszą wyjątkową bajkalską wodę!” – grzmią autorzy kampanii, którzy pod petycją online zebrali już ponad milion podpisów (stan na połowę marca 2019 roku). A już widać na horyzoncie kolejny projekt, który wywoła burzę w Rosji.

Władze w Pekinie desperacko szukają nowych źródeł wody – szczególnie dla północnych regionów kraju. W grudniu 2018 roku Ge Chili, dyrektor Rosyjsko-Chińskiego Funduszu Strategicznych Inwestycji, powiedział mediom, że jego grupa biznesowa zwróciła się do premiera Dmitrija Miedwediewa o poparcie chińskiego planu budowy kanału, który ma przekierować z Altaju do Chin duże ilości wody. Ge twierdzi, że pomysł taki był omawiany na Szczycie

wego wschodu nie byłoby jednak tak skuteczny w przejmowaniu kontroli nad miejscową gospodarką, gdyby nie postawa rosyjskich urzędników i biznesmenów. Za nic mają ostrzeżenia płynące z Moskwy – ważniejsze dla nich są własne korzyści finansowe niż interes państwa. To budzi gniew zwykłych mieszkańców, którzy coraz częściej i w coraz bardziej radykalny sposób demonstrują na ulicach niezadowolenie z powodu obecności chińskiej. Pod oddolnym naciskiem niektórzy lokalni deputowani głosują nawet przeciwko chińskim planom inwestycyjnym. Ale większość miejscowych elit woli czerpać zyski ze współpracy z Chińczykami. Władza centralna okazuje się coraz słabsza i nie jest w stanie przebić się przez skorumpowaną ścieżkę decyzji od Moskwy po jakieś zabajkalskie miasteczko. Nic dziwnego, że miejscowa ludność w coraz większym stopniu głosuje na komunistów lub przynajmniej tych polityków, którzy obiecują bronić interesów tubylców zarówno przed Moskwą, jak i Pekinem. To zaś staje się żywną glebą pod rosnący w siłę syberyjski regionalizm.

Ale media w Moskwie wolą tego nie dostrzeżać. Za to straszą „żółtą ekspansją” i nazywają Bajkał „chińskim jeziorem”. Wzrostowi antychińskich nastrojów sprzyja linia tabloidów. Tak jak w przypadku inwestycji chińskich nad jeziorem Bajkał, gdy gazety dolewały oliwy do ognia, publikując artykuły o wsi Listwanka i „najeździe” Chińczyków. W internecie pojawiła się petycja do Putina, aby zabronić sprzedaży ziemi wokół Bajkału obywatelom ChRL. Podpisało się pod nią ponad 60 tys. osób – sama wieś liczy ich 2 tys. Petycję nagłośniły rosyjskie media, w tym wielkonakładowy tabloid „Moskowskij Komsomolec”. A tymczasem miejscowa ludność już na własnej skórze przekonuje się, czym jest dominacja sąsiadów zza rzeki. Najbardziej oburza to, że najpierw Chińczycy i ich rosyjscy partnerzy biznesowi tradycyjnie zapewniali, że jakaś inwestycja pozwoli zatrudnić lokalną siłę roboczą, a potem okazuje się, iż przywożą chińskich robotników, którzy zajmują niemal wszystkie miejsca pracy, dostają większe pensje niż Rosjanie, a potem tworzą „Chinatowns” z nazwami ulic po mandaryńsku, a nie rosyjsku, i ze sklepami pełnymi produktów made in China. Postępująca depopulacja granicznych regionów i wszechobecność chińskich reklam, napisów itd. wywołują wśród Rosjan wrażenie, że Pekin kolonizuje Syberię i Daleki Wschód. Jak już jest sytuacja demograficzna, świadczy fakt, że władze nakazały tam administracyjną likwidację ponad 100 wymierających wsi. Pozostałych nielicznych ludzi przesiedlono do większych miast.

Narzeka się na „neokolonialne” zachowanie chińskich inwestorów, którzy ignorują miejscowe przepisy, choćby bez ograniczeń wycinając lasy pod swe inwestycje. Największym problemem w tym kontekście jest korupcja lokalnych elit rosyjskich – Chińczycy dysponują dużą gotówką, więc kwitnie łapownictwo. Choć do „żółtej inwazji”, o której grzmiały rosyjscy nacjonaliści, daleko, dzierżawa ziemi plus postępująca depopulacja regionu są zagrożeniem dla rosyjskiego panowania w regionie. Wśród miejscowej ludności krąży wiele nieprzychylnych Chińczykom opinii, na przykład o tym, że specjalnie podpalają lasy, by potem z łatwością wydzierżawić spalone tereny. Zdarzające się stosunkowo często wielkie pożary lasów mają być dziełem „grup dywersyjnych” – takie przynajmniej teorie są popularne w regionie. Zasugerował to nawet swego czasu publicznie przedstawiciel prezydenta w Syberyjskim Okręgu Federalnym, za co zresztą został zbesztany przez Kreml. Pożary mają wypłoszyć ludność miejscową i dać lepsze warunki dzierżawy Chińczykom.

W ciągu ostatnich 25 lat Rosja oddała Chinom w postaci umów o dzierżawie co najmniej tyle ziemi, ile Pekin nie był w stanie podbić przez poprzednie 150 lat. W czerwcu 2016 roku gubernator Birobidżańskiego Żydowskiego Obwodu Autonomicznego oznajmił, że 80 proc. ziemi w tym regionie jest już pod kontrolą Chińczyków. Szczególną niechęć Rosjan budzi rolna ekspansja Chińczyków. Jednym z najczęściej podnoszonych argumentów przeciw są twierdzenia, że Chińczycy nie stosują się do żadnych norm jakości i zanieczyszczają grunty, a następnie oferują tańsze, lecz naszpikowane chemią produkty. Nie kto inny, jak sam Paweł Grudin, niedawno kandydat partii komunistycznej na prezydenta, jakiś czas temu mówił o chińskich rolnikach: „Zatruwają ziemię w Chinach, używając zakazanych technologii, więc produkty rosnące w tej ziemi przyjmują toksyczne substancje. Nikt nie wie, czy nie robią tego samego w Rosji”. Najbardziej antychińskie nastroje panują jednak wśród populistów i nacjonalistów, od LDPR Żyrinowskiego poczynając, na niewielkich antyreżimowych skrajnie prawicowych organizacjach kończąc.

► Długi marsz

За czasów sowieckich odsetek Słowian w populacji żyjącej za Uralem wzrósł do 80 proc. To efekt polityki Stalina, oraz – później – dużych subsydiów dla robotników żyjących daleko od Europy. Jednak subsydia skończyły się za Gorbaczowa i wielu Rosjan czy Ukraińców zaczęło wracać na zachodnią stronę Uralu. Słowiański odsetek ludności Syberii i Dalekiego Wschodu spadł do 60 proc. Jeśli trend się utrzyma, to za dziesięć lat Słowian i nie-Słowian będzie po połowie. A po następnej dekadzie Słowian będzie mniej. Ale to wcale nie oznacza, że Chińczycy są postrzegani jako zagrożenie tylko przez Rosjan. Otóż być może nawet jeszcze bardziej boją się o przyszłość rdzenne miejscowe ludy. Bardzo aktywni w walce z chińską ekspansją są na przykład Buriaci – którzy podkreślają, że w przeciwieństwie do Rosjan żyją na tej ziemi od wieków, dużo lepiej znają chińskich sąsiadów i płynące z ich strony niebezpieczeństwa. Regularnie dochodzi do protestów ludności buriackiej przeciwko dzierżawieniu ziemi Chińczykom. Buriaci wskazują, że menedżerowie chińskich wielkich gospodarstw preferują sprowadzanie do pracy rodaków, a nie zatrudnianie lokalnej ludności. Powstają w ten sposób getta, gdzie Chińczycy rządzą się własnymi regułami, a rosyjskie prawo tam nie działa, zaś urzędnicy nie mają wstępu.

Pekin mówi niemal wyłącznie o biznesie, o gospodarce. To pasuje i Moskwie (z geopolitycznych względów Chiny w koncepcji Putina nie mogą być wrogiem czy rywalem), i miejscowym elitom, które dostają swoją „działkę” od chińskich inwestorów. Ale prędzej czy później i tak nastąpi drugi krok, czyli demograficzne, etniczne zmiany struktury ludności na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Chińskie władze starannie i subtelnie już się gotują do wielkiego skoku na drugi brzeg Amuru. Temu służy choćby nie tak dawna w sumie decyzja, że w regionach graniczących z Rosją obywatele mogą mieć już nawet troje dzieci (w całym kraju obowiązuje zasada dwójki dzieci). To tylko nasili ekspansję na wyludniające się obszary rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Polityka jednego dziecka do-

rzucenie planu wielkiego kanału. Ale cały czas działa chińska soft power. Coraz więcej Rosjan docenia możliwości, jakie dają Chiny. Rośnie zainteresowanie tym krajem, a wzrost współpracy i napływ Chińczyków zachęcają do nauki chińskiego. Kursy tego języka są oferowane na przeszło 100 uczelniach rosyjskich. W wielu przypadkach jest to język obcy pierwszego wyboru. W wyniku tego edukacyjnego boomu obecnie już kilkanaście tysięcy Rosjan posługuje się biegle językiem chińskim. Kilkaście tysięcy uczniów w rosyjskich szkołach uczy się chińskiego, głównie na Dalekim Wschodzie, Syberii i w Moskwie. Widoczne jest też inne ciekawe zjawisko – już przeszło 40 tys. emerytów z Syberii i Dalekiego Wschodu wyjechało do Chin. Ponad

JUŻ PRZESZŁO 40 TYS. EMERYTÓW Z SYBERII I DALEKIEGO WSCHODU WYJECHAŁO DO CHIN. PONAD 100 TYSIĘCY WYROBIŁO SOBIE WIZY NA CZASOWY POBYT W CHIŃSKIEJ REPUBLICE LUDOWEJ. POWÓD JEST JEDEN: DUŻO TAŃSZE ŻYCIE.

prowadziła w Chinach do tego, że mężczyzn jest o kilkadziesiąt milionów więcej niż kobiet. Z kolei na Syberii i Dalekim Wschodzie Rosji sytuacja jest odwrotna, to kobiet jest więcej niż mężczyzn. Nie ma się więc co dziwić, że małżeństwa chińsko-rosyjskie zaczynają robić się w tej części Azji coraz bardziej popularne. Tym bardziej że rosyjskie kobiety są dużo mniej wymagające od Chinek – zdaniem chińskich panów. Często wystarcza fakt, że Chińczyk jest pracowity i mało pije. Jakże inaczej niż wielu rosyjskich mężczyzn... Zresztą w historii takie zjawisko miało już miejsce, choć na mniejszą skalę. W drugiej połowie XIX wieku wielu Chińczyków przeniosło się na rosyjski Daleki Wschód. Większość mężczyzn szukała pracy i żeniła się z kobietami z rdzennych nielicznych ludów, takich jak Udygejowie, Nanajowie czy Oroczi. W ten sposób powstała nowa grupa etniczna Tazowie. Słowo „taz” to zrusyfikowany wariant chińskiego słowa „obcy”. Posługują się dialektem będącym mieszaną słów chińskich, rosyjskich i lokalnych ludów. W 1938 roku Moskwa zdecydowała się osiedlić ich w jednym miejscu, we wsi Michajłowska w rejonie Olgino. Dziś jest ich zaledwie kilkuset.

Państwo Środka jest niezwykle cierpliwe. Robi swoje systematycznie, unikając zbyt dużych napięć. Dlatego zapewne ustąpi w sprawie rozlewni wody nad Bajkałem i być może przełknie od-

100 tysięcy wyrobiło sobie wizy na czasowy pobyt w Chińskiej Republice Ludowej. Powód jest jeden: dużo tańsze życie. Emeryci szczególnie chwalą sobie niskie opłaty za wodę, prąd, internet, transport miejski, czynsz. Przybyszym z Rosji sprzyja też polityka Pekinu. Zgodnie z nią, jeśli liczba cudzoziemców w mieście przekracza 10 tys., w życie wchodzi specjalne reguły. Wprowadza się uproszczoną procedurę nabycia nieruchomości, w telewizji pojawiają się serwisy informacyjne po rosyjsku, w sklepach i transporcie publicznym można się porozumiewać po rosyjsku. Jest tak już w dziesięciu chińskich miastach w prowincjach graniczących z Rosją.

W ostatnich latach istnienia Związku Radzieckiego mawiano, że „optymiści uczą się angielskiego, pesymiści uczą się chińskiego, a realiści uczą się strzelać z kałasznikowów”. Któż by wtedy pomyślał, że trzy dekady później coraz więcej Rosjan będzie się uczyło chińskiego, a młodzi mieszkańcy Władywostoku czy Błagowieszczeńska będą coraz częściej wybierać płatne studia w Chinach niż bezpłatne u siebie. I nie będzie to pesymizm, a realizm. Jak w powieści Sorokina „Dzień oprycznika”, gdzie autor nakreślił futurystyczny obraz autorytarnej prawosławnej antyzachodniej Rusi moskiewskiej odgrywającej rolę energetycznego przydatku dla Chin. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Przeprowadzka do Polski jak powrót do Europy

► Jest Pan pesymistą?

Bywam tak postrzegany, sam uważam się za realistę. Perspektywy, przed jakimi stoi dziś Europa, są dalekie od tego, czego bym sobie dla niej życzył. Staram się podchodzić do procesów, które obserwuję, z dużą dozą realizmu.

► Europa czy zawężając – Unia Europejska stoi nad przepaścią?

Obawiam się, że tak. Jako historyk zajmujący się starożytnością kieruję się w ocenie dzisiejszych czasów pewnym bardzo konkretnym, zakorzenionym w historii widzeniu świata. Analizuję analogię procesów historycznych i kulturowych, konfrontuję przeszłość z teraźniejszością. Na takiej analizie opiera się moja książka „W drodze do imperium. Kryzys Unii Europejskiej i upadek republiki rzymskiej”.

► Książka, która ukazała się – przypomnijmy – w 2014 roku i wzbudziła duże zainteresowanie nie tylko wśród historyków. Dobrze pamiętam szerokie omówienia w prasie niemieckiej, nawet w tej nieprzychylnej Pańskiemu punktowi widzenia. Można powiedzieć, że trafił Pan w nerw, zainicjował ważną debatę.

Książka ukazała się pierwotnie w języku francuskim, od 2014 roku doczekała się kilku przekładów, niebawem pojawi się wersja w języku holenderskim. Wzbudziła więc w tym sensie spore zainteresowanie. Stałem się w niej ukazać, jak dalece kryzys tożsamościowy dzisiejszej Unii Europejskiej przypomina kryzys republiki rzymskiej w ostatnim stadium jej istnienia. Indykatory są bardzo podobne. Rzymianom nie była obca ani faza multikulturalizmu, ani problemy bezrobocia, rozpadu tradycyjnego modelu rodziny, masowej imigracji, zapaści demograficznej, spadku znaczenia klasycznej religii, takie zjawiska jak technokracja, populizm, fundamentalizm. To były wszystko podobne zjawiska do tych, z którymi boryka się dziś Unia Europejska. Szczyłkowa republika rzymska była naznaczona licznymi konfliktami, krwawymi wojnami domowymi i obawiam się, że podobnego scenariusza możemy się spodziewać w niedalekiej przyszłości w obrębie UE, przynajmniej na zachodzie Europy. Unia Europejska stoi na rozdrożu. Kryzys, jaki stanie się jej udziałem, nie musi być równoznaczny z kresem procesu zjednoczeniowego czy upadkiem Unii Europejskiej, lecz z całą pewnością będzie stanowić potężną historyczną cezurę.

Czujemy się w Polsce bardzo dobrze, odnajdujemy tu równowagę, której już nie ma w Belgii, i chcemy, by nasze dzieci dorastały w takiej atmosferze. Ja już wiele razy to powtarzałem, ale powiem to jeszcze raz: nasza przeprowadzka do Polski była dla nas jak powrót do Europy – z profesorem DAVIDEM ENGELSEM, historykiem, filozofem, głównym analitykiem Instytutu Zachodniego, rozmawia OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK.

fot. Leszek Szymański/PAP

► **I ta cezura wymusi wcielenie w życie liberalno-lewicowego hasła „więcej integracji” czy wręcz przeciwnie – przywróci wspólnocie kształt pierwotny, kiedy państwa miały więcej do powiedzenia niż brukselska centrala?**

Podążając tropem analogii, za tymi wszystkimi nitkami, które starałem się powiązać w mojej książce, faza niepokojów w Europie może doprowadzić do powstania państwa quasi-autorytarnego, takiego, które będzie w stanie okiełznać ścierające się żywioły, wprowadzić względną stabilizację. Jestem sobie w stanie wyobrazić twór zbudowany na wzór państwa Augusta. Pryncypat Augusta powstał na gruzach republiki, kiedy z jednej strony usiłowano jeszcze ratować jej klasyczne wartości, a z drugiej wdrażano już umiarkowanie konserwatywny ustrój. To była dziwna konstrukcja, gdzie na zewnątrz dalej podtrzymywano instytucje republiki, ale już homogeniczność i stabilność całości była gwarantowana osobą cesarza. Władcy, który postrzegał się jako siła zarządzająca, pośrednicząca między poszczególnymi stronami. Nie było to więc ani państwo totalitarne, ani monarchiczne, ale raczej coś, co nazywam imperiało-kompromisem. Kompromisem między dalej funkcjonującymi instytucjami pluralistycznymi, co minimalizowało ryzyko, że wszyscy znowu skoczą sobie do gardeł, ponieważ nad wszystkim czuwa cesarz mający niejako funkcję sędziego najwyższego, który rozdziela zwaśnione strony, odgrywa rolę mediatora i nadzorcy jednocześnie. I to jest chyba model, który czeka Europę tuż po okresie wzmożonych wstrząsów wewnętrznych.

► **Jak ta teoria przełoży się na europejską rzeczywistość dzisiejszej Unii Europejskiej, podzielonej przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu Europejskiego *de facto* na dwa obozy: liberalno-lewicowy forsujący totalną integrację i konserwatywny, który nie godzi się na superpaństwo kumulujące w swoich instytucjach pełnię władzy decyzyjnej? Czy Unia Europejska po wyborach do PE ma szansę zdefiniować się na nowo?**

Gra rozegra się na dwóch poziomach. Na poziomie zwyczajowej gry politycznej w instytucjach unijnych i na poziomie społeczeństw. W maju z pewnością dobry wynik uzyskają politycy konserwatywni i partie eurosceptyczne czy lepiej – uniosceptyczne, ale to nie będzie miało większych konsekwencji, ponieważ tym partiom – tak

jak to widzimy chociażby na przykładzie Francji czy Niemiec – mimo wiatru w żaglach nie udało się przekroczyć pewnego progu. I w przypadku Parlamentu Europejskiego spodziewam się podobnego scenariusza. Parlament Europejski po majowych wyborach będzie funkcjonował identycznie jak do tej pory. To samo dotyczy reszty instytucji unijnych, partie liberalno-lewicowe będą budować koalicje mające na celu temperowanie tych uniosceptycznych, podobnie jak to się dzieje w Bundestagu, gdzie praktycznie wszystkie partie ponad podziałami dążą do wykluczenia Alternatywy dla Niemiec (AfD). To swoją drogą paradoks, ponieważ AfD awansowała w międzyczasie do roli gwaranta utrzymania władzy przez chadeków. Stoi za tym dość prosty mechanizm: ponieważ żadna z partii nie chce wejść w koalicję z AfD, nie ma sposobu na to, by ominąć CDU-CSU, co wzmacnia ten obóz, czyniąc go nieodzownym. Przewiduję, że ten mechanizm zadziała w przyszłym Parlamencie Europejskim, fronty jeszcze bardziej się zaostczą, podziały będą wyraźniejsze, ale unijna góra, jaką znamy, nie zbroczy z utartej, wydeptanej latami ścieżki. Na niższym poziomie, na płaszczyźnie rozwoju społecznego, demograficznego i gospodarczego, spodziewam się kontynuacji kursu kolizyjnego. Europejczycy będą mieli coraz mniej dzieci, islam będzie się dalej rozprzestrzeniał, społeczeństwa równoległe ulegną dalszej radykalizacji, na ulicach zobaczymy jeszcze więcej przemocy, taka sytuacja jak ta z protestami „żółtych kamizelek” we Francji stanie się stałym elementem europejskiej rzeczywistości, formą pelżającej wojny domowej, która wrośnie niejako w tkankę europejskiej codzienności. To jest moja zwiędła, dwupoziomowa prognoza na najbliższych kilka lat funkcjonowania Unii Europejskiej.

► **Sytuacja, o której Pan mówi, nie wzięła się jednak z powietrza, na skutek zawirowań gospodarczych i demograficznych Europa stała się miejscem znacznie mniej obliczalnym niż jeszcze 10, 15 lat temu. Na pierwszy plan wysuwa się polityka imigracyjna krajów starej Unii, która trwale podzieliła państwa członkowskie, nadając wytartemu hasłu „Europy dwóch prędkości” nowego znaczenia. Jak dalece najnowszy napływ imigrantów do Europy zdeterminuje jej los na kolejne lata?**

W kwestii imigracji trzeba oddzielać specyfikę problemu, z jakim borykają się Niemcy, od tego, z którym od dekad ścierają się Francuzi czy Brytyjczy-

cy. We Francji zjawisko masowej imigracji jest znacznie starsze niż w Niemczech, od czasu I wojny światowej Francja stawała się domem dla coraz liczniejszych grup przybyszów z francuskich kolonii, zwłaszcza tych wyznających islam. W Niemczech imigracja zaczęła być tematem w latach 60. XX wieku, co miało związek z napływem obywateli Turcji, którzy w Niemczech podejmowali pracę i się osiedlali. Od 2015 roku natomiast Niemcy zaczęli odczuwać skutki masowej imigracji porównywalne z tymi, które stały się już dawno temu codziennością ich francuskiego sąsiada. W tym sensie Niemcy się „znormalizowały”, ponieważ mają dziś te same problemy co Francja. W Niemczech po zakończeniu II wojny światowej źle oszacowano sytuację, sprowadzono do pracy ludzi z państwa o odmiennej kulturze i tradycji religijnej, nie zastanawiając się głębiej nad tym, czy będą oni chcieli zostać na stałe czy nie, czy będą się chcieli integrować ze społeczeństwem niemieckim czy nie, długo panowało przekonanie, że gastarbeiterzy pozostaną tylko gośćmi i po pewnym czasie powrócą do ojczyzny. Poza tym absolutnie przeceniono atrakcyjność zachodnioeuropejskiego modelu kulturowego dla nowo przybyłych. Niemcom szczególnie trudno było zresztą przekonać chociażby Turków do tego, że ten niemiecki model jest najlepszy, doświadczenia powojenne nie pozwalały na poczucie dumy z własnego narodu i jego osiągnięć, trudno zarazić obcych entuzjazmem dla wartości państwa, które funkcjonuje w poczuciu zbrodniczej traumy. W ostatnich latach w Niemczech natomiast ukształtował się swoisty system afirmacji imigracji, można śmiało powiedzieć – jest to przemysł imigracyjny oparty na ideologii multikulturalizmu. I nie chodzi tylko o zapatrywanie i działania klasy politycznej, z której przecież zawsze można zrezygnować przy okazji kolejnych wyborów na rzecz nowej, lecz o całą generację dziennikarzy, przedsiębiorców, organizacji charytatywnych etc. zaangażowanych w podtrzymywanie systemu proimigracyjnego.

Wszystkie te grupy stanowią trzon kompleksowego przemysłu imigracyjnego, z jednej strony czerpiąc z niego zyski, z drugiej napędzając go. Jeżeli ktoś oparł całe swoje życie na krzewieniu ideologii multikulturalizmu, to nie będzie mu łatwo zejść z utartej drogi. Zatrzymanie tej maszyny czy też przestawienie jej na inne tory wydaje się już niemożliwe. Sprawy zaszły bowiem za daleko, liczba imigrantów, którzy w międzyczasie przybyli do Niemiec, jest naprawdę pokaźna, nie da się tego wszystkiego teraz z dnia na dzień odrzucić, nawet gdyby była po temu wola. To dotyczy oczywiście nie tylko Niemiec, lecz także całej Europy Zachodniej.

► A nad wszystkim unosi się widmo nieboszczki multi-kulti.

Idea multi-kulti poniosła spektakularną porażkę. Przynajmniej pewna forma multikulturalizmu, dotycząca integracji, stanowczo nie zdała egzaminu. Widoczne są różnice w tym, jak integrują się ze społeczeństwami zachodnioeuropejskimi imigranci należący do mniejszości muzułmańskiej, a na przykład ci pochodzący z państw Czarnej Afryki i ze wschodniej Azji, ta druga grupa rzadziej przewija się w mediach, jest zdecydowanie mniej ekspansywna od mniejszości muzułmańskiej. Chińczycy nie chcą nawracać całego świata na konfucjonizm, imigranci z Afryki i tak w większości wyznają chrześcijaństwo, a islam jest religią z potencjałem ekspansjonistycznym i jego wyznawcy nie ograniczają się do życia islamem we własnej grupie, lecz dążą do jego rozprzestrzeniania. To jedno. A drugi problem, moim zdaniem dużo poważniejszy, nie wynika nawet z obecności mniejszości muzułmańskich jako takich w Europie, absurdem byłoby im non stop wypominać, że zachowują się zgodnie ze swoim dziedzictwem kulturowym, który zaimportowali z państw pochodzenia. Problem tkwi gdzie indziej. Jest nim sama kultura europejska, która nie przejawia wystarczającej siły przebiccia lub woli, by zaproponować przybyszom pewną formę atrakcyjnej alternatywy do kultury i tradycji, z której się wywodzą. Zamiast takiej sensownej propozycji w Europie Zachodniej obserwujemy skłonność do degradowania własnych wartości do poziomu jednej z wielu mniejszości, do rozplywania się na tzw. równych prawach w tym multikulturalnym tygłach nadziei, że dzięki zanikowi kultury przewodniej wszystkim będzie żyło się łatwiej i przyjemniej. To błąd, ponieważ taka postawa tylko zniechęca nowo przybyłych do podjęcia jakiegokolwiek wysiłku, by się dostosować. Nie sposób integrować się w zgodzie z wytycznymi, których najzwyczajniej nie ma. Rodzi to sytuację zawieszenia utrudniającego, a nie ułatwiającego życie wszystkim członkom społeczeństw zachodnich.

► Politycy i eksperci, którzy chociażby w Niemczech podnosili kwestię budowania modelu integracji w oparciu na kulturze przewodniej (niem. Leitkultur), zderzyli się ze ścianą niezrozumienia. Bassam Tibi czy Friedrich Merz nie zdołali przekonać elit politycznych do przeorientowania polityki integracyjnej, zwłaszcza w odniesieniu do mniejszości muzułmańskiej. Jeżeli im się nie udało, to komu może?

Bassam Tibi, z którym pozostaję w kontakcie, pi-
sał mi o swojej frustracji, o porażce tzw. euroislam-
u. I to jest problem. Zwłaszcza że sprawy i tak nie da się
zamknąć, ponieważ przynajmniej w Europie Za-
chodniej będziemy musieli wypracować jakąś formę
porozumienia z islamem, tego nie da się obejść.
Oczywiście pojawiają się głosy, że jeszcze wszystko
na zachodzie Europy będzie można odkręcić, że po-
wrót do kondycji sprzed dwóch, trzech generacji
– czyli do monokulturalnej tradycji chrześcijańskiej
– jest jeszcze możliwy. Nie jestem przekonany do tej
tezy. Zmiany demograficzne, jakie zaszły w Europie
w ostatnich kilkudziesięciu latach, są zbyt głębokie.
Bardziej realistyczne jest oczekiwanie, by tradycja
chrześcijańska przestała się sama degradować do po-
ziomu mniejszości we własnym domu, tylko wyzna-
czyła ramy określające zasady integracji dla prawdzi-
wych mniejszości. Tak by chrześcijaństwo było regu-
łą, a społeczności muzułmańskie wyjątkiem i by nikt
tego porządku nie kwestionował.

A ten porządek jest dziś nagminnie kwestionowa-
ny. Jeżeli na 100 osób, 99 mówi „A”, a jedna „B”, to
poprawny politycznie człowiek stwierdzi, że zdania
są podzielone, tymczasem prawdziwy obraz wygląda
tak, że większość ma inne zdanie niż mniejszość. Nie
twierdę, że zdanie tej mniejszości należy zignoro-
wać, trzeba je tolerować, ale nie wolno go traktować
jako równorzędne, ponieważ nim nie jest. Matema-
tycznie to jest jeden do 99. A w dzisiejszej Europie,
w debacie publicznej zamiast wartościować, stawia
się znak równości. Rezultatem jest narastająca nie-
pewność. Dochodzi do sytuacji, gdzie Europejczycy
czują się u siebie często obco, a przybysze tracą orien-
tację w świecie pozbawionym jasnych reguł. Bywa,
że się radykalizują, ponieważ z ludźmi jest czasem
jak z małymi dziećmi, trzeba im zaproponować ramy,
coś, czego można się trzymać, czego nie należy też
przekraczać. Jeżeli nie ma się czego złapać, zaczyna
się problem. Jeżeli nie ma granic, wszystko wolno.

► **12 lutego tego roku w Instytucie Kultury
Polskiej w Berlinie Instytut Zachodni
zorganizował międzynarodową debatę
poświęconą tożsamości narodowej w Europie.
Wywiązała się żywiołowa dyskusja, nie tylko
wśród panelistów. Dziennik „Die Welt” poświęcił
temu wydarzeniu dwie strony w papierowym
wydaniu. Warto było jechać do Berlina?**

Zależało nam w Instytucie Zachodnim, by ta
debatą nie odbyła się w Polsce, tylko właśnie
w Niemczech, gdzie pojęcie tożsamości budzi spo-
re kontrowersje. Zazwyczaj to Niemcy komentują
pewne zjawiska i wydarzenia zachodzące w Polsce

czy na Węgrzech, oceniając swoich sąsiadów, mie-
szając się niejednokrotnie w sprawy innych
państw. Pomyśleliśmy, że warto się przed tym bro-
nić. Zainicjować dyskusję, której punktem wyjścia
będzie nasza perspektywa, a nie niemiecka, i że to
ona wybrzmi w Berlinie.

► **Ciekawe z punktu widzenia obserwatora
było to, w jaki sposób niemieccy paneliści
odnosili się do swojej tożsamości. Jedna
z uczestniczek mówiła nawet o genie niemieckiej
samonienawiści, dziedzictwie zbrodni II wojny
światowej. Jak to jest z tym niemieckim
poczuciem winy?**

Wielu Niemcom ma problem z tożsamością, prze-
miej zbrodni II wojny światowej wciąż jest wyczuwal-
ne. Doświadczenie narodowego socjalizmu utrudnia
Niemcom rozwinięcie zdrowego poczucia dumy na-
rodowej, co jest zresztą w pełni zrozumiałe. To, co
mnie jednak wyjątkowo ciekawi, to fakt, że poczucie
winy jest dziś znacznie większe niż jeszcze dwadzie-
ścia lat temu. Ta samonienawiść przybiera na sile,
cała niemiecka tożsamość opiera się dziś na odrzu-
ceniu narodowego socjalizmu i jednocześnie na
odrzuconiu całej niemieckiej historii widzianej ja-
ko pasmo wydarzeń, których kulminacją było po-
wstanie III Rzeszy. Te teorie są po części kuriozal-
ne, kiedy podaje się przykłady, że już za czasów
Karola Wielkiego kielkował narodowy socjalizm,
że Luter i Fryderyk Wielki byli jego kolejnymi qu-
asi-prekursorami, teorie nienależące, ale i takie
istnieją. Jednocześnie – i to jest zjawisko niebez-
pieczne – Niemcy z tej samonienawiści i nieustan-
nego rozliczania się z samymi sobą rozwinięli pewną
skłonność do poczucia wyższości moralnej nad resz-
tą państw Europy. Niemcy zmutowały w kierunku
moralnego zwierznika, który wie, co jest słuszne
i dobre, nie tylko dla siebie, lecz także dla wszystkich
dookoła.

► **To jest zresztą teza postawiona przez
niemieckiego publicystę Josefa Joffego, który
poświęcił całą książkę ewolucji państwa
niemieckiego od wyrzutka Europy do moralnego
supermocarstwa...**

Tak, Niemcy z doświadczenia Holocaustu wycią-
gnęli dziwny wniosek, że dziś nikt nie ma prawa ich
za nic krytykować, ponieważ uderzyli się w piersi
i odcięli od zbrodniczej przeszłości. Z pozycji pariasa
awansowali do stopnia nauczyciela, który ma prawo
pouczać innych. To nie jest fenomen czysto niemiec-
ki, ponieważ przekłada się na całą Europę.

► **Porozmawiajmy o Panu. Wyemigrował Pan z Belgii do Polski, tutaj wraz z rodziną otworzył Pan nowy rozdział swojego życia. Co było tym impulsem, który kazał Panu spakować walizki i wynieść się nad Wisłę?**

Na moją decyzję miało wpływ wiele różnych czynników, ale jednym z bardziej istotnych było to, że moja rodzina i ja odczuwaliśmy atmosferę panującą w Belgii jako toksyczną. Samonienawiść rdzennej społeczności, wszechobecne poczucie beznadziei zwykłych ludzi i z drugiej strony polityczno-poprawnościowy optymizm klasy politycznej, która zamiata problemy pod dywan. Poza tym w mieście, w którym żyliśmy, blisko 25 procent mieszkańców stanowili muzułmanie, centrum miasta jest prawie wyłącznie muzułmańskie, to samo dotyczy szkół. Belgijscy rodzice zabierają dzieci z placówek w mieście, wyprowadzają się na prowincję i posyłają dzieci do wiejskich szkół. To jest pewna sytuacja, gdy własny dom w ciągu nie setek, lecz kilkunastu lat staje się nagle obcym miejscem. Trudno nam było w takich warunkach wychowywać dzieci, w powietrzu czuć było agresję, niepokój, jak w oczekiwaniu na jakąś iskrę, która wznicił wielki pożar i wszystko wyleci w powietrze. Burmistrz naszego miasta przyznał otwarcie, że znajdujemy się na krawędzi wojny domowej, że nie wolno prowokować miejscowych muzułmanów, bo grozi to eskalacją konfliktu. Ponieważ wielokrotnie odwiedzaliśmy Polskę i podobała nam się tutejsza atmosfera, postanowiliśmy wyjechać właśnie do niej. Czujemy się tu bardzo dobrze, odnajdujemy równowagę, której już nie ma w Belgii, i chcemy, by nasze dzieci dorastały w takiej atmosferze. Już wiele razy to powtarzałem, ale powiem to jeszcze raz – nasza przeprowadzka do Polski była dla nas jak powrót do Europy. Moja belgijska ojczyzna już dawno przestała być prawdziwą Europą. I mam wielką nadzieję, że Polska pozostanie taką właśnie prawdziwą Europą, że nie podzieli losu państw starej Unii.

► **To, co Pan właśnie powiedział, na Zachodzie, w kręgach liberalno-lewicowych zostałoby pewnie uznane za herezję. Polska jest oskarżana przez Komisję Europejską o łamanie praworządności, w wielu zachodnioeuropejskich mediach Warszawa to synonim strasznego reżimu.**

Nie jestem na tyle biegły w sprawach dotyczących prawa czy reformy sądownictwa, by kompetentnie się wypowiedzieć na pewne tematy, ale z dotychczasowych obserwacji mogę tylko powiedzieć, że to, co wdrożono w Polsce, wcześniej wprowadzano w innych państwach europejskich. Z pewną jednak istot-

ną różnicą. Tam robiono to rękoma elit poprawnych politycznie. Okazuje się więc, że nie jest istotne, jakie reformy się wdraża, ale kto za nimi stoi, i jeżeli jest to rząd konserwatywny, to wtedy wszelkie zmiany uznaje się za nadużycie. Typowy przykład stosowania podwójnych standardów. Unia Europejska nie mieszała się w sprawy hiszpańskie na fali wydarzeń katalońskich, w Brukseli po prostu uznano, że rzecz dotyczy wewnętrznych spraw tego kraju. Kiedy we Francji pacyfikowano protesty „żółtych kamizelek”, Bruksela milczała. Kiedy władze w Niemczech zmieniły prawo wyborcze w Berlinie-Brandenburgii, też zapadła cisza. Tymczasem Polsce grozi się palcem, przedstawia w mediach w najgorszym świetle, w prasie belgijskiej jako państwo niemal faszystowskie. Kiedy stawia się Polskę czy Węgry na równi z Putinowską Rosją, Turcją prezydenta Erdoğan czy z komunistycznymi Chinami, to naprawdę trudno to komentować. Zwłaszcza że media w Polsce są o wiele bardziej różnorodne niż te zachodnie, gdzie wszystko jest podporządkowane ideologii politycznej poprawności. W Polsce widzę większą wolność słowa, większe zróżnicowanie pod względem przekazu, są media liberalne, lewicowe, konserwatywne, każdy ma możliwość zaprezentować swoje zdanie. W mediach zachodnich panuje jednolity przekaz, rzadko kiedy coś wymyka się ramom politycznej poprawności, co w konsekwencji prowadzi do tego, że grupy żyjące w poczuciu wykluczenia czy braku reprezentacji medialnej radykalizują się.

► **Podobno to Polacy się radykalizują...**

Tak twierdzą media na zachodzie Europy. Sam sprawdziłem i nie mogę potwierdzić. Co roku na przykład w prasie belgijskiej czy niemieckiej pisze się o marszach 11 listopada jako o „faszystowskich pochodach”. W ubiegłym roku postanowiłem sam przekonać się, na ile te przemarsze są groźne. Wybrałem się z synkiem, już w metrze mogłem obserwować potok rodziców z dziećmi, mnóstwo flag i małych chorągiewek w barwach narodowych. Pomyślałem sobie, że te wszystkie rodziny z dziećmi nie wyglądają na faszystów, tylko na spokojnych ludzi, którzy w radosnej atmosferze przyszli świętować bardzo ważny dzień dla historii swojego kraju. Wśród uczestników były też osoby duchowne, weterani wojenni, przedstawiciele mniejszości żydowskiej, mnóstwo młodych ludzi, którzy w patriotycznej, a nie nacjonalistycznej atmosferze postanowili uczcić święto narodowe. Jestem Belgiem i w moim kraju nie ma czegoś takiego jak chluba narodowa. Tu widok tych wszystkich Polaków dumnych z historii swojego państwa zrobił na mnie niesamowite wrażenie. ■



Hanna Shen



Szczyt Trump–Kim. I co dalej?

Zerwaniem rozmów z Kim Dzong Unem w Hanoi Trump potwierdził, że bez denuklearyzacji nie ma możliwości zniesienia sankcji wobec Korei Północnej, a także wysłał ostrzeżenie do Pekinu, który próbuje zakończyć konflikt handlowy z USA, że Waszyngton w każdej chwili może odejść od stołu rozmów. W Stanach powracają też głosy, że poza zwiększoną presją na Pjongjang trzeba uderzyć w instytucje, które wspierają reżim Kima, głównie chińskie banki.

Drugi szczyt Donalda Trumpa i Kim Dzong Una, który odbył się pod koniec lutego w Hanoi, przedstawia się często jako klęskę amerykańskiego prezydenta. Nic bardziej błędne. Zarówno Pjongjang, jak i Pekin były niemal pewne, że w trakcie spotkania Trump–Kim zostanie zawarte porozumienie, a może nawet deklaracja pokojowa – jeszcze nie traktat kończący wojnę koreańską*, lecz dokument będący wstępem do niego, który Kim i chiński prezydent Xi Jinping będą mogli wykorzystać jako pretekst do nacisków na USA, by wycofały swoje wojska z Korei Płd. Donald Trump odszedł od stołu rozmów z Kimem, ponieważ ten za zniesienie większości sankcji nie obiecywał całkowitej likwidacji arsenału i zakładów produkujących bomby, a jedynie demontaż jednego ośrodka nuklearnego. „Koniec sankcji oznaczałby, że Korea Północna znów zaczęłaby uzyskiwać przychody, które mogłaby wykorzystywać do ulepszania już posiadanych bomb i technologii raketowej. Zachęta dla Północy, by wyrzekła się broni, znikłaby” – pisało w amerykańskim dzienniku „The Wall Street Journal”.

W trakcie konferencji, już po zerwaniu negocjacji z Kimem, Trump powiedział też coś, co niepokoi Xi Jinpinga: „Mówiąc o Chinach, jesteśmy na dobrej drodze do osiągnięcia czegoś wyjątkowego. Ale zobaczymy. Zawsze jestem gotów odejść od stołu rozmów. Nigdy nie boję się odstąpić od zawarcia umowy i zrobiłbym to również z Chinami, gdyby miało się nie udać”.

Amerykański prezydent wysłał jasny sygnał Pekinowi, który cały czas negocjuje deal handlowy z Waszyngtonem, że to samo może spotkać Chiny – w każdej chwili Trump jest w stanie odstąpić od rozmów z nimi. Strona chińska bardzo naciskała na kolejne spotkanie prezydenta Xi z Trumpem, licząc, że wtedy będzie jej łatwiej załagodzić konflikt, m.in. oferując zwiększony zakup amerykańskich towarów. To zmniejszyłoby deficyt USA w handlu z Chinami, ale nie rozwiązałoby głównych problemów stawianych przez administrację Trumpa w rozmowach z Pekinem, m.in. kradzieży własności intelektualnej i wymuszonego transferu technologii ze strony Państwa Środka. Kolejny szczyt Trump–Xi byłby także propagandowym sukcesem dla prezydenta Chin, który coraz bardziej krytykowany jest za swoją politykę nawet w kręgach Komunistycznej Partii Chin i przez chiński świat biznesu.

Po zerwaniu przez Trumpa rozmów z Kim Dzong Unem strona chińska już tak nie naciska na kolejny szczyt Trump–Xi. Początkowo mówiono, że może do niego dojść nawet w marcu. Teraz wspomina się o kwietniu, ale wielu komentatorów uważa, że jeśli w ogóle odbędzie się on w pierwszej połowie tego roku, to będzie sukces. Poza tym Xi Jinping rozumie, że musi poważnie traktować

kwestie wysuwane przez Waszyngton, takie jak ochrona własności intelektualnej czy kradzież technologii, jeśli nie chce, by Trump zostawił go samego przy stole rozmów.

► Błąd Trumpa

Mimo wszystko w Hanoi nie obyło się bez wpadki Trumpa, a dotyczyła ona wypowiedzi na temat odpowiedzialności za śmierć amerykańskiego studenta Otto Warmbiera.

W marcu 2016 roku Warmbier został skazany przez północnokoreański sąd na 15 lat ciężkich robót za próbę kradzieży transparentu propagandowego w czasie podróży po Korei Płn. Według sądu w Pjongjangu student miał „taktyczne przyzwolenie amerykańskiego rządu”, działał „pod wpływem jego manipulacji”, a jego zachowanie było „zgodne z wroga amerykańską polityką wobec Korei Północnej”. W czerwcu 2017 roku w wyniku działań administracji Donalda Trumpa Otto Warmbier został przekazany Amerykanom. Niestety okazało się, że chłopak jest w śpiączce i wymaga pilnej opieki medycznej. Warmbier zmarł sześć dni po uwolnieniu.

Strona północnokoreańska twierdziła, że student zaraz po procesie zachorował na botulizm (zatrucie jadem kiełbasianym) i zapadł w śpiączkę po zażyciu tabletki nasennej. Według lekarzy, którzy zajmowali się Warmbierem w amerykańskim szpitalu, młody mężczyzna doświadczył poważnego urazu mózgu. Na konferencji prasowej zorganizowanej po przewiezieniu Otto do szpitala jego ojciec, Fred Warmbier, poinformował, że syn „był terroryzowany i bardzo brutalnie potraktowany” w czasie uwięzienia. Pod koniec zeszłego roku sąd federalny w Waszyngtonie orzekł, że „Korea Północna ponosi odpowiedzialność za tortury, porwanie i pozasądową egzekucję Otta Warmbiera”, a rodzinie zmarłego studenta przyznał 500 mln dolarów odszkodowania, które ma zapłacić reżim w KRLD.

Na szczycie w Hanoi kontrowersje wywołało to, co odnosząc się do sprawy Warmbiera, powiedział Donald Trump. Przyznał, że uwierzył w twierdzenia Kima, iż ten nie był świadomy tego, w jaki sposób traktowano Warmbiera podczas pobytu w więzieniu. Słowa Trumpa spotkały się, i to zasłużenie, z falą krytyki. W państwie tak ostro kontrolowanym przez komunistycznego przywódcę nie jest możliwe, by ten nie widział i nie miał swojego udziału w tym, co stało się z amerykańskim obywatelem więzionym w jego kraju. Zdejmowanie odpowiedzialności z przywódcy reżimu z pewnością nie jest tym, czym powinien zajmować się lider wolnego świata.

Donalda Trumpa skrytykowali za tę wypowiedź m.in. republikańscy politycy, choćby jego bliski sojusznik senator Lindsey Graham, który stwierdził, że nie wierzy w wersję wydarzeń przedstawioną przez Kima, oraz rodzice Otto Warmbiera, którzy bezpośrednią winą za śmierć ich syna obarczają przywódcę Korei Płn.

* Wojna koreańska zakończyła się w 1953 roku zawarciem rozejmu, a nie traktatu pokojowego.

► **Głód i pasożyty**

Administracja Trumpa z pewnością wysnuła jeszcze jedną lekcję ze szczytu w Hanoi. Kim Dzong Un rozpoczął jedną pragnie zniesienia sankcji. Na konferencji prasowej, jaką strona północnokoreańska zorganizowała po zerwaniu rozmów przez Trumpa, przedstawiciele Pjongjangu tłumaczyli, że chcą zniesienia sankcji ze względów humanitarnych.

Według raportu przedstawionego na początku marca tego roku produkcja żywności w Korei Płn. spadła w zeszłym roku do najniższego poziomu od ponad dziesięciu lat, zarówno ze względu na klęski żywiołowe (tajfuny, powodzie), jakie nawiedziły ten kraj, jak i w związku z międzynarodowymi sankcjami nałożonymi na Pjongjang. W 2018 roku w Korei Płn. wyprodukowano o 503 tys. ton mniej żywności niż rok wcześniej. W informacjach, jakie Pjongjang wysłał do ONZ jeszcze przed szczytem z Trumpem, poinformowano, że w związku z brakiem żywności zmniejszone zostaną racje żywnościowe dla pracowników umysłowych i fizycznych z 550 g do 300 g dziennie na osobę. Z raportu ONZ z marca zeszłego roku wynika że w 25-milionowej Korei Północnej ponad 41 proc. mieszkańców jest niedożywionych.

Głód dotyka nawet armię. Według Radia Wolna Azja (RFA) mieszkający na wsi Koreańczycy z Północy coraz częściej narzekają na to, że ich domy i gospodarstwa są ograbiane przez zdesperowanych żołnierzy. „Coraz więcej żołnierzy włamuje się ostatnio do domów cywilnych. Choć są w trakcie zimowego okresu ćwiczeń wojskowych, podczas którego obowiązują bardzo ściśle zasady, to jednak żołnierze wynykają się w nocy i włamują do domów lub budynków gospodarczych” – powiedział RFA jeden z mieszkańców w prowincji Kangwon w Korei Płn.

Gdy pod koniec 2017 roku północnokoreański żołnierz uciekł przez linię demarkacyjną w Panmundżomie i dostał się do Korei Południowej, podczas jego leczenia w południowokoreańskim szpitalu lekarze znaleźli w jego ciele tylko twarde ziarna kukurydzy i liczne pasożyty. Stacjonujące w strefie zdemilitaryzowanej wojska Korei Płn. zwykle otrzymywały najlepsze racje żywnościowe. To dowodzi, jak ciężkie muszą być warunki w pozostałych częściach kraju. „Rzeczywistość jest taka, że wojsko nie ma wystarczających zapasów. Mają mało ryżu dla żołnierzy, więc nie ma mowy, żeby powstrzymali ich przed kradzieżą” – mówił mieszkaniec Korei Północnej Radiu Wolna Azja.

► **Uderzyć w patronów Korei Północnej**

Ale Kim Dzong Un mówiący o potrzebie zniesienia sankcji ze względów humanitarnych nie ma oczywiście specjalnie na sercu losu swoich obywateli. Biorąc pod uwagę, że w tej chwili w gułagach Korei Płn. przebywa

około 120 tys. osób, to poprawa warunków życia północnych Koreańczyków jest jednym z ostatnich zmartwień wodza KRLD.

Kim bardziej obawia się złej sytuacji w samej armii, a także tego, że przy sankcjach nawet pomoc od sojuszników takich jak Chiny i Rosja jest coraz bardziej utrudniona. W najbliższym czasie aby uzyskać jakieś ustępstwa ze strony Trumpa, Pjongjang może straszyć powrotem do rozbudowy programów rakietowych i nuklearnych. Zresztą to już się dzieje. Według dwóch amerykańskich think tanków – 38 North i Center for Strategic and International Studies, a także według południowokoreańskiej agencji Yonhap, KRLD podjęła się odbudowy poligonu rakietowego Sohae, którego likwidację rozpoczęła w zeszłym roku. W czerwcu 2018 roku po pierwszym szczycie Trump–Kim na poligonie rozebrano budynek pomocniczy do montażu rakiet, platformę do wystrzeliwania rakiet, a także tory kolejowe pomiędzy tymi budynkami. Po miesiącu prace wstrzymano i powrócono do nich kilka tygodni temu – tylko nie do dalszego demontażu, lecz do rekonstrukcji. Zdjęcia satelitarne pokazują, że odbudowano budynek pomocniczy do montażu rakiet. Na razie niewiele, ale ma to być sygnał dla Trumpa, że napięcie może wrócić, jeśli nie zgodzi się na zniesienie sankcji za obietnicę Pjongjangu stopniowej denuklearyzacji.

Ze strony amerykańskiej płyną sygnały, że nie ma co na to liczyć. Wręcz przeciwnie. Jeszcze przed szczytem w Hanoi John Bolton, doradca prezydenta Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego, mówił, że „pomyśl, iż zamierzamy złagodzić sankcje nałożone na Koreę Północną, nie jest czymś, co jest po prostu brane pod uwagę. Dopóki nie będzie denuklearyzacji, będziemy maksymalnie wywierać presję na Koreę Północną, tak jak w przypadku Iranu”.

Ale USA powinny pójść dalej i kwestie presji rozszerzyć także na Chiny. Celem Waszyngtonu powinny stać się chińskie banki, o których, jak pisze w analizie dla konserwatywnego think tanku Heritage Foundation Olivia Enos, „Ameryka wie, że są odpowiedzialne za pranie pieniędzy dla Pjongjangu, i powinna (w tym przypadku) bardziej aktywnie wykorzystywać organy odpowiedzialne za sankcje, a zorientowane na przestrzeganie praw człowieka”.

W podobnym tonie wypowiedział się dla amerykańskiego portalu Washington Examiner republikański kongresmen Ted Yoho. Według niego Chiny i Rosja robią wszystko, by nie było rozwiązywania kwestii północnokoreańskiej, a ekonomiczną presję na Koreę Płn. można zintensyfikować tylko poprzez uderzenie w międzynarodowych patronów Pjongjangu, w tym w instytucje finansowe w Chinach. Yoho dodaje, że coraz więcej kongresmenów jest zaniepokojonych tym, iż Trump nie robi wystarczająco dużo, by „uciąć ekonomiczne powiązania Korei Północnej z Chinami”.

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl 8612150a20

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Szybko przeliczam sobie upiorną statystykę zabójstw. Wynika z niej, że dziennie mordują tu dwójkę mieszkańców. Wolę czym prędzej opuścić to miasto. I pojechać kawałek dalej. Nadal jednak w Hondurasie. To w końcu do tego państwa przyjechałem.

Pomimo wszystko wciąż bezpieczna wyspa







Tutaj nawet łódki nazywa się jak finalistki konkursu miss

David skroluje myszą kolejne mejle na swojej skrzynce mejlowej. I znów to samo. „Cześć. Wybieram się do Hondurasu. Mój samolot ląduje na lotnisku w San Pedro Sula. Czy to na pewno bezpieczne miejsce? Czy może lepiej zmienić destynację?”. David tylko ciężko wzdycha. Po kilku chwilach otwiera kolejną wiadomość. Zatytułowaną z kolei słowami: „Prośba o pomoc”. W treści podobne pytanie do tego poprzedniego: „Czy wychodząc pod wieczór z lotniska może grozić mi, że ktoś mnie postrzeli?”. Nie, wystarczy. Na dziś jest już tego zdecydowanie za dużo. David wyłącza komputer. I prostując się na fotelu, oddycha z ulgą. Dziś nie będzie nawet obrabiał zrobionych wczoraj zdjęć. Trudno. Tym razem to praca po czeka. Musi odetchnąć.

► Dziewięćlatkowie na usługach mafii

David jest fotografem. Robi zdjęcia modelkom. Ma pieniądze. Żyje na poziomie. Urodził się tutaj, w San Pedro Sula. W północnym Hondurasie. W międzyczasie mieszkał też w Niemczech, w Panamie. Tęsknota jednak zwyciężyła. Wrócił do rodzinnego miasta. Dziś odwieżdżają go jego zagraniczni koledzy. Wpytując uprzednio o bezpieczeństwo w jego rodzimym mieście. David ma jednak serdecznie dość ciągłego tłumaczenia,

że nic im tu nie grozi. Dobrze wie, że nie przebiją się przez medialną panikę. Takie informacje sprzedają się przecież zdecydowanie lepiej. Trudno się jednak dziwić, w końcu mało zaszczytny tytuł „stolicy śmierci” nadany miastu przez gazety nie wziął się znikąd. W rankingu najbardziej niebezpiecznych miast świata honduraskie San Pedro Sula przebiło już meksykańskie Ciudad Juárez i somalijskie Mogadiszu. W 2013 roku zginęło tutaj 169 osób w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców. Pod tym względem w całym Hondurasie jest ciut lepiej. Wciąż jednak nadal źle. Według Biura ONZ ds. Narkotyków i Przestępczości państwo to charakteryzuje jeden z najwyższych na świecie wskaźników zabójstw. Wspomniany współczynnik na poziomie całego kraju wprawdzie spada, ale nadal wynosi aż 90 osób.

Wszystko wiąże się z ogromnymi falami uciekinierów ekonomicznych i humanitarnych usiłujących dostać się przez Meksyk do Stanów. Przemylem ludzi trudni się honduraska mafia. To ona wyludza haracze, handluje narkotykami. Najgorzej jest w biednych dzielnicach miast. Choćby takich jak to. Ulice niektórych dzielnic San Pedro Sula praktycznie w całości opanowane są przez potężne gangi narkotykowe, które nieustannie prowadzą ze sobą krwawe wojny o dominację. O wpływy, a co za tym idzie – o zyski finansowe. Nazwę gangu Mara Salvatrucha wymienia się tutaj szeptem. Są brutalni i bezlitośni. I liczni. W struk-



Szkolenie PADI. Czyli przyszli nurkowie z instruktorem

turze grupy w samej tylko Ameryce Środkowej znajduje się dziś około 100 tys. członków. Kolejne 50 tys. angażuje się w działalność na terenie Stanów Zjednoczonych. Podobną sławę ma gang 18Calle. Grupa werbuje nawet dziecięciolatków. Co decyduje o przyjęciu? Inicjacja. Czyli wytrzymanie 18-sekundowego bicia przez pozostałych członków bandy.

– To wszystko prawda – przyznaje David. – Ale umówmy się... Turysta w Hondurasie ma jednak nieco inne prawa. Od wyjścia z lotniska bardzo się wyróżnia. Chociażby kolorem skóry. Ludzie cię widzą. Jesteś na cenzurowanym. Również służb i policji. Mają cię na oku. Jeśli zachowasz podstawowe zasady bezpieczeństwa, nic ci się nie stanie.

– Nie bój się Hondurasu. Zresztą... – zawiesza z kolei głos świeżo poznany blondwłosy Szwajcar. – Tam nie ma nic ciekawego poza Utila Island. To taka wyspa kilka kilometrów od północnego wybrzeża Hondurasu. Sex, drugs i rock&roll! Tam pojedź! Na Utila Island nic ci nie grozi. A to jednak zawsze Honduras! – dodaje, rozmarzając się w hamaku.

► Feralny wieczór

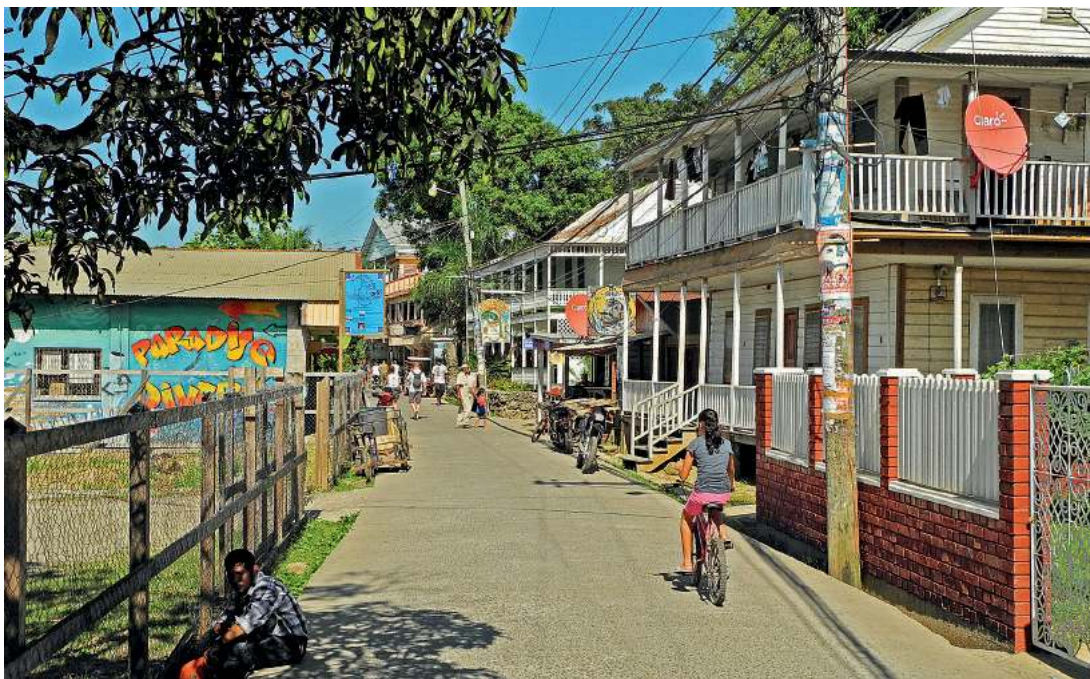
Brad z załogą płyną już któryś tydzień. Po idylli spędzonej na ciepłych wodach Karaibów przyszła pora na

wybrzeże Hondurasu. Bardzo dobrze znają opinię o tym kraju w żeglarskim świecie. Niejednokrotnie słyszeli ostrzeżenia, aby uważać w portach. Nie dać się obrabować. Zachować czujność. Nawigacja pokazuje, że zostało im jeszcze nieco ponad 150 mil. Na Utila Island powinni być pod wieczór.

Karaibska stolica taniego nurkowania wita ich ciepłą wieczorną bryzą. Brad przykłada lornetkę do oczu. Póki co na brzegu nie widać nikogo. Jedynie szczelnie zabudowana domami południowo-wschodnia część wybrzeża świadczy, że ktoś tutaj w ogóle mieszka. Motorówki rytmicznie kołyszą się na łagodnym przyboju, zacumowane do drewnianych pali wystających metr nad wodę. Przybrzeżna uliczka wygląda na opustoszałą. Brad kieruje ster na największe ze wszystkich betonowe molo. To Utila Municipal Dock, do którego cumują codziennie dwa promy przywożące na wyspę ludzi z kontynentalnej części Hondurasu. Kapitan komunikuje coś przez radijko vhf, przedstawiając zarządzającym portem plany cumowania jachtu. „Chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu” – rzuca w kierunku załogi Brad po pomyślnym zakotwiczeniu. Ruszają więc sprawnym krokiem w kierunku miasteczka.

Na Utili nie ma zatrzęsienia restauracji. Idący na czele grupy Brad zarządza wejście do pierwszej lepszej knajpy, którą właśnie zauważył. Zamawiają obiad.





Na honduraskiej wyspie Utila życie płynie równie wolno co na stałym lądzie. Ale za to bezpieczniej

Troszkę piwa. Uczują. Mają co. Będą cumować u wybrzeży wyspy jeszcze kilka dni. Chętni zapiszą się na kurs nurkowania. Inni będą eksplorować wyspę. Od poczną. Nareszcie.

– Ej, ktoś ruszał mu laptop? – rzuca Brad do reszty załogi, gdy tylko pierwszy zjawia się na jachcie.

Nikt nie odpowiada kapitanowi.

– Ej!? – Brad jest wyraźnie zdenerwowany. – Nie ma też moich telefonów i aparatu!

Po chwili kapitan rzuca się w kierunku mokrej szafeczki stojącej u wejścia pod pokład. Dobrze pamięta, jak zostawił tu kilka luźnych artykułów. Były też zapiski. I jakaś gotówka. Zniknęło wszystko. Teraz już wie. To nikt z załogi. Gdy poszli jeść, ktoś był na łodzi. Wszystko pozostało tak, jak to zostawili. Uporządkowane i zadbane. Żadnych śladów. Co rusz jednak okazuje się, że komuś z załogi zniknęło coś cennego. Otwarty luk nad niewielkim łódeczkiem dziecięcym świadczy, że złodzieje musieli wejść tym pojedynczym włazem, który załoga zostawiła otwartą celowo, by przewietrzyc kaję. „Gdyby była zamknięta, pewnie dranie przeszliby na następną łódź...” – szepcze do siebie zrezygnowany Brad. Ale za późno na biadolenie. Trzeba szybko zgłosić kradzież. Nocny posterunek znajduje się całkiem blisko portu. Spisujący funkcjonariusz twierdzi z pewnością w głosie, że domyśla się, kto to zrobił. Wlewając jednocześnie w serce Brada nadzieję na odzyskanie utraconych rzeczy.

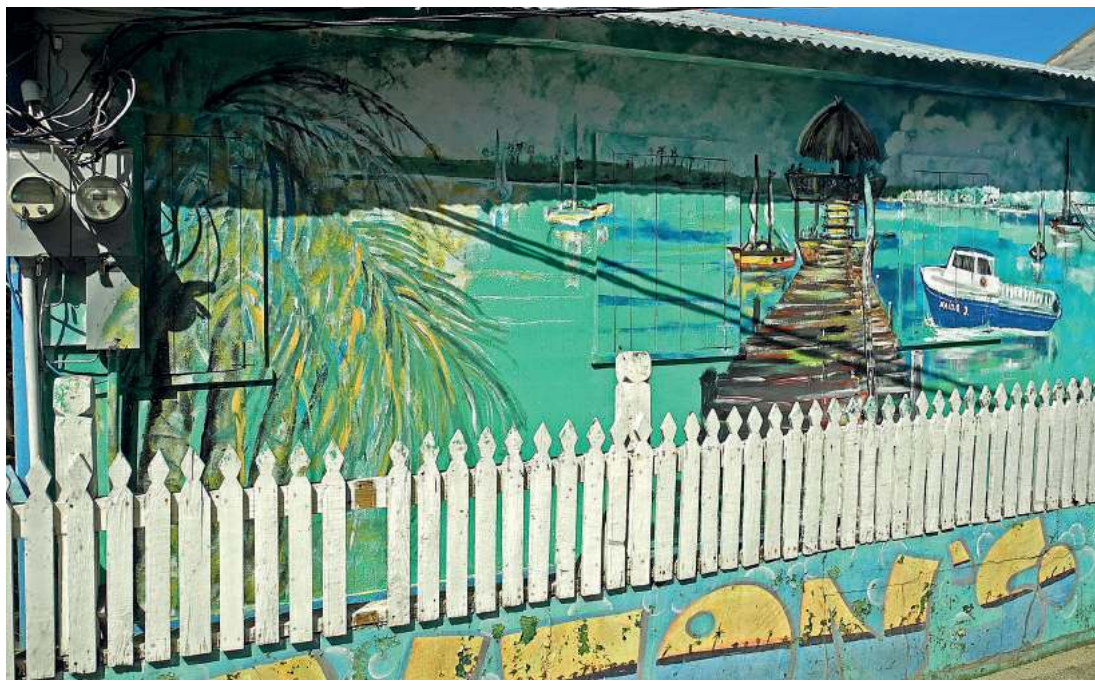
Jak się wkrótce okaże – bardzo płonną. Swojego aparatu, telefonu czy komputera już więcej nie zobaczy.

– Powiedz ludziom, żeby nigdy nie uzgadniali swoich planów na cumowanie przez vhf. Nigdy! – twierdzi dziś, wspominając tamto feralne wydarzenie. – To podstawowy błąd. Nie wolno też opuszczać jachtu po zmroku. A we włazie warto zainstalować pręty. Przynajmniej jak się wpływa na wody takich krajów jak ten...

► Byłe dalej od San Pedro Sula

Czekanie na prom nieco się przedłuża. I tak szczęście, że zdążyliśmy na czas. Autobus do nadmorskiego La Ceiba nie spieszył się przecież zbytnio. Ciągle mam w pamięci niedawny nocny przystanek na dworcu w znanym z przestępczości San Pedro Sula. To tu właśnie znajduje się słynne więzienie, zlokalizowane, co ciekawe, przy alei... Juana Pablo Segudno. Z dworca do Penitenciaría Nacional de San Pedro Sula jest zaledwie 3,5 kilometra. Smutnego spaceru przez dzielnice Col La Unión i Colonia Montefresco. O tej godzinie nawet bardzo smutnego.

Wtedy autobus wreszcie ruszył. Od razu zrobiło się jakoś rażniej na sercu. Do portu w La Ceiba zostało jeszcze 200 kilometrów. Cały czas liczyłem, że zdążymy na ten prom... I udało się. Jednak widok promu mocno



Dla „Garifuna people” cała codzienność pracy zarobkowej kręci się wokół morza

mnie zaskoczył – daleko mu do naszych jednostek znanych z nadbałtyckich kurortów. Podobny był raczej do wojskowych łodzi pancernych. Kilka chwil po wypłynięciu już zrozumiałem, dlaczego na odcinku La Ceiba – Utila Island są właśnie takie środki transportu. Nisko zabudowaną łódź coraz mocniej atakują rozkołysane morskie fale. Woda miota naszą barką niczym łupiną orzecha. To w prawo, to w lewo. To w górę, to w dół. Przez wąskie, dokładnie uszczelnione przed morską falą szybki nic już praktycznie nie widać. Jeszcze nigdy nie czułem się na morzu tak źle. Spoglądam ukradkiem na współpasażerów. Nie jestem jedynym, który poprosił spacerującego między nami marynarza o foliową torebkę.

► Taniej nie da rady

Jest ich siedmioro. Unoszą się na wodzie niczym boji. Jedno obok drugiego. Tworząc jakby zamknięte koło. W jego środku zaś dziewczyna. To trener. Uczy swoich podopiecznych nurkowania. Normalka. Na Utila Island przynajmniej co drugi turysta próbuje posiąść tę umiejętność. Nazywają go „Open Water”. Najpopularniejszy program dla początkujących nurków na całym świecie. Po jego ukończeniu kursant przystępuje do egzaminu. Jeśli zda, otrzyma uznawany na całym świecie wydany przez PADI (Professional Association of Diving Instruc-

tors – organizację zrzeszającą instruktorów oraz nurków rekreacyjnych) certyfikat. Uprawni on kursanta do samodzielnego nurkowania do głębokości 18 metrów. Zorganizowanie sobie takiego kursu to jednak całkiem kosztowna sprawa. W Polsce za same zajęcia na basenie życzą sobie od 1000 zł w górę. Na Zachodzie zapłacimy jeszcze więcej. Na Utila Island prawie tygodniowy kurs kosztuje około 800 zł. W tym zawarte są najczęściej noclegi w ośrodkach prowadzących szkolenia. Nie bez znaczenia jest także to, że zamiast trenować w basenie, bawimy się cały czas w ciepłych wodach Morza Karaibskiego. Ta perspektywa przekonuje coraz większą liczbę chętnych.

Sam nie wiem, co urzeka w tej wyspie najbardziej. Może to południowe wybrzeże usiane niewielkimi domkami usytuowanymi na wysokich palach wchodzących głęboko w morze, z których to domków praktycznie każdy należy do jednej z dziesiątek działających na wyspie szkół nurkowych? A może na Utila Island urzekają najbardziej te mało znane, skoncentrowane w środkowej części wyspy jaskinie ze słodkowodną niebieską tonią wewnątrz? A może w tym wszystkim decydująca jest sielankowa atmosfera codzienności na piaszczystych uliczkach tutejszej wioski? Gdzie co rusz mija nas jakaś niebanalna postać. Jak choćby ten pan z wiadrzem przepysznie wyglądających mango...



Na eksploracja niezamieszkałej części wyspy nie decyduje się zbyt wielu

– „Open Water” z angielskojęzycznym instruktorem. Do tego dokładamy gratis dwa nurkowania po ukończeniu kursu. I pięć noclegów – sympatyczna dziewczyna powtarza zamówienie, które nabija na kasę niewielkiego Diving Center, gdzie decyduję się rozpocząć naukę nurkowania. – Razem będzie 259 dolarów.

– Widzę, że macie polską flagę... – odpowiadam, dostrzegając polski szczegół w niewielkim patio i, co tu ukrywać, licząc tym samym na wywalczenie choćby najmniejszego rabatu.

– Tak, mamy tu dziewczynę z Polski. Też robi kurs. Ale już na instruktora. Chcesz, to ją zawołam? Właśnie skończyła pływać.

– Pewnie, ale najpierw dokończmy te formalności. Ile to było?

– 259 doliców.

– I nic taniej nie da rady?

– Na całym świecie nie znajdziesz tańszej oferty, man – uśmiecha się przebiegle dziewczyna.

► Bez imprezy

Opisana wcześniej historia Brada wcale nie miała być ku przestrodze. To raczej wyjątek. Na honduraskim tle brutalnej przemocy i nieskrywanego strachu Utila Island jawi się jako przysiółek spokoju. I bezpieczeństwa. Władza skrzętnie dba, aby tak zostało.

Przez ponad 200 lat wyspą zarządzali Brytyjczycy. Choć z Europejczyków to przecież Krzysztof Kolumb postawił tu nogę jako pierwszy. I to jeszcze w 1504 roku. Zanim więc Brytyjczycy rozpanoszyli się na rajskiej wysepce, musieli rozprawić się ze stacjonującym tu garnizonem wojaków francuskich. Oraz piratów, którzy tutejsze wody wybitnie sobie upatrzili, znajdując w nich schronienie przed ścigającym ich prawem.

Dziś większość mieszkańców Utila Island to tzw. Garifuna people. Potomkowie niewolników z Afryki i Karaibów, a także praprawnuki emigrantów z pobliskich Kajmanów. Ci ostatni przybywali tu tuż przed zniesieniem niewolnictwa w latach 30. XIX wieku. I choć w 1854 roku Brytyjczycy oddali ostatecznie wyspę Hondurasowi, jeszcze przez co najmniej pół wieku serce większości Garifuna people biło znacznie silniej dla Korony Brytyjskiej. Wiele w tej kwestii powie nam pobieżny nawet przegląd najbardziej popularnych nazwisk mieszkańców wyspy. W czołówce są Cooper oraz Bodden. To ostatecznie zdecydowanie zobowiązuje: Isaac Bodden był pierwszym mieszkańcem zarejestrowanym na wyspie.

„Przyjeżdżam tu od trzydziestu lat” – chwali się Ricardo, hiszpański informatyk dobiegający sześćdziesiątki. „W latach 80. nikt tu nie mówił słowem po hiszpańsku. Nauczyli się dopiero teraz...”. Podobnych do Ricardo spotkam na wyspie znacznie więcej. Mieszkańcy Utili lubują się w opowieściach, jak to turyści przybywający z zamiarem ukończenia jedynie kursu nurkowania, przedłużają w nieskończoność swój pobyt na wyspie, a nawet niektórzy zostają na niej na zawsze. Słynna jest także historia dziewczyny, która, planując wyjazd, urządziła pięć imprez pożegnalnych z rzędu. Aż w końcu ludzie przestali na nie przychodzić. Nikt już nie wierzył, że dziewczyna kiedyś opuści wyspę.

Uśmiecham się pod nosem, słuchając tych historii. Do czasu. A dokładnie do chwili, gdy to stojąc na portowym moście z zapakowanym plecakiem, dostaję informację, że ze względu na wzburzone morze dziś prom nie przyplynie. Muszę więc przedłużyć pobyt. Utila lubi trzymać przy sobie ludzi. I robi to, jak widać, na wszelkie sposoby. Bardzo skutecznie. Ja jednak imprezy pożegnalnej nie będę robił. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Spokojnie, to tylko słowa. Tyle że puste

Czy w ramach planetarnej solidarności Meksykanin jest moralnie odpowiedzialny za Eskimosa, a obywatelka Nowej Zelandii powinna czuwać nad prawami Marokanek? Co właściwie miała na myśli Angela Merkel, komunikując w 2015 roku zaniepokojonym rosnącą falą imigracyjną rodakom słynne „Damy radę”, i czy istnieje korelacja między wojną z głodem na świecie a produkowanym z zachowaniem wszelkich standardów humanitarnych budyniem z Bad Blankenburg? Alexander Kissler w swojej najnowszej książce stawia mnóstwo pytań, na wiele z nich warto samemu sobie odpowiedzieć.

Frazesy, puste zdania pozujące na prawdy objawione, giętkie frazy, które można przywołać zawsze i wszędzie bez ryzyka, że powie się coś niemądrego. Czy posługiwanie się językiem jest aż tak proste? Alexander Kissler, niemiecki pisarz, publicysta, szef działu kultura w konserwatywnym miesięczniku „Cicero”, nie ma wątpliwości – żyjemy w fazie „Interregnum pustych pojęć”, świat zrobił sobie przerwę w myśleniu, a znane dobrze, oswajone terminy brzmią – owszem – jak dawniej, lecz znaczą już zupełnie co innego. Słowa takie jak: szacunek, solidar-

ność, człowieczeństwo, ojczyzna są przywoływane w politycznych mowach, w kampaniach wyborczych, w uczonych publikacjach, ale ich rola sprowadza się do znaków zastępczych, wypełniaczy pozbawionych pierwotnego znaczenia. Kissler pisze o słowach, lecz nie o nich jest ta książka. Słowa są tylko pretekstem do demaskowania hipokryzji, głównie polityków, ale dostaje się też duchownym, organizacjom pozarządowym, pisarzom, ekspertom. Pomysł na tę książkę wydaje się prosty, autor analizuje drugie dno piętnastu najczęściej spotykanych w niemieckim życiu publicznym sloga-

nów. Czytelnik znajdzie tam takie hasła jak: „człowiek boi się nieznanego”, „solidarność nie jest ulicą jednokierunkową”, „religia to sprawa prywatna”, „każdy zasługuje na szacunek”, „Willkommenskultur jest najlepszą ochroną przed terroryzmem”, „w różnorodności siła”, „przemoc nie jest wyjściem” etc. Kissler każdy z tych sloganów obnaża, snuje poboczne opowieści, odwołuje się do historii, literatury, kultury obrazu. Raz pastwi się nad lewą spuszczającą złotych myśli Bertolta Brechta, by za chwilę przywołać fragment przemowy Martina Schulza, niedoszłego kanclerza Niemiec, który z pustosłowia uczynił odrębną dyscyplinę politycznego sportu.

► Boska siła banału

Kissler ma mentora. Nie dosłownie. To informacja ukryta, przemyciona między wierszami, ale trudno nie zauważyć, że autor zainspirował się nieco Léonem Bloyem, francuskim pisarzem i myślicielem (a przy okazji jednym z najbardziej zajadłych krytyków Jorisa-Karla Huysmansa), który w 1902 i 1912 roku wydał dwutomowy leksykon najbardziej niedorzecznych jego zdaniem uogólnień, gdzie bezlitośnie rozprawiał się z mądrościami typu „bez pracy nie ma kołaczy”, „biznes to biznes”, „nie można mieć w życiu wszystkiego”, „trzeba iść z duchem czasu” etc. Bloy zebrał 183 takich przykładów, każdy z nich osobno analizował, tłumaczył, dlaczego uważa daną frazę za część składową „śmietnika językowego”, coś, co nijak ma się do rzeczywistości lub stanowi najzwyczajniej ordynarną obrazę rozumu. „Banalna mowa, bez końca przeżywana przez idiotów, w cudowny sposób potwierdza ich nicność, i w tej oto właściwości tkwi jej boska siła” – pisał Bloy, a czytając współczesną wersję Kisslerowską, można tylko przytaknąć. Tak, od ponad stu lat nic w tej materii się nie zmieniło. Ważni ludzie nadal produkują i reprodukcją banały, którymi męczą ludzi mniej ważnych od siebie. I w pewnym momencie kiedy kolejna bzdura rozlewa się po mediach, z głośników, z ekranu, z książki, można tylko westchnąć: cała nadzieja w boskiej sile banalnej mowy...

► Czy Jezus walczył o społeczeństwo otwarte?

Nie sposób przywołać wszystkich złośliwości Kisslera. Autor sprawnie porusza się między tematami polityczno-społecznymi, z erudycją zongluje dowodami na brak logiki lub na manipulowanie przekazem, koncentrując się, chcąc nie chcąc, na najbardziej bieżącym problemie społeczeństwa niemieckiego, czyli na kwestii masowej imigracji i implikacji z niej wynikających. Ciekawy jest fragment dotyczący mowy bożonarodzeniowej z 2015 roku Gerharda Ulricha, biskupa Kościoła luterańsko-ewangelickiego Północ-

nych Niemiec, w której hierarcha posłużył się nawiązaniem do nowo narodzonego Jezusa w żłóbku, który „nie zna czegoś takiego jak górna granica w kwestii pomocy potrzebującym”. Biskup Ulrich poszedł dalej: „Krzyż Chrystusa wskazuje na tego, kto został do niego przybity, ponieważ żył On dla społeczeństwa otwartego. Chrystus nie obawiał się obcych, wcielał w życie integrację i żywił szacunek do innych i jego lub ich kultury”. Kissler odnosząc się do tego fragmentu, zadaje pytanie: od czego tu zacząć? Może od delikatnego napomnienia, że Bóg i państwo to nie to samo? Może od tego, że zgodnie z wykładnią chrześcijańską Jezus po to przyszedł na świat, by zbawić ludzi, a nie krzawić w południowo-zachodniej Azji społeczeństwo otwarte? A może od tego, że nie zamierzał wskazywać drogi do lepszej integracji, lecz do nieba? Od tego, że za pomocą pojęć właściwym XXI stuleciu nie da się oddać rzeczywistości sprzed 2 tysięcy lat?... Autor wylicza jeszcze długo alternatywne scenariusze, nie pozostawiając na biskupie suchej nitki.

► Kto panuje nad myślą

Uszczypliwość Kisslera nie cofa się nawet przed krytykowaniem papieża Franciszka za jego słowa o tym, że każdy powinien być stróżem swojego sąsiada. Kissler spłyca nieco ten przekaz, żartując, że jak każdy z nas zajmie się sąsiadem, to już mu nie starczy czasu na zajmowanie się samym sobą, i snuje wizje, w których każdy na świecie czuje się odpowiedzialny za każdego, niezależnie od szerokości geograficznej. To co jednak chce przekazać, sprowadza się w sumie do zasady kolejności miłosierdzia i zachowania miary, we wszystkim, również w niesieniu pomocy i pokusy zbawiania całego świata. Kontekst kryzysu migracyjnego jest tu zatem kluczowy. To przez filtr polityki migracyjnej kanclerz Merkel autor zielonej książki patrzy na niemiecką rzeczywistość – z jej językiem, z jej frazesami, z całym obciążeniem i ostatecznie ceną, jaką przyjdzie zapłacić za to wszystko przyszłym pokoleniom. Kissler przy okazji omawiania hasła „solidarność nie jest ulicą jednokierunkową”, wspomina nawet o uszczęśliwianiu na siłę państw takich jak Polska czy Węgry, które stanowczo protestowały przeciwko idei przymusowych relokacji. Jest to spojrzenie z Niemiec, ale jakże inne od tego, do którego nas przyzwyczajano. Normalne, bez moralizatorstwa. Schowane pod warstwą językoznawczych pojęć, bo „kto decyduje o słowach, panuje nad myślą”. Kissler panuje mistrzowsko. ■

Alexander Kissler, „Widerworte. Warum mit Phrasen Schluss sein muss”, Gueters Lothar Verlags Haus, 2019

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Tajwan

W dniach 11–12 marca na Tajwanie odbyła się konferencja poświęcona wolności religijnej w regionie Indo-Pacyfiku. Organizatorami przedsięwzięcia były m.in. tajwański think tank Taiwan Foundation for Democracy, amerykańskie przedstawicielstwo na Tajwanie (AIT), tajwański MSZ i amerykański Departament Stanu, a wzięło w nim udział 80 uczestników z ponad 10 krajów, m.in. z Birmy, Indii, Indonezji, Japonii, Malezji, Mongolii, Nowej Zelandii, Pakistanu, Tajlandii, Wietnamu i USA.

Jednym z gości konferencji był Samuel D. Brownback, amerykański ambasador do spraw międzynarodowej wolności wyznania. Wizyta tak wysokiego urzędnika rządu USA i jego spotkanie z prezydentem Tajwanu Tsai Ingwen to efekt zacieśniających się relacji amerykańsko-tajwańskich, a także próba pokazania różnic pomiędzy Tajwanem a Chinami m.in. w kwestii wolności wyznania. W trakcie przemówienia ambasador Brownback stwierdził, że Tajwan może być przykładem dla Chin, że społeczeństwo, w którym panuje wolność religijna, nie jest zagrożeniem dla władzy.

Wizyta ambasadora Brownbacka zbiegła się również z 60. rocznicą antychińskiego powstania w Tybecie w 1959 roku. Na Tajwanie upamiętniając to wydarzenie, ludzie wychodzą na ulice, aby zmanifestować poparcie dla walczących o prawa człowieka i wolność religijną w Tybecie, wciąż uciskanych przez rządy Komunistycznej Partii Chin. Według organizacji International Campaign for Tibet, od lutego 2009 do grudnia 2018 roku co najmniej 155 Tybetańczyków zdecydowało się na samospalenie jako wyraz protestu przeciwko brutalnemu tłumieniu buddyzmu tybetańskiego przez Chińczyków i prześladowaniu tybetańskich mnichów.

W swoim przemówieniu na konferencji na Tajwanie ambasador Brownback wspominał także o rosnących prze-

śladowaniach wobec chrześcijan w Chinach, a jako przykład tych represji podał to, co spotkało pastora Sanqiang Cao, który w zeszłym roku skazany został na 7 lat więzienia za „organizowanie nielegalnego przekroczenia granicy” Chin z Birmą. Pastor Cao, na co dzień mieszkający w USA, od lat pomagał dzieciom z mniejszości Wa w stanie Birmy graniczącym z chińską prowincją Yunnan.

Na konferencji zwrócono także uwagę na łamanie wolności religijnej w Wietnamie, który 1 stycznia 2018 roku wprowadził prawo wymagające od grup religijnych posiadania zgody władz na sprawowanie kultu i działalność, w przeciwnym razie kościoły uznaje się za nielegalne. Tworząc to prawo, Hanoi wzorowało się na rozwiązaniach chińskich.

W trakcie konferencji ambasador Brownback spotkał się z Lee Ching-yu, żoną tajwańskiego działacza na rzecz praw człowieka Lee Ming-che, który w grudniu 2017 roku został skazany w Chinach na pięć lat więzienia za krytykowanie komunistycznych rządów. Wina Lee miała polegać na tym, że współpracował z obywatelami Chin w rozpowszechnianiu i pisaniu w mediach społecznościowych komentarzy, które atakowały komunistyczny rząd Chin i promowały zachodnią demokrację.

Na konferencji prasowej po spotkaniu z Lee Ching-yu ambasador Brownback wyraził zaniepokojenie faktem, że od miesiąca rodzina nie może zobaczyć więzionego w Chinach Tajwańczyka, a wiadomo, że pogarsza się stan jego zdrowia. Amerykański polityk stwierdził, że administracja Trumpa uważa, iż Lee Ming-che „powinien być jak najszybciej uwolniony i wrócić na Tajwan”.

► Japonia

W połowie marca japoński parlament uchwalił ustawę gwarantującą każdej z ofiar przymusowej ste-

rylizacji 3,2 mln jenów (około 108 tys. zł). Barbarzyński program został wprowadzony w Kraju Kwitnącej Wiśni w 1948 roku i obowiązywał do 1996 roku. Eugenicznemu zabiegowi poddano około 25 tys. osób niepełnosprawnych, z czego około 16,5 tys. o tym nawet nie poinformowano. Według rządu Japonii do tej pory udało się zidentyfikować około 3 tys. ofiar przymusowej sterylizacji.

W uchwalonej ustawie wyrażono też „przeprosiny” za spowodowanie fizycznych i psychicznych cierpień, ale nie sprecyzowano, kto ponosi winę za te zbrodnie. Użyto jedynie słowa „my” zamiast na przykład „państwo” czy „rząd”.

Prawnicy reprezentujący poszkodowanych wyrazili niezadowolenie z ustawy. Jeden z adwokatów stwierdził na przykład, że jednostki zostały pozbawione prawa do decydowania o posiadaniu i wychowywaniu dzieci i jednorazowa wypłata w wysokości 3,2 mln jenów nie wyrówna tych szkód. Do tej pory w związku z ustawą ponad 20 osób złożyło pozwy przeciwko rządowi Japonii, a niektórzy domagają się odszkodowania w wysokości nawet 38,5 mln jenów (około 1,3 mln zł).

Podobne prawo sterylizacyjne obowiązywało także w III Rzeszy i w Szwecji w latach 1935–1975. W 1999 roku szwedzki parlament przyznał ofiarom jednorazowe odszkodowanie w wysokości 175 tys. koron, odpowiednik dzisiejszych 3,12 mln jenów. W Azji zwolennikiem eugeniki był premier Singapuru w latach 1959–1990 Lee Kuan Yew – chciał kraju, w którym żyją idealni obywatele. Dlatego na przykład rząd przez jakiś czas zachęcał do małżeństw obywateli o wysokim IQ. Przez lata w Singapurze prowadzono kontrolę urodzeń. Wzorcowa rodzina miała mieć jedno dziecko albo dwójkę. Kobiety, które decydowały się na trzecie, namawiano na sterylizację.

Kontrola urodzeń, w tym przymusowe aborcje i sterylizacje, prowadzona jest nadal w komunistycznych Chinach.

► USA–Chiny–Europa a Huawei

Na początku marca amerykańscy generałowie stacjonujący w Europie zeznawali przed Komisją Sił Zbrojnych Senatu Stanów Zjednoczonych i ostrzegali, że sojusznicy USA nie powinni zezwolić na budowę sieci 5G przy współpracy z chińskimi firmami, w przeciwnym razie pogłębiona współpraca militarna z Waszyngtonem nie będzie możliwa.

Naczelnym dowódcą sił NATO w Europie, amerykański generał Curtis Scaparrotti, stwierdził, że musi być pewność, iż w Europie istnieje „bezpieczna zdolność 5G”, co wymaga, aby sojusznicy NATO byli „bardzo ostrożni przy chińskich inwestycjach”

w takich sieciach. „Chcemy również wiedzieć, że jesteśmy bezpieczni dzięki naszym sojusznikom, z którymi jesteśmy połączeni, i może być tak, że nie będziemy mogli połączyć się z nimi, chyba że zmienią skład swoich systemów” – powiedział gen. Scaparrotti. Amerykański generał podkreślił też, że „5G to nie tylko zmodernizowana sieć 4G, która będzie trochę szybsza, lecz także »cały nowy świat«, który będzie miał kluczowe znaczenie dla przyszłych możliwości podczas walki”.

Chińskie firmy, przede wszystkim Huawei, nasiliły w ostatnich miesiącach kampanie, które mają przekonać państwa w Europie, że nie stanowią one żadnego zagrożenia dla bezpieczeństwa krajów, które zdecydowały się na współpracę z nimi przy budowie sieci 5G. Administracja Donalda Trumpa próbuje przekonać swoich sojuszników, że Huawei stwarza niebezpieczeństwo, ponieważ firma realizuje interesy chińskiego rządu, a jej sprzęt może być używany do szpiegowania. „Jesteśmy mocno zaniepokojeni ryzykiem, jakie niesie za sobą pozwolenie zagranicznej firmie, kontrolowanej przez obcy rząd, na osiągnięcie znaczącej pozycji wewnątrz naszych systemów telekomunikacyjnych. Zwłaszcza jeśli ten rząd nie podziela naszych wartości” – powiedział w lutym tego roku podczas posiedzenia senackiej komisji do spraw wywiadu dyrektor FBI Chris Wray.

Współpraca z Huawei i ZTE, innym chińskim gigantem telekomunikacyjnym, to także zagrożenie rosnącej korupcji. W publikacji na łamach Głosu Ameryki pt. „Oskarżenia o łapówkarstwo i korupcję ciągną się za Huawei na całym świecie” podano przykłady krajów, w których wykryto takie działanie chińskich firm telekomunikacyjnych. I tak na przykład w Algierii kierownicy Huawei i ZTE przekazali pracownikowi lokalnej rządowej firmy telekomunikacyjnej i jednemu z biznesmenów łapówki w wysokości 10 mln dolarów w zamian za kontrakty. Sąd w Algierii skazał trzech chińskich pracowników Huawei i ZTE na 10 lat (wyrok wydany zaocznie, bo Chińczycy wcześniej opuścili Algierię), a zamieszanych w skandal Algierczyków skazano na 18 lat więzienia. Po skandalu firmom Huawei i ZTE zakazano udziału w przetargach publicznych na dwa lata.

Huawei i ZTE miały podobne problemy m.in. na Wyspach Salomona, w Zambii, Malezji, Norwegii i Mongolii. Według Andy’ego Keisera, byłego pracownika komisji ds. wywiadu Kongresu USA, w ciągu ostatnich 12 lat w 21 krajach prowadzono śledztwa w sprawie korupcyjnej działalności Huawei i ZTE.

Huawei oficjalnie mówi, że prowadzi politykę zera tolerancji dla łapówkarstwa, ale eksperci badający biznesowe praktyki tej firmy przyznają, że nie jest to prawda. ■

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Rocznica otrucia Skripalów: rozwiązanie jest blisko?

4 marca 2018 roku doszło w Wielkiej Brytanii do zamachu, który wstrząsnął międzynarodową społecznością. Dwanaście lat po zamachu na Aleksandra Litwinienkę znów zaatakowano politycznego uchodźcę cieszącego się ochroną władz Zjednoczonego Królestwa, znów na terytorium NATO, znów przy użyciu szczególnie wymyślnej broni. Świat poznał słowo „nowiczok”, zaś z szeregu państw wyrzucono dziesiątki rosyjskich agentów wywiadu. Później nałożono na Rosję sankcje. Czy przez rok coś to zmieniło i jak daleko jesteśmy od ostatecznego zamknięcia śledztwa i co to będzie oznaczało dla stosunków Zachodu z Rosją i dla samego reżimu Putina? Artykuł autorstwa Wiktora Władimirowa i Walerii Jegisman opublikowany został 4 marca 2019 roku na stronie rosyjskiej redakcji Głosu Ameryki. Poniżej jego tłumaczenie.

Rocznica otrucia podwójnego agenta Siergieja Skripala i jego córki Julii w Salisbury stała się w poniedziałek jednym z głównych tematów w światowych mediach, komentarzach w sieciach społecznościowych, a także oficjalnych rosyjskich przedstawicieli i struktur państwowych. Nie ma w tym nic zaskakującego, ponieważ ta sprawa odbiła się szerokim echem wśród społeczeństwa i doprowadziła do poważnych negatywnych konsekwencji dla Kremla. Po pierwsze, znacząco pogorszyła i bez tego niezbyt dobre stosunki Londynu i Moskwy. Po drugie, doprowadziła do wydalenia ro-

syjskich dyplomatów z szeregu państw po obu stronach oceanu i jeszcze raz mocno uderzyła w wizerunek Rosji. No i z pewnością co najważniejsze – posłużyła jako powód dla wprowadzenia serii nowych antyrosyjskich sankcji, w tym także ze strony Stanów Zjednoczonych.

► Ruch należy do Londynu

Wydaje się, że lista środków ograniczających w stosunku do Federacji Rosyjskiej nie jest wcale „odhaczona”, a wręcz odwrotnie. Jak twierdzą liczni obserwato-

rzy, gdy oficjalne dochodzenie w sprawie przestępstwa zostanie zakończone przez władze brytyjskie, kolejna fala sankcji jest praktycznie nieunikniona. Przypomnijmy, premier Wielkiej Brytanii Theresa May występując w parlamencie, nie tylko wyraziła pełną zgodę ze wstępnymi wnioskami śledztwa, lecz także zasugerowała, że przestępstwo zostało popełnione za wiedzą najwyższych władz Rosji. Jednak Moskwa od samego początku i do dziś odrzuca wszelkie zarzuty pod swym adresem. Co więcej, przedstawicielka MSZ Federacji Rosyjskiej Maria Zacharowa oświadczyła w poniedziałek, że Rosja prowadzi własne dochodzenie i gotowa jest szybko przedstawić jego rezultaty. Jak donoszą media, rosyjskie państwowe środki masowego przekazu opublikowały 138 wysoce kontrowersyjnych materiałów o otruciu Skripalów.

W komentarzu dla rosyjskiej redakcji Głosu Ameryki redaktor naczelny internetowego portalu Insider Roman Dobrochotow zauważył, że zarówno Kreml, jak i jego obrońcy tak naprawdę nie mieli żadnego wyboru. Dlatego, jak mówi dziennikarz, zachowywali się jak mąż, którego żona nakryła z kochanką, zaprzeczającą wszystkiemu, „niezważający na oczywistość tego, co zaszło”. „Reakcja Kremla była tą w pełni oczekiwaną – dodał Dobrochotow. – Problem leży w czym innym. Cała uwaga społeczna skierowała się w stronę władz brytyjskich, bo to one powinny na koniec oficjalnie przedstawić zarzuty i dowody, wszcząć proces w danej sprawie. Wówczas doszłoby do bardzo poważnej rozmowy, a Rosja poniosłaby realne konsekwencje”. Jak wydaje się Romanowi Dobrochotowowi, w takim wypadku MSZ lub Kreml już nie będą mogły powiedzieć, że zarzuty pod adresem Moskwy podnoszą tylko dziennikarze, a Londyn woli milczeć: „Są wszystkie dowody, one zostały opublikowane. Trzeba jeszcze określić czwartego współuczestnika przestępstwa. Myślę, że zrobimy to w najbliższym czasie. Choć wydaje mi się, że brytyjskie władze już dawno temu ustaliły jego tożsamość. Tak że sama historia jest całkowicie jasna. Teraz ruch musi wykonać Londyn”. W opinii redaktora naczelnego portalu Insider, rosyjskie władze próbują teraz nie dopuścić do powtórki z klęski kampanii propagandowej w związku z zestrzelonym nad Ukrainą pasażerskim boeingiem, dlatego starają się do minimum ograniczyć komentarze na temat historii w Salisbury tak, aby następnie wydać jakąś jednolitą wersję tego, co się wydarzyło. „Ta wersja będzie uwzględniać wszystkie dowody, jakie mają Brytyjczycy, ale przy tym interpretować je w alternatywny sposób, na własną korzyść. Mimo wszystko położenie Kremla jest tu wyraźnie nie do pozardrosczenia. Nie wiem, co takiego mogliby wymyślić, żeby czarne przedstawić jako białe, a białe jako czarne” – podsumował dziennikarz.

► Komentarz amerykańskich ekspertów

Rok temu, 4 marca 2018 roku, były podwójny agent GRU Siergiej Skripal i jego córka Julia zostali znalezieni otruci przez paralityczno-drgawkowy środek nowiczkow w brytyjskim mieście Salisbury. Brytyjska policja ogłosiła, że w otruciu zamieszani byli agenci rosyjskiego wywiadu wojskowego. Londyn wydał 23 rosyjskich dyplomatów – to gest, który powtórzyły liczne kraje zachodnie, w tym USA, które deportowały 60 takich osób. Pod naciskiem Kongresu administracja USA nałożyła na Rosję szereg sankcji przewidzianych w ustawie z 1991 roku „O likwidacji środków chemicznych i broni biologicznej” (Chemical and Biological Weapons Control and Warfare Elimination Act of 1991), zgodnie z którą sankcje ze strony USA mogą być nałożone w stosunku do państw wykorzystujących broń chemiczną lub biologiczną z naruszeniem norm międzynarodowych. Pierwszą pulę sankcji wprowadzono 27 sierpnia 2018 roku i zawierała ona zakaz eksportu broni, towarów i technologii podwójnego zastosowania. Druga – oczekiwana 6 listopada 2018 roku – do tej pory nie została ogłoszona. Moskwa zaprzecza swojemu udziałowi w otruciu Siergieja i Julii Skripalów, którzy przeżyli zamach i których miejsce pobytu zostało utajnione przez brytyjską policję.

Były ambasador USA w Rosji, były zastępca sekretarza generalnego NATO i ekspert Atlantic Council Alexander Vershbow uważają, że zdemaskowanie zaangażowanych w atak agentów GRU poprzez źródła otwarte pozwala zakładać, że Rosja nie bała się, iż może zostać złapana na gorącym uczynku. „Co więcej, rozreklamowana zdolność Rosji do zabijania jej wrogów na terytoriach krajów NATO tylko sprzyja budowaniu odpowiedniego wizerunku Putina zarówno wewnątrz Rosji, jak i za granicą” – twierdzi Alexander Vershbow. Jak zauważa były ambasador, niewykluczone, że natychmiastowa odpowiedź Zachodu – wygnanie z ambasad w krajach NATO niemal 125 dyplomatów, których Zachód uważał za oficerów rosyjskiego wywiadu – była dużo ostrzejsza, niż spodziewała się tego strona rosyjska, lecz to nie wpłynęło na możliwości GRU i SWR [Służba Wywiadu Zagranicznego, czyli cywilny wywiad Rosji – przyp. tłum.] w szpiegostwie, destabilizacji i operacjach wpływu. W opinii Alexandra Vershbowa nie widać ponadto że strony Rosji nawet próby podjęcia kroków do „przemyślenia swojej konfrontacyjnej polityki wobec Zachodu”, co także było widoczne w niedawnym orędziu rosyjskiego prezydenta do Zgromadzenia Federalnego. „W każdym razie w samej Rosji Putin nie zapłacił żadnej ceny w związku z tą sprawą, ponieważ tamtejszej propagandzie udało się przekonać 97 procent mieszkańców,

że Rosja nie uczestniczyła w ataku na Skripalów” – za-
uważył Alexander Vershbow. Jak uważa ekspert, Za-
chód musi zwiększyć nacisk na Rosję w celu powstrzy-
mywania „agresywnego zachowania Putina w przy-
szłości”, a w warunkach nasilającej się w USA presji na
wprowadzenie dodatkowych sankcji przeciwko Rosji
sam „Putin powinien dwa razy pomyśleć przed zorga-
nizowaniem spisku zabójstwa na terytorium NATO”.
Tymczasem – jak zauważa Alexander Vershbow –
brak działań administracji USA w kwestii drugiej puli
sankcji wysyła negatywny sygnał. „Niestety niezdecy-
dowanie USA wysyła do Moskwy sygnał o słabości,
która może tylko sprzyjać dalszym prowokacjom” –
zauważył były ambasador.

► Donald Jensen: to bardzo śmiały atak Kremla

Donald Jensen, dyrektor Centrum Analiz Polity-
ki Europejskiej (CEPA), zauważa, że atak na Skripa-
łów na terytorium kraju członkowskiego NATO był

elity politycznej i biznesowej, co może sprzyjać
zmniejszeniu agresji Kremla. Problem w tym, jak
mówi Donald Jensen, iż na dodatkowe sankcje
w najbliższym czasie się nie zanoszą. „Mam takie
wrażenie, że administracja uważa, iż na dzień dzi-
siejszy nałożono wystarczające kary. To nie znaczy,
że ich więcej nie będzie. Ale na dany moment ra-
czej nie należałoby ich się spodziewać” – mówi Do-
nald Jensen. Ekspert twierdzi również, że należało-
by popracować nad zwiększeniem skuteczności po-
lityki sankcyjnej prowadzonej przez USA, bo jak
dotąd nie zmieniła ona zbytnio zachowania Rosji.

► Eugen Rumer: ta sprawa powinna być nagłaśniana

Dyrektor rosyjskiego i euroazjatyckiego programu
Fundacji Carnegie o międzynarodowy pokój Eugen Ru-
mer uważa, że zachodnia reakcja na sprawę Skripalów
była dostatecznie mocna, jednakże opinia publiczna
powinna mieć jak najszerszy dostęp do wyników do-

OTRUCIE SKRIPALÓW NALEŻY ROZPATRYWAĆ JAKO JEDEN Z ELEMENTÓW NOWEGO ZACHOWANIA ROSJI,
W KTÓRYM MIESZANIE SIĘ W WEWNĘTRZNE SPRAWY INNYCH KRAJÓW STAŁO SIĘ NA TYLE JAWNE,
ŻE WYMAGA BARDZIEJ POWAŻNEGO STOSUNKU DO FR ZE STRONY KRAJÓW ZACHODNICH.

prowokacyjny, a Zachód nie odpowiedział na niego
dostatecznie mocno. „To bardzo śmiały akt agresji
Kremla. Pokazuje, że możemy dostać was właści-
wie wszędzie, także na Zachodzie. I to jest bardzo
silny sygnał” – mówi Donald Jensen. Ekspert uwa-
ża, że otrucie Skripalów należy rozpatrywać jako je-
den z elementów nowego zachowania Rosji, w któ-
rym mieszanie się w wewnętrzne sprawy innych
krajów stało się na tyle jawne, że wymaga bardziej
poważnego stosunku do FR ze strony krajów za-
chodnich. Wydalenie dyplomatów, jak twierdzi
Donald Jensen, było „miękkim” i przede wszystkim
oczekiwanym przez stronę rosyjską działaniem. Co
więcej, nie będzie miało żadnego przełożenia na
zniesienie Kremla do podobnych incydentów.
Zdaniem eksperta, zdecydowanie bardziej efektyw-
nymi działaniami byłoby podjęcie środków do
zwalczania zjawiska prania pieniędzy i ujawnienie
wyprowadzonych przez rosyjskie elity do rajów po-
datkowych zasobów pieniężnych. Jak uważa Do-
nald Jensen, takie metody, a także zachodnie sank-
cje, wprowadzają napięcie w szeregach rosyjskiej

chodzenia i powinno się podnosić tę kwestię na spo-
tkaniach najwyższego szczebla z rosyjskimi władza-
mi. „Należy dać do zrozumienia rosyjskim władzom,
że podobne działania są całkowicie nie do przyjęcia.
Jeśli Rosja chce być uważana za pełnoprawne, odpo-
wiedzialne państwo, działające na międzynarodowej
arenie, to tego typu działania są tym bardziej nie do
przyjęcia” – mówi Eugen Rumer. „Podobne operacje
prowadzono jeszcze w czasach sowieckich i dawno
uważa się je za część rosyjskiej praktyki na scenie
międzynarodowej. Nie miejmy złudzeń – to samo
z siebie nie zniknie” – uważa ekspert. Poza tym – jak
twierdzi Rumer – atak na Skripalów budzi obawy
niezależnie od tego, czy stały za tym najwyższe wła-
dze Rosji, czy nie. „Jeśli ta operacja miała zgodę rosyj-
skich władz, to oznacza, że Rosja tak naprawdę wystę-
puje w charakterze państwa, które przyjęło stosowanie
terroru. Jeśli to nie było sankcjonowane, to prowadzi
do wniosku, że Rosja jest państwem, które nie kontro-
luje własnych struktur siłowych. W każdym wypadku
rodzi się pytanie, czym tak naprawdę jest dziś rosyjskie
państwo?” – kończy Eugen Rumer. ■



Tomasz Sakiewicz

Gdzie wspierać gospodarkę

Dyskusja na temat „piątki Kaczyńskiego” będzie trwała w najlepsze nie tylko przed wyborami, bo widać, że jeżeli chodzi o wyborcze obietnice, Kaczyński po prostu ją wygrał, lecz będzie także przedłużona co do oceny skutków ekonomicznych. Poświęciłem temu już kilka tekstów i warto nad tym jeszcze chwilę się zatrzymać. Klasyczna ekonomia radziła, by państwo inwestowało wtedy, gdy pieniądze było pod dostatkiem, gospodarka się rozwijała. Jednocześnie tworzone rezerwy na gorsze czasy. Można powiedzieć, że przypominało to sposób wydawania pieniędzy przez prywatne gospodarstwo domowe. Masz możliwości – inwestuj, nie masz – oszczędzaj. Problem polega na tym, że gospodarka nie przypomina gospodarstwa domowego, a dużo bardziej – przedsiębiorstwo. Ono może o wiele dynamiczniej reagować na kryzys.

ogromnych baniek finansowych. To znaczy pieniądze zamiast trafiać do kolejnych dziedzin gospodarki, gromadzą się w niszach uznanych za najbardziej rentowne i powodują wzrost wartości przedsiębiorstw lub niektórych dóbr ponad jakąkolwiek realną wycenę. Kiedy bańka pęka, pieniądze przepadają, a banki są zagrożone niewypłacalnością. Taką bańką były dwie dekady temu firmy internetowe, a dwanaście lat temu firmy budowlane i nieruchomości.

Zupełnie inaczej wygląda wsparcie konsumpcji. Oczywiście istnieje ryzyko wzrostu inflacji, ale wzrost cen jest o wiele bardziej równomierny. Największym ryzykiem takiego działania jest zadłużanie państwa. I to jest pewnie główny problem, który będzie rozpatrywany. Niemal każda gospodarka na świecie jest zadłużona. Chodzi więc o to, by móc te długi spłacać, czyli przynaj-

JEŻELI CHCEMY OGRANICZYĆ SKALĘ KRYZYSU, ZAMIAST PODTRZYMYWAĆ
NIERENTOWNĄ PRODUKCJĘ, PODTRZYMAJMY RYNEK. ON LEPIEJ WYBIERZE TE FIRMY,
KTÓRE ZDOLNE SĄ DO PRZETRWANIA.

Zmienia profil produkcji, zmniejsza koszty itd. To porównanie też nie jest pełne, gdyż gospodarka każdego państwa ma jeszcze jeden istotny aspekt: podstawowym konsumentem jej wytworów jest też pracownik tego przedsiębiorstwa. To rzadkość w mikroekonomii.

Z tego nadzwyczajnego zjawiska wyciągnięto lata temu wnioski. Jeżeli chcemy ograniczyć skalę kryzysu, zamiast podtrzymywać nierentowną produkcję, podtrzymajmy rynek. On lepiej wybierze te firmy, które zdolne są do przetrwania. Można powiedzieć, że w ostatnich latach zastosowano dwa zupełnie odwrotne modele wspierania gospodarki: przez tani pieniądź – rok 2007–2008 – i obecnie – przez wsparcie konsumpcji. Tani pieniądź niekoniecznie musi zasilać konsumpcję, bo trafia na przykład do banków, potem do producentów i developerów. Jego cechą jest pozorna demokratyczność, to znaczy daje równe szanse wszystkim. Piszę o pozornej demokratyczności, bo faktycznie jedni mieli dużo łatwiejszy dostęp do kredytów, inni w ogóle. To powoduje powstawanie

mniej zarobić na odsetki. Jest też drugi, ważniejszy wskaźnik – by dług w stosunku do PKB się nie zwiększał. Co to znaczy? Ktoś, kto rocznie zarabia 30 tys. złotych, kiedy ma 30 tys. długu, jest faktycznie bardziej zadłużony niż ktoś, kto zarabia 100 tys. i pożyczył 40 tys. Bo wprowadzie 40 tys. zł to więcej niż 30 tys., ale potencjał zarobków jednego i drugiego bardzo się różni. Bogatszemu po prostu dużo łatwiej oddać pożyczone pieniądze.

Wsparcie rynku ma na celu nie tylko wzrost poziomu życia, lecz także zwiększenie potencjału gospodarki. Czyli łatwiejsze spłacanie długu. Problem w tym, że dzieje się to przy jednoczesnym zadłużaniu. Mądre gospodarowanie polega na tym, by znaleźć złoty środek. Za rok, dwa przekonamy się, czy ten złoty środek znaleziono. Na pewno moment na dokonanie inwestycji w rynek jest właściwy. Jesteśmy tuż za szczytem szczytu koniunktury w Polsce i na początku kryzysu w Europie. Pytanie, czy wpompowane pieniądze w gospodarkę okazały się najbardziej efektywnym stymulatorem? Z pewnością cały świat ekonomiczny będzie się temu przyglądał. ■

Najlepsze filmy, seriale i sport. Na start
3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!

